

MARIA KRUGER

Ucho, dynia

ILUSTROWAŁ ZBIGNIEW LENGREN

NASZA KSIĘGARNIA WARSZAWA 1984

ISBN 83-10-08580-x

PRINTED IN POLAND

Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia”.

Warszawa 1984 r. Wydanie V. Nakład 100000 + 300 egz.

Ark. wyd. 9,2. Ark. druk. A1-13,0.

Oddano do produkcji w maju 1983 r.

Podpisano do druku w styczniu 1984 r.

Zakłady Graficzne w Gdańsku. Zam. nr 930 M-25

1: PLAN SYTUACYJNY I W OGÓLE O WSZYST-KIM PO TROCHU

Najlepiej chyba będzie zacząć od planu sytuacyjnego. A przede wszystkim od tego, gdzie mieściła się Szkoła Numer Siedemnaście. Otóż Szkoła Numer Siedemnaście znajdowała się przy zbiegu dwóch ulic: ulicy Dobrego Wychowania i ulicy Samych Piątek. Gmach szkolny był niezbyt wysoki, ale za to rozległy, a na jego tyłach zrobiono boisko szkolne. Natomiast okna większości klas wychodziły na ulicę. Nie było to najlepsze, jak twierdzili nauczyciele – gdyż podczas lekcji ciągle ktoś gapił się przez okno, zamiast uważać. Ale na to już nie było rady.

Jedną z takich klas, których okna wychodziły na ulicę, była klasa piąta C, na pierwszym piętrze. Trzeba przyznać, że widok stamtąd był wspaniały. Można było doskonale śledzić wszystko, co się działo na obydwoich ulicach, które zbiegały się w narożnik – a więc na ulicy Dobrego Wychowania i na ulicy Samych Piątek. A działy się tam czasem rzeczy szczególnie interesujące, a nawet można było śmiało powiedzieć – niezwykle. Do takich niezwykłości należeli na przykład Balonikarz i jego żółty pies. Ale o nich i tak będzie mowa później.

Natomiast teraz nieco więcej należałoby powiedzieć o klasie piątej C. Oprócz tego, że okna tej klasy wychodziły na ulicę, można by jeszcze dodać, że była to klasa widna i rozległa. Ławki stały trzema rzędami, w

5

środkowym siedziały dziewczynki, a w tych dwóch bocznych siedzieli chłopcy. Jeśu chodzi o zachowanie uczniów, trzeba ze smutkiem wyznać, że klasa ta nie cieszyła się najlepszą opinią wśród nauczycieli. O, co to – to nie!

Ta zaszargana opinia nie była, niestety, bezpodstawna. Wychowawca piątej C, pan Kowalski, kiwając smutnie głowią, mówił nawet, że według zdania wszystkich nauczycieli jest to najgorsza klasa w całej szkole. Ale ponieważ, jak się potem okazało, to samo kubek w kubek o swojej klasie mówiła wychowawczyni piątej A – pani Makowska, więc była, być może, w tym twierdzeniu niejaka przesada. W każdym razie ta piąta C nie była znów taka bardzo wzorowa i najlepsza. To jedno jest pewne.

A do powstania takiej opinii przyczyniali się oczywiście niektórzy uczniowie. No, choćby taki Kosmala...

Ale o tym potem. Na razie wróćmy do planu sytuacyjnego klasy. Jak już było powiedziane, w rzędzie środkowym siedziały dziewczęta. Otóż należy jeszcze dodać, że w drugiej ławce tego rzędu siedziała Julka ze swoją przyjaciółką Magdą. Magda w tym opowiadaniu nie odgrywa żadnej roli, natomiast Julka, jak to się dalej okaże, będzie poważnie zamieszana w całą tę historię, o której będzie mowa.

Co do chłopców – to chyba przede wszystkim należy powiedzieć o tych, którzy siedzą w rzędzie przy oknie. Tam więc, w drugiej ławce, w sąsiedztwie Julki siedział Piotrek ze swoim przyjacielem Wojtkiem, a dwie ławki dalej, za nimi, tkwił gruby Maciupa. Maciupa naprawdę nazywał się zupełnie inaczej, ale wszyscy wołali na niego Maciupa i to jest łatwiejsze do zapamiętania. Natomiast w tym rzędzie od

ściany, w ostatniej ławce, siedzieli Jacek Kosmala i Waldek, a przed nimi dwaj ich przyjaciele:

Fredek i Maniek. Pozostali piątacy dzielili się na dwa obozy: byli to albo zwolennicy Jacka Kosmali, wodza Bandy Silniaków, albo zwolennicy Piotrka – wodza Bandy Bohaterów.

A jeśli już mowa o wodzach, można jeszcze dodać, że Kosmala mieszkał w nowych blokach przy ulicy Lipowej, a Piotrek mieszkał po przeciwnej stronie, przy ulicy Świerkowej.

Teraz chyba można sobie wyobrazić, jak wygląda plan ulic w tej dzielnicy i gdzie znajduje się Szkoła Numer Siedemnaście. Jeśliby ktoś chciał, mógłby go nawet narysować. I można by jeszcze narysować te dwanaście drzewek, które rosły przed szkołą.

Tak więc opowiedzieliśmy chyba dosyć dużo o wszystkich miejscach, gdzie zaczęła się ta niezupełnie zwyczajna historia.

j^H^^^M

2. TERAZ O BAŁO NI KAR ZU

Teraz trzeba powiedzieć o Balonikarzu, który czasem przechadzał się przed szkołą.

Otóż o Balonikarzu nie można powiedzieć na razie nic tak zupełnie pewnego, tylko tyle, że był to ktoś dziwny i tajemniczy. A najdziwniejsze chyba było to, że nikt dotychczas nie widział go tak naprawdę. Naprawdę – to znaczy zupełnie z bliska. Bo byli tacy, którzy widywali go un ro^u ulicy przed szkołą, z kijem, do którego był uwią-any pyk niezwykle dużych i pięknych baloników – ale vldźlich ro tylko z okna klasy. Niektórzy zdołali też zau-vnzyć, że nosił trochę śmieszny, podobny do saganka sta-| i miodny kapelusz, a znów inni widzieli najzupełniej do-. ładnie, że w chłodne dni owijał szyję czerwonym szalem. |>zal, jeśli to był dzień wietrzny, powiewał niczym flaga na maszcie.

Tyle było wiadomo na podstawie obserwacji z okna, tyle i nic więcej, bo nikomu jeszcze nie udało się spotkać Balonikarza tak nos w nos i porozmawiać z nim albo kupić od niego balonik. To się nigdy jeszcze nie zdarzyło. Bo wtedy kiedy wszyscy wychodzili ze szkoły albo też zupełnie rano, przed lekcjami – wtedy Balonikarza nigdy, ale to nigdy na ulicy nie było. Ba, niektórzy z piątej C – gdyż z okien piątej C można było go najlepiej obserwować – otóż niektórzy uczniowie brali się nawet na taki

8

sposób, że próbowali szybko wybiec na ulicę podczas przerwy. Ale to też nic nie pomagało. Balonikarz znikał natychmiast.

Piotrek, ten, o którym będzie d.alej mowa, nawet specjalnie zaczęła się za rogiem ulicy, licząc na to, że w ten sposób zaskoczy tajemniczego sprzedawcę baloników. Ale gdzie tam! Nigdy mu się jeszcze nie udało. Mimo to Piotrek nie tracił nadziei i na wszelki wypadek nosił zawsze przy sobie trochę swoich oszczędności – na zakupienie balonika. Bo pomimo że w piątej, szóstej, a tym bardziej siódmej klasie człowiek już nie powinien interesować się balonikami, to trzeba przyznać, że te, które sprzedawał tajemniczy i nieznany Balonikarz – były niezwykle. Po pierwsze, były bardzo duże – a po drugie, miały jakieś dziwne kolory. Zupełnie jakby były wypełnione światłem. W mgliste, mroczne dni jesienne wyglądały jak blade świecące, kolorowe lampy.

Biorąc pod uwagę te wszystkie niezwykłości jasne jest, że spotkanie z Balonikarzem stało się punktem honoru nie tylko dla uczniów z piątej C, ale nawet i z szóstej, i siódmej. Robiono nawet szalone zakłady – gdyż byli tacy, którzy nie wąpili, że w końcu uda im się spotkać owego tajemniczego jegomościa. Stawiano w zakład najpiękniejsze „zo-śki”, dętki rowerowe i długopisy, a jeden z piątaków zaryzykował nawet zakład o rakieta do badmingtona. Była ona co prawda niezupełnie dobra, gdyż miała zerwane cztery struny. Ale co rakietą, to rakietą. Wszystko na próżno.

Natomiast dość często można było spotkać biegającego w pobliżu szkoły niewielkiego żółtego psa, jamnika.

3. A TERAZ O WYZYWANCE

Tak, teraz będzie mowa o wyzywance. Wzięła się w szkole zupełnie nie wiadomo skąd.

Oczywiście, mam na myśli ową słynną w całej szkole wyzywankę, którą znów nie wiadomo kto nazwał: „Ucho, dynia, sto dwadzieścia pięć”. W każdym razie zaczęło się od tego, że pewnego dnia, podczas tej najdłuższej przerwy, ktoś na korytarzu zawołał „ucho” i wtedy jeden chłopak, podobno to był ktoś z czwartej B, chwycił się za ucho.

Niektórzy utrzymują, że wyzywanka przyszła do Szkoły Numer Siedemnaście z powszechniaka Numer Trzydzieści Dwa przy ulicy Wesołej, ale byli i tacy, którzy mówili, że to nieprawda. Mniejsza zresztą, skąd się wzięła – grunt, że opanowała całą, ale to caluteńką Szkołę Numer Siedemnaście. Opanowała tak błyskawicznie, że już na drugi dzień po tym, jak ten chłopak z czwartej B złapał się na okrzyk „ucho” za własne lewe ucho, cała szkoła z wyjątkiem nauczycieli grała w nią w sposób opętany i nie dający się niczym zahamować. Oczywiście, trzeba jeszcze ' wyjaśnić, że wyzywanka nie ograniczała się tylko do okrzyku „ucho!”, co obowiązywało wyzwanego do schwywania się za własne ucho, ale ponadto wyzywający mógł na przykład krzyknąć „dynia!”, co, nie wiadomo dlaczego, oznaczało, że wyzwany ma się chwycić za nos, a znów jeśli wyzywający wymienił na dodatek jakąś liczbę, no

10

na przykład „dziesięć”, znaczyło to, że wyzwany musi natychmiast podskoczyć na jednej nodze dziesięć razy. Aby zabezpieczyć się przed wyzwaniem, należało trzymać podniesiony do góry palec, co oznaczało „wymawiam”. Doszło do tego, zwłaszcza jeśli chodziło o dziewczynki, że trzymały bez przerwy palec do góry, co znów okropnie denerwowało wszystkie nauczycielki, nie mówiąc już o pani kierownicze szkoły. Ale co miały robić biedne dziewczynki, jeśli na każdej przerwie czyhało na nie niebezpieczeństwo wyzywanki.

Od wyzwania można było uwolnić się dwójako: albo wyzwana ofiara trzymała się za ucho czy nos aż do dzwonka, którego dźwięk zwalniał wyzwanego, albo też wyzwany przerzucał wyzwanie na kogo innego. Kiedy moda wyzywanki zapanowała w szkole, to na samym początku zarówno pani kierowniczka, jak i nauczycielstwo nie wąpili, że jest to moda szybko przemijająca i że po prostu najlepiej będzie udawać, że się nie dostrzega tych dziwacznie wyglądających osobników trzymających się za nos lub ucho albo podskakujących na jednej nodze. Ostatecznie nic to nikomu nie szkodziło, tylko czasem wyglądało głupio i denerwowało niektórych nauczycieli.

Pani Makowska, ta od geografii, powiedziała nawet, że to może i lepiej, że jest ta wyzywanka, bo przynajmniej ci wyzwani nie biegają po korytarzu i nie krzyczą tak okropnie, że aż uszy puchną.

Tak, tak, naprawdę tak powiedziała, ale już wkrótce potem zmieniła zdanie i przyłączyła się do tych nauczycieli, którzy orzekli, że wyzywanka panosząca się w szkole doprowadza ich do białej gorączki. Doszło w końcu do tego, że kierownictwo szkoły zastanawiało się, czy nie wy-

li

dać jakiegoś zarządzenia, które zabraniałoby tej zabawy. Ale w końcu zwyciężyło zdanie pana Kowalskiego, wychowawcy z klasy piątej C, że nie należy zabraniać wyzywanki.

!- Zobaczycie, że w końcu im się to też znudzi – tak powiedział na zebraniu nauczycielskim.

Ale prorocze słowa pana Kowalskiego jakoś nie chciały się sprawdzić. Wyzywanka była dalej modna, wszyscy ją uprawiali i ciągle jeszcze można było spotkać jej zapalonych zwolenników. A największym zwolennikiem był Kosmala. Właśnie ten z piątej C. Zaledwie po dzwonku wybiegł na korytarz, już rozglądał się wokoło, szukając ofiary. Ma się rozumieć, że wszyscy mieli się na baczności, ale czy człowiek może się tak zawsze upilnować? Pani Makowska była nawet skłonna przypuszczać, że Kosmala nie nocuje w domu, tylko w szkole, i że od świtu czeka w końcu korytarza na wpadających uczniów, aby od razu móc ich wyzwać. Ale pani Makowska myliła się. Kosmala nocował w domu i

podobno spał tak mocno, że rano trudno było go obudzić. Dlatego też, .być może, przybiegał do szkoły dopiero w ostatniej chwili przed dzwonkiem. A może i dlatego się spóźniał, że jeszcze tuż przed ósmą miał swoje różne sprawy do załatwienia. Jak to Kosmala. Przede wszystkim zaczynał się za rogiem ulicy Dobrego Wychowania, w tym wgłębieniu, za którym zaraz nieco dalej jest sklep z papierem, i wyskakiwał najniespodziewaniej w świecie na trzeciaków i czwartaków, żeby ich wyzwać do skakania na jednej nodze jeszcze na ulicy. Potem pękał ze śmiechu, kiedy patrzył, jak taki pętaś jeden z drugim szybko skakał w stronę szkoły, aby się nie spóźnić. Chyba że nadszedł w takim momencie ktoś z nauczycielstwa i maluch mógł zaprzestać skakania. Naturalnie że dopytywania ze strony

19

starszych nie dawały żadnego rezultatu. Nikt nie chciał skarżyć na Kosmalę, bo wiadomo było, że on już potem potrafi się odegrać. Więc dlatego Kosmala tak sobie używał. Ba, potrafił nawet wyzywać zupełnie małe trzeciaki na dwadzieścia pięć podskoczeń, co było rzeczą bardzo trudną nawet dla silnych i wprawionych w skakanie szó-staków. Poza tym jego ulubionym zajęciem było dokuczanie wszystkim spotkanym po drodze psom, a już szczególnie małemu żółtemu psiakowi, który często biegał w pobliżu szkoły, a czasem siadał i przekrzywił głowę, zupełnie jakby na kogoś czekał.

Przez długi czas nie wiadomo było, czyj to jest pies, ale któregoś dnia Piotrek dokonał zaskakującego odkrycia, że jest to pies Balonikarza. Fakt ten nie ulegał najmniejszej wątpliwości. Spojrzawszy na lekcji matematyki przez okno na ulicę, Piotrek zobaczył na własne oczy, że obok drepcącego z pękiem balonów Balonikarza biega ten właśnie mały żółty jamniczek. To spostrzeżenie potwierdził potem nie kto inny, a sam Maciupa. Pierwszy uczeń w klasie. Zwłaszcza z matematyki i biologii. Do tego należy jeszcze dodać zeznanie Julki, która pewnego dnia udając, że niby wchodzi do szkoły, odwróciła się błyskawicznie, aby przyłapać Balonikarza. Prawie się to jej udało. Nie zobaczyła jego samego z bliska, ale zaklinała się, że dojrzała za rogiem powiewające końce czerwonego szala, a także biegnącego za Balonikarzem tegoż właśnie żółtego psa. Otóż Kosmala nie wiadomo dlaczego czepiał się tego

)siaka i rzucał w niego kasztanami. A jeśli nie było kasztanów, to rzucał patykami i nawet czasem kamieniami

Ibo też obrzydliwie przedrzeźniał psie szczekanie, co jamnika najwidoczniej denerwowało. Wszyscy mówili temu Kosmali, żeby dał spokój, ale gdzie tam Kosmala kogo posłuchał! On uważał, że jeśli jest najwyższy w klasie, to mu wszystko wolna. I co z takim gadać. Tak, to chyba wszystko, co można na razie powiedzieć o wyzywance, o Kosmali i o żółtym psie, który czasem biegał w pobliżu szkoły.

4. O BOHATERACH I SILNIACACH

Aby opowiedzieć wszystko tak, jak było naprawdę, trzeba sprawiedliwie przyznać, że najwięcej wypatrywali tego Balonikarza Piotrek i Maciupa. Gruby Maciupa tak potrafił się zagapić, że kiedyś nie usłyszał, że go pani woła do tablicy. Dostał przez to uwagę w dzienniku, czym bardzo się zmartwił. Bo Maciupa jest ogromnie pilny. Chyba najpilniejszy w klasie.

A jeśli już mowa o Maciupie, dobrym, poczciwym Maciupie, to należy jeszcze dodać, że jest on podporą Bandy Bohaterów, której wodzem i założycielem jest, jak już wiadomo, Piotrek. On, również obrywa uwagi za to gapienie się przez okno, ale poza tym uczy się niezłe i lubi czytać książki o bohaterach i ich niezwykłych przygodach. Chciałby też dokonać czegoś szlachetnego i nawet w tym celu założył swoją Bandę.

Do Bandy, prócz Maciupy, należy także Wojtek i jeszcze paru chłopców. Ponadto ta Piotrkowa Banda ma w klasie swoich zwolenników – to znaczy takich, którzy do Bandy nie należą, ale w razie czego są po jej stronie i popierają ją. Również do Bandy należy i Julka. Ale potajemnie, żeby jej nie dokuczały inne dziewczynki, że trzyma z chłopakami.

Naturalnie że Banda Silniaków, której wodzem jest Kosmala, ma też swoich stronników. Nawet jest ich dosyć 16 dużo. Bo to są ci chłopcy, którzy zawsze chcą się bić. Nawet bez powodu, tylko tak – aby się walić. Więc oni są za Kosmalą. Wśród nich są naturalnie tacy jego przyjaciele od serca, jak Waldek albo Fredek czy Maniek. I oni należą do sztabu Bandy Silniaków. Obydwie bandy są w nieustającej wojnie, bo Silniacy zaczepiają Bohaterów na każdym kroku i nie dają im spokoju. Pewnie że Silniaki mają przewagę, bo to najwięksi chłopcy w klasie i niektórzy są drugorocznymi i bardzo silni. A Bohaterzy są słabsi – już choćby dlatego, że to są chłopcy młodsi i tacy, którzy nie lubią bijatyk. No, nie lubią i już.

Starcia między Bandami bywają różne. Czasem to bywają małe utarczki, a czasem większe bitwy – na przykład na kule papierowe. Ale na dobreł to się to wszystko rozpętało dopiero wtedy, kiedy w piątą C zapanowała moda na wyzywankę. Wtedy dopiero zaczęły się awantury. A teraz już chyba można zacząć mówić o tym, co było dalej.

ł z wyk-

DZIEŃ

Dzień zapowiadał się zupełnie zwyczajnie. Mimo że był dopiero początek października, od rana unosiła się na świecie mgła tak gęsta, że o parę kroków dalej nic już nie było widać. Piotrek, który zasnął trochę i z tego powodu ledwie zdążył przełknąć śniadanie, biegł do szkoły, wciągając na siebie po drodze wiatrówkę. Rozglądał się, czy czasem Wojtek nie nadchodzi od strony tramwaju, ale Wojtka nie było. Tylko mały Za-krzewski z trzeciej A biegł truchcikiem, pełen obawy, aby się nie spóźnić. Naraz ktoś walnął Piotrka pięścią w plecy. Odwrócił się błyskawicznie. Ach, to Maciupa.

– Umiesz histę? – zapytał przede wszystkim Maciupa.

Piotrek wzruszył ramionami.

– Umieję, pewnie, że umięję.

– Boję się, że mnie dziś będzie pytać – Maciupa westchnął ciężko. Bo już taki był, że chociaż dobrze się uczył, ale nie lubił odpowiadać.

– A ile ci wypadło z zadania? – dopytywał się dalej.

Tym razem nie otrzymał jednak odpowiedzi, gdyż właśnie nadbiegł zdyszany Wojtek i z trudem chwytając oddech, relacjonował Piotrowi:

18

– Szedłem akurat za Dziubakiem i Kasińskim i słyszałem, jak gadali, że Kosmala szykuje na nas napad.

Piotrek zmarszczył brwi.

– Przewidywałem to. Pomówimy później – dodał z godnością.

– No dobra, niech będzie później – mruknął Wojtek. I pobiegli teraz szybko do szatni, gdyż zegar szkolny wskazywał, że do godziny ósmej brak jest już tylko pięciu minut.

– Wieszaj ubranie z brzegu – polecił szeptem Piotrek. Wojtek spojrział pytająco.

– Może będziemy musieli dziś wypaść ze szkoły jak najwcześniej. Przypuszczam, że trzeba będzie rozegrać tę potyczkę z Kosmalą. On się odgraża. Bądź gotów i zawiadom naszych. Poza tym mianuję cię moim zastępcą.

– Tak jest! – szept Wojtka był służbisty, lecz brzmiała w nim również nuta radości.

Wpadli do klasy prawie tuż przed dzwonkiem. Wychowawca, pan Kowalski, sprawdzał zawsze listę obecności trochę później, bo najpierw rozmawiał z tymi, którzy mieli świadectwa usprawiedliwiające nieobecność poprzedniego dnia, i z tymi, którzy mieli nie przygotowane lekcje. Zwłaszcza dziewczynki opowiadały o swoich sprawach tak rozwlekłe i szczegółowo, że Piotrek i Wojtek mieli dosyć czasu, aby rozejrzeć się w sytuacji. Kosmali jeszcze nie było, ale za to z ulicy dobiegł ich żaloszny psi skowyt.

– To Kosmala uderzył żółtego psa! – mruknął Piotrek i co prędzej wyrzwał przez okno. Na rogu ulicy, w białawej mgłę, mignęło coś żółtego.

– No mówiłem, że mu zrobił krzywdę! Biedne psisko! Na pewno rzucił w niego kamieniem! – Piotrek był oburzony.

19

Tymczasem pan Kowalski kończył sprawdzać listę, a do klasy wsunął się uśmiechnięty pogardliwie Kosmala. Zaraz też zaczęła się lekcja matematyki. Julka rozwiązywała przy tablicy zadanie i trochę się plątała, ale Wojtek i Piotrek, chociaż rozwiązali w swoich zeszytach zadanie szybciej, siedzieli spokojnie, umilając sobie czas oczekiwania wyglądaniem przez okno. ("Naraz Piotrek trącił Wojtka łokciem i wzrokiem wskazał narożnik ulicy. Poprzez październikową mgłę zarysowała się wyraźnie postać mężczyzny, trzymającego oburącz kij, do którego przywiązany był pęk baloników. Jesienny wiatr rozwiewał końce czerwonego szalika, którym owinięta była szyja sprzedawcy, żółty piesek stał obok., | Ach, gdyby teraz można było niespodziewanie wybiec I na ulicę. Kto wie, czy tym razem nie udałoby się dopaść Balonikarza i kupić jeden z tych świetlistych balonów. Piotrek zaczął w myśli obliczać pieniądze, które w tej chwili miał przy sobie, kiedy naraz usłyszał swoje imię wypowiedziane przez pana Kowalskiego:

Zerwał się w ławce. Oj, do licha! zupełnie nie wiedział, o co chodzi, i dwójka za nieuwagę lub co najmniej notatka w dzienniku zawisły nad Piotrkową głową. Spojrzał rozpaczliwie na Wojtka, ale Wojtek też widać nie uważał, bo miał głupią minę i nieprzytomnie) gapił się na tablicę, a że Piotrek był dobrym matematykiem, więc jakoś z postępowaniem i jakanem się zdołał wybrnąć z tej historii.

– No, siadaj – mruknął pan Kowalski. – Jakoś ci się udało, ale ty się nie gap, bracie, w okno. Lepiej sprawdź to, co napisałeś.

Ba, dobrze powiedzieć: nie gap się, kiedy tam, na ulicy, najwyraźniej w świecie widać Balonikarza i jego świet-

t&k

1 • * |
°*zegawczo Wojteklv ' "" debie P***y -Rzeczywiście. Pan KoZlS'-0^
«*»*!

jak szybko

nie

Jtedy ^^ dopiero było, gdyby K** byli na
pa.

~ Chłopak, wiecie? - No, to co? To odważnie Piotre]c. sP6b chcą nas
zaat od Waldka, co oni . To twój Sąsiad Postar

P°-tawato wiec

okno.

« gdybym ^ g° Sp°tkał-

od g nich zdenerwL

1 P°Wfed*fał - e ^wiedzieć się, w jaki

ty. mUsisz dowiedzieć znasz się z Wald-

lepszy od Kos-

^Z ^ f 'o będzie. _ PLoTr ie oboi przechodził icCS

6. DALSZY CIĄG ZWYCZAJNEGO DNIA

Przed geografią wypadała akurat dłuższa przerwa, przeznaczona zasadniczo na zjedzenie śniadania. Wojtek był tego dnia dyżurnym, więc został na przerwie w klasie, pootwierał okna, a potem wyjął z teczki zawinięte starannie w papier kromki chleba z ulubionym kminkowym serem i już miał zamiar zabrać się do solidnego jedzenia, kiedy naraz wpadł do klasy Kosmala w towarzystwie tego swojego adiutanta, tego Waldka.

– Smacznego! – powiedział Waldek, uśmiechając się złośliwie. – Smacznego!

Wojtek nie był pewien, czy powinien to potraktować poważnie, czy też udać, że nie słyszy. Miał poza tym zamiar zwrócić uwagę Kosmali, że podczas przerwy wolno przebywać w klasie tylko dyżurnemu, kiedy Kosmala najnie-spodziewaniej w świecie zawołał:

– Dynia!

Wojtek zdrętwiał. Było to wyzwanie zupełnie niszczące człowieka, który ma zamiar jeść śniadanie. Słowo „dynia”, jak wiadomo, oznaczało, że trzeba chwycić się za nos. A czy można, trzymając się za nos, jednocześnie ze smakiem i spokojnie zjadać śniadanie? Czy można, trzymając się za nos, co jak wiadomo utrudnia oddychanie, jednocześnie połykać kęski chleba? Tym bardziej że według prawideł wyzywanki, za nos trzeba było trzymać się mocno, uczciwie. Nic więc dziwnego, że Wojtek zdrętwiał. W do-

22

datku nie było żadnej nadziei, że na przykład w najbliższym czasie wejdzie do klasy pan Kowalski, który wyzwoli Wojtka z kłopotliwej sytuacji.

Tak więc Wojtek znalazł się w sytuacji niezwykle trudnej. Jedną ręką trzymał się za nos, w drugiej trzymał kawałek chleba z masłem i serem kminkowym, a Kosmala stał na środku klasy i podparty pod boki szydził:

– Postoisz sobie, co? Dlaczego nie jesz śniadania? Takie ważniaki niby jesteście obaj z twoim całym Piotrkim, ale jeszcze zobaczycie, co my potrafimy. Przekonacie się, bracie, że Kosmali nikt nie da rady.

Nie, nerwy tak zawsze spokojnego Wojtka nie były

23

w stanie wytrzymać tych szyderstw. Trzymając się lewą ręką za nos, spojrział z żalem na kromkę chleba i osądziwszy, że jednak sprawa honoru jest ważna ponad wszystko, z całej siły zamachnął się i rzucił chlebem w Kosmalę. Tego prawidła wyzywanki nie zabraniały.

Kromka chleba, tak suto nasmarowana przez mamę, zatoczyła piękny łuk w powietrzu i niestety, zamiast spocząć na głowie Kosmali, przeleciała tuż nad głową niespodziewanie wchodzącego do klasy pana Kowalskiego i pac-nęła głośno o ścianę, przylepiając się maślaną stroną. To było to najgorsze, co mogło się zdarzyć!

Wojtek, trzymając się w dalszym ciągu lewą ręką za nos, stał w swej ławce niemy i można powiedzieć skamieniały. Pragnął w tej chwili jedynie tego, aby w jakikolwiek sposób zniknąć z powierzchni świata. Ach, gdyby podłoga mogła w tej chwili rozewrzeć się i pochłonąć go! Ale ponieważ podłoga nie otwierała się, Wojtek błyskawicznie dał nura pod ławkę i tam z zapartym oddechem czekał, co będzie dalej.

Tymczasem pan Kowalski zajęty był oczyszczaniem marynarki, gdyż niestety, niestety! kawałek doskonałego sera kminkowego odprysnął od ściany i chlapnął na ciemne ubranie wychowawcy.

– Ładnie się” zabawiacie – zauważył wobec tego spokojnie jak zawsze pan Kowalski i spojrział na stojących między ławkami Kosmalę i Waldeka.

– To nie my – odpowiedzieli ponuro.

Pan Kowalski machnął ręką. Potem dodał smutnym głosem:

– Po lekcji dacie mi swoje dzienniki, a teraz staniecie przy tablicy, nosem do ściany, i tak będziecie stali.

– To nie my! – próbowali jeszcze raz Waldek i Kos-24

mała. – To ten Wojtek, proszę pana, naprawdę to nie my!... Jak rany Boga!

Jednak pan Kowalski znów machnął ręką i nic nie chciał słuchać, więc zamilkli. Zwłaszcza że pan Kowalski usiadł przy stoliku i zaczął przeglądać dziennik. To zawsze sprawa niebezpieczna.

Tymczasem Wojtek siedział pod ławką. Nie trzymał się już co prawda za nos, ale serce biło mu jak młotem. Co to będzie? Co to będzie?

Rozmyślał, w jaki sposób Kosmala i Waldek będą teraz mścili się na nim za to wszystko. Bo jedno było pewne, że nie darują mu tego, że stali przy ścianie. Nie chcieli przy panu Kowalskim rozrabiać i opowiadać, jak to było, boby się wydało z wyzywanką, za którą pan Kowalski chętnie dawał gałę ze sprawowania. Woleli więc chwilowo o tym nie mówić. Ale że nie darują mu tego, to pewne. Poza tym szkoda mu było śniadania. Taki pyszny, świeży chleb! Jeszcze był gorący, kiedy mama go krajała. I ze świeżym masłem i serkiem.

– Ach! – Wojtek westchnął cichutko. –! Żeby wreszcie odezwał się

dzwonek!

Nigdy chyba nikt nie pragnął tak dzwonek w klasie piątej C, jak Wojtek w tej strasznej chwili. Byłaby to wreszcie okazja, aby niepostrzeżenie wyjść spod ławki. I gdybyż ten Piotrek przylazł. Gdzie on się włóczy?

Kiedy na koniec zabrzmiał upragniony dzwonek, Piotr wpadł do klasy jeden z pierwszych, bardzo zaniepokojony nieobecnością Wojtka na korytarzu. Przecież miał wyjść z klasy zaraz po śniadaniu. Kto wie, czy Kosmala go tam gdzie nie. przyłapał? Po Kosmali można się wszystkiego spodziewać. Mógł na przykład Wojtka zbić i potem wyprzeć się wszystkiego. Bo on taki właśnie był.

25

Ale jak się okazało, pan Kowalski był w klasie, Kosmala i Waldek stali z ponurymi minami, nosem do ściany przy tablicy, a Wojtka nie było.

Naraz, siadając w ławce, Piotrek poczuł, że ktoś chwyta go za nogę. W pierwszej chwili pomyślał, że to jakiś niezbyt mądry dowcip któregoś z tej Kosmalowej paczki. I już miał zamiar porządnie wierzgnąć nogą, kiedy usłyszał spod ławki błagalny szept Wojtka:

– Ty, zasłoń mnie tak, żebyś mógł wyleźć!

Nie posiadając się ze zdumienia, Piotrek szybko wykonał polecenie przyjaciela i Wojtek wreszcie wygramolił się spod ławki. Usiłował z możliwie najniewinniejszą miną usiąść na swoim miejscu, korzystając z tego, że pan Kowalski skierował się do drzwi i nie patrzył w ich stronę.

– Co się stało? – spytał szeptem Piotrek, ale ponieważ w tej chwili, mijając się w drzwiach z panem Kowalskim, weszła nauczycielka od geografii, pani Makowska, która nie znosiła szeptów i gadaniny na lekcji, więc nie mógł o nic więcej pytać. Tylko poszturczał Wojtka w bok, aby w ten sposób skłonić go do jakichś wyjaśnień.

„Zatarg z Kosmalą – napisał wobec tego z godnością na kartce Wojtek.

– Wyzwał mnie, a potem była awantura!”

– Oczywiście – mruknął przez zaciśnięte zęby Piotrek. I od razu zrozumiał, że będzie musiało dojść do rozgrywki między nimi.

„Pokonamy Kosmalę” – odpisał wobec tego na innej kartce i podsunął ją Wojtkowi, pragnąc mu w ten sposób dodać otuchy. Bo od razu było widać, że Wojtek się łamie:

Tymczasem pani Makowska kazała Kosmali i Waldko-wi siadać na miejsca i zapowiedziała, że będzie klasówka. Całe szczęście, że temat był nietrudny, i Piotrek rażno

zabrał się do roboty. Właśnie zapisał już co najmniej połowę strony, kiedy zupełnie niechcący i w zamyśleniu spojrzął w okno.

Spojrzał i zabiło mu serce. Sprzedawca Baloników znów stał na swoim zwykłym miejscu, a końce jego czerwonego szala powiewały na wietrze.

Żółty piesek podskakiwał wesoło i na pewno szczekał, tylko że na górze i przy zamkniętych oknach nie było tego słyhać. Balonikarz jak zwykle stał odwrócony bokiem, tak że nie można było zobaczyć jego twarzy. Ale naraż, najzupełniej niespodziewanie, odwrócił się. I teraz twarz nie była dość wyraźna. Może z powodu tej mgły, która nie ustępowała, od rana. Ale Piotrek byłby przysiągł, że sprzedawca patrzy na niego. Właśnie na niego. Było to tak niezwykle, że Piotrek zapomniał o geografii i o tym, że pani Makowska jest bardzo surowa i nie lubi, kiedy uczniowie wiercą się na lekcji, i przechylił się w ławce w stronę okna. W dodatku, w pewnej chwili Balonikarz najwyraźniej w świetle podniósł rękę i skinął nią przyjacielsko w stronę Piotrka. Ależ tak, na pewno, właśnie w stronę Piotrka. W żadną inną. Nie, to już było wprost nadzwyczajne!

Piotrek w najwyższym podnieceniu chwycił Wojtka za rękę.

– On patrzy na mnie!

– Kto patrzy? – zaniepokoił się Wojtek, robiąc przy tym niezwykle rozmiarów krechę w zeszycie od geografii.

Niestety, nie usłyszał odpowiedzi na to pytanie, gdyż pani Makowska uznała za stosowne zainteresować się osobiście tym, co się dzieje w

drugiej ławce przy oknie.

– Wojtek, ty już napisałeś?

27

– Nnnnie, to znaczy niezupełnie – wyjąkał Wojtek, usiłując wytrzeć gumą krechę i rzucając pełne wyrzutu spojrzenie Piotrkowi. Ale Piotrek znów gapił się w okno.

– Piotrek! – zawołała teraz pani Makowska. – Czemu nie piszesz? Balonikarz stał teraz z podniesioną głową i dalej przyjaźnie machał ręką, a balony zdawały się być jeszcze większe i bardziej świetliste niż zazwyczaj.

– No, czemu nie piszesz? Za dziesięć minut będzie dzwonek! – pani Makowska zbliżała się teraz do ławki chłopców.

– Może jego boli głowa, proszę pani – odezwała się naraz Julia ze środkowego rzędu.

Pani Makowska odwróciła się szybko w jej stronę.

– A co ty jesteś taki adwokat, Julka, co? – spytała. – Piotrek chyba sam umie powiedzieć.

– Nie, ja nic, tylko on tak mówił na przerwie – jąkała Julka. Była teraz czerwona i nie wiedziała, jak wybrnąć, a cała klasa w śmiech.

– Cisza! – zawołała pani Makowska.

Julka pochyliła głowę nad zeszytem i pisała szybko. Trochę to źle wypadło, z tym bronieniem Piotra, ale chciała przecież jak najlepiej. Oczywiście że teraz będą jej dziewczynki dokuczać, że za chłopakiem się wstawiała, ale żadna z nich nie wiedziała i nie rozumiała tego, że jeśli Julka należy do Bandy Bohaterów, to musi bronić wodza. Julka miała swoje bojowe zalety.

Pani Makowska tymczasem zwróciła się do Piotrka; który znów gapił się w okno.

– Co ci, Piotrek? Źle się czujesz?

– On, proszę pani, machnął do mnie ręką – szepnął

Piotrek, pragnąc podzielić się z panią Makowską niezwykłą nowiną. Ale pani Makowska spozierała na niego z najwyższym zdumieniem, najwyraźniej nic nie rozumiejąc.

– Kto do ciebie machał ręką?

I zwracając się do całej klasy powiedziała srogo:

– Kto macha ręką? Kto przeszkadza na lekcji? Proszę się zaraz przyznać! Co to za zachowanie?

– Kiedy to nie w klasie! – jęknął Piotrek. – To, proszę pani...

Chciał powiedzieć, że to Balonikarz, ale zaraz się opamiętał. Nie, takich rzeczy nie należy mówić wobec całej klasy, a zwłaszcza wobec Kosmala i jego paczki. Niepotrzebnie się wygadał. Na szczęście Kosmala nie połapał się, że to chodzi o Balonikarza, tylko chcąc skompromitować Piotrka zapisał cieniem głosem:

– Skarżypyta!

Pani Makowska nie usłyszała tego i tylko powiedziała do Piotra:

– Co ci się dzisiaj stało? Siedź spokojnie, Piotrze.

– Ja przez niego nie mogę uważać, proszę pani – wystąpił wobec tego, korzystając z okazji, Kosmala – on przeszkadza! Zupełnie mi się pomyliło.

– No, spokój, spokój – pani Makowska machnęła ręką. – Jeśli ty, Kosmala, jesteś taki pilny, to wystarczy, że sam będziesz siedział spokojnie.

A potem dodała:

– No, dzieci, kto już kończy, niech składa i oddaje zeszyt :- a Piotrek i Julia zbiorą resztę.

Jakoś tak się złożyło, że dzwonek zadzwieczał akurat w.tedy, kiedy Piotrek pisał ostatnie słowa. Rzucił jeszcze spojrzenie na ulicę, ale Balonikarza już nie było. „Może będzie jutro?” – pomyślał na pociechę i szybko wstał,

29

aby zebrać zeszyty. Wyciągnął rękę po zeszyt Wojtka, ale Wojtek jeszcze ciągle próbował wytrzeć tę krechę.

– Wojtek – szepnął Piotrek – dawaj! Pani kazała zebrać.

– To co, że kazała! – mruknął wściekły Wojtek. – Przecież widzisz,

co się stało. Jeszcze mi wlepi gałę.

– Piotrek!. – zabrzmiał tymczasem głos pani Makowskiej (która, ponieważ Piotrek miał piątkę z geografii, uważała go za godnego zaufania i zlecała mu wszystkie sprawy związane z lekcjami w ich klasie). – Piotrek – powtórzyła – jak zbierzecie zeszyty, to przyniesiecie je do pokoju z pomocami i tam zostawicie. Niech ci Julka pomoże. (Julka miała piątkę minus i dlatego też była godna zaufania).

– Dobrze, proszę pani – odpowiedział z roztargnieniem Piotrek i szepnął do Wojtka:

– Słuchaj, ja lecę teraz z mapą, a tymczasem Julka będzie zbierać zeszyty. Ty oddasz na końcu. Julka zmartwiła się.

– Słuchaj, Piotrek, nie będę mogła z tobą pójść, bo ja dzisiaj mam muzykę, więc muszę co prędzej lecieć do domu. Więc tylko je zbiorę, co?

Kosmala stał z boku i przysłuchiwał się tej rozmowie z uśmiechem.

– Te, Piotrek – mruknął – aby się nie podźwigaj, boby się Julcia popłakała!

I włożywszy ręce do kieszeni, popatrzył na nich drwiąco, a potem wyszedł z klasy.

– Wstrętne chłopaczysko – mruknęła Julka – on zawsze i każdemu chce dokuczyć!

– Nie zwracaj na niego uwagi! – krzyknął Piotrek i szybko pobiegł do pokoju nauczycielskiego. Postawił

30

mapę w kącie i wrócił korytarzem w stronę klasy, kiedy w połowie drogi spotkał Wojtka z zeszytami i z teczkami.

– To fajnie – ucieszył się – że zabrałeś i moją teczkę. To lecimy jeszcze raz z zeszytami. Zostawimy je w szafce pani Makowskiej, a potem jazda do domu!

– Dobra! – zgodził się już zupełnie pocieszony i rozpogodzony Wojtek. – Ale... wiesz co? Wpadnij ze mną jeszcze do biblioteki. Muszę tylko coś zabrać. Wyjdziemy tamtym drugim wyjściem, to nawet będzie prędzej.

Tak więc tego dnia Piotrek wyszedł ze szkoły drugim wyjściem. Ale Kosmala tego się nie spodziewał.

r

7. UCHO! DYNIA! STO DWADZIEŚCIA PIĘĆ!

Kosmala stał przy pierwszym wyjściu, ukryty za grubym murem, i już zaczynał się niecierpliwić. Co do licha? Wszyscy już wyszli ze szkoły, a dlaczego ten Piotrek nie wyłazi? Pewnie tam się grzebie, niezguła. Ale będzie miał niespodziankę! No, i trochę się podenerwuje. I już raz na zawsze będzie wiedział, że ma szanować Kosmalę. Że Kosmala to Kosmala! Wódz Bandy Silniaków. Takich, co to się nikogo nie boją. A jakby tak co do czego, to potrafią dać nauczkę. Ale dlaczego jeszcze go nie ma? Przecież umawiał się z Julką, że zaraz po niej wyjdzie. Julka już wyleciała pędem, bo się spieszyła na muzykę, a Piotrek miał wyjść zaraz za nią. No nic, cierpliwości. Co się odwlecze, to nie uciecze. Jak będzie wychodził, to musi minąć ten wystający mur, a wtedy nikt teraz nie przechodzi, więc wszystko uda się doskonale. Ale Piotrek będzie miał niespodziankę! Niech pokaże, co potrafi, kiedy taki z niego wódz Bohaterów.

I Kosmala uśmiechnął się szatańsko.

Naraz usłyszał kroki.

„Aha, człapie się nareszcie, człapie” – pomyślał i wyskoczył błyskawicznie zza muru z gromkim okrzykiem;

– Ucho! Dynia! Sto dwadzieścia pięć!

Nagle zamarł. Bo oto zamiast oczekiwanego Piotrka stał przed nim dość gruby jegomość w dziwnym kape-

32

luszu, z czerwonym szalikiem okręconym na szyi. Pod pachą trzymał drag, do którego przywiązane były kolorowe baloniki.

„Co za dziwadło jakieś! To pewnie ten Balonikarz!” — pomyślał Kosmala. – O rety! Ale wpadłem!

Zupełnie nie wiedział, jak się zachować wobec tak nieoczekiwanego spotkania.

– Czy coś mówiłeś do mnie? – spytał grubym, trochę zachrypniętym głosem Balonikarz.

•– Nie, ja tylko tak do siebie! – mruknął Kosmala.

– Do siebie? Doprawdy? – Balonikarz roześmiał się jak to określił w myśli Kosmala, nieprzyjemnie.

:- Więc powiadasz, że mówiłeś sam do siebie? __ ciągnął dalej Balonikarz. – Dziwne, dziwne! To ty znaczy sam siebie wyzwales? Tak? Bardzo^ interesujące. Baaar-dzo – powtórzył przeciągając słowo. – No, to proszę cię chłopcze, nie krępuj się! Musisz chyba spełnić wyzwanie! Chyba dla wodza Silniaków to nie takie trudne? Zaczynaj! – Jajajajakto mam zaczynać? – wyjąkał Kosmala. Czuł się zupełnie głupio.

~ No, jeśli się nie mylę, rzuciłeś wyzwanie: „ucho dynia” i tak dalej. Człowiek honoru nawet wobec siebie spełnia rzucone wyzwania. Czyżbyś nie miał zamiaru?...

– Kiedy ja się teraz okropnie spieszę – zaczął się wykręcać Kosmala.

– Och, nic nie szkodzi! Mam nadzieję, że zrobisz szybko to, co do ciebie należy.

– E, proszę pana... ja już muszę iść...

I Jacek Kosmala zrobił szybki ruch, tak jakby miał zamiar uciec bokiem. ^Stój, bracie!

ikarz zagroził mu drogę swoim kijem z balonami da...

A one nagle zaczęły rosnać, powiększać się, i zrobiło się ich tyle, że tworzyły jakąś kolorową ścianę, która odgradzała Kosmalę i Balonikarza od reszty podwórza.

– Niech pan mnie puści! -- jęknął Kosmala. – Mama na mnie czeka!

– Wcale nie czeka, bo i tak zawsze się spóźniasz. A poza tym im prędzej odrobisz swoje, tym prędzej pójdziesz do domu. Ty jakoś nigdy nikomu nie darowałeś wyzywan-ki, co?

Sprawa wyglądała zupełnie niedobrze.

– No to co? Mam skakać jak głupi? – spytał niegrzecznie Kosmala, widząc, że nic nie da się utargować.

Balonikarz spojrział na niego tak przejmująco, tak groźnie, że Kosmala poczuł, że musi go usłuchać.

– Ano skacz, bracie.

Aczkolwiek bardzo niechętnie, Kosmala chwycił się lewą ręką za ucho, prawą za nos i zaczął podskakiwać na prawej nodze. –Balonikarz stał obok i liczył podskoki.

– Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć....

– Już nie mogę więcej! – oświadczył zdyszany Kosmala przy trzydziestym podskoczeniu.

– Jak to, nie możesz! Zdaje mi się, że wymieniłeś nieco większą ilość... To ty tak wypełniasz wyzywankę?

Nie pozostawało nic innego, jak skakać dalej. Jednak kiedy Jacek doszedł do pięćdziesięciu podskoków, zatrzymał się, dysząc.

– Dlaczego, przestałeś skakać? – spytał słodziutkim głosem Balonikarz.

– Bo tyle miałem skoczyć – mruknął wściekły Jacek. | – Chyba z uczciwością jesteś na bakier. Powiem ci wobec tego, że słyszałem najwyraźniej, jak powiedziałeś: sto dwadzieścia pięć. To po pierwsze. A po drugie, sam

wiesz dobrze, że tak naprawdę to nie siebie wyzwales, bo na tyle głupi to ty, bracie, nie jesteś, tylko czatowałeś na kogo innego. Nie próbuj przeczyć. Nawet mogę ci powiedzieć, jak się ten chłopak nazywa, ten, na którego czekałeś. I on, chociaż mniejszy i słabszy, miał skoczyć na twoje wyzwanie sto dwadzieścia pięć razy, co? A wiedziałeś przecież dobrze, że to zbyt ciężkie wyzwanie. No i co? Poska-czesz jeszcze?

– Nnnie, nie mogę – wyjąkał Kosmala.

– Hm, nie możesz – zastanowił się Balonikarz. – No, to wobec tego, że nie potrafisz wykonać tej wyzywanki, to ja wygrałem i mam teraz

prawo ciębie wyzwać. Uwaga!

To mówiąc, Balonikarz wyciągnął wskazujący palec lewej ręki w stronę Kosmali i powiedział z mocą:

– Ucho!

*

W tejże chwili Jacek Kosmala poczuł z najwyższym zdumieniem, że jego uszy rosna i rosna, i stają się coraz dłuższe, a przy tym miękkie i pokryte, jak zdołał zauważyć, krótką, żółtą sierścią.

– Co to jest? – wrzasnął wobec tego.

– Och, nic takiego – powiedział niefrasobliwie Balonikarz. – Po prostu wyzywanka, którą tak lubisz! A teraz, uwaga, dalszy ciąg: Dynia!

Jacek Kosmala chciał krzyczeć, że nie chce, że się nie zgadza, ale nie mógł. Jego okragła i rumiana twarz wy-

34

35

dłużyła się w psi pyszczek, nogi stawały się coraz krótsze, ręce skurczyły się w błyskawicznym tempie i stały się małymi, krzywymi łapkami. Całe ciało było teraz długie i pokryte żółtą sierścią. Jednocześnie Jacek poczuł, że jest mu bardzo niewygodnie tak stać na dwóch nogach, i wobec tego stanął na czworakach.

– Co się ze mną dzieje? – krzyknął zdumiony i przestraszony, ale zamiast krzyknąć, głucho warknął.

Tymczasem Balonikarz, trzymając ciągle wyciągnięty w stronę Kosmali palec, zachichotał; – Nie zauważyłem nigdy, abyś szczególnie martwił się o to, co się dzieje z tymi, którym dokuczasz. – I dokończył swej wyzywanki:

– Sto dwadzieścia pięć!

Kosmala poczuł, że jego ciało wydłuża się jeszcze bardziej, że brzuch prawie dotyka ziemi, że nos robi się zimny i mokry.

– No – powiedział po chwili z zadowoleniem Balonikarz – teraz chyba wszystko jest w porządku. Ponieważ rzuciłeś znieścacka wyzwanie, którego sam nie potrafiłbyś wykonać, więc tym razem przegrałeś, mój drogi. Oczywiście, że gdybyś natrafił tak, jak zamierzałeś, na tego swojego kolegę, na Piotrka, tobyś dopiero był waźniak i wyśmiewał się z niego. Bo ty jesteś ten największy Silniak, co? Ale ja, bracie, jestem jeszcze większy silniak od ciebie. Więc ponieważ przegrałeś, mogłem zamienić cię w psa. Jesteś w tej chwili taki sam, ale to kropka w kropkę taki samiuteńki, jak ten żółty piesek, którego rano, kiedy szedłeś do szkoły, uderzyłeś kamieniem. Dla wyjaśnienia mogę dodać, że pies, który tak wygląda, to jamnik. Poza tym nie mogę w tej chwili przewidzieć, jak długo będziesz żółtym jamnikiem.

I Balonikarz odszedł wolnym krokiem, nie oglądając się.

H

A Uf

Jacek Kosmala stał przez chwilę nie wiedząc, co począć dalej. To, żeby mógł stać się psem, wydało mu się niemożliwe i zaraz zaczął podejrzewać, że jest to pewnie po prostu taki bardzo śmieszny i dziwaczny sen i że trzeba będzie wreszcie się obudzić. Chciał wobec tego uszczypnąć się w rękę, jako że uważał to za najskuteczniejszy sposób na obudzenie, ale w żaden sposób nie mógł się uszczypać za pomocą swojej krótkiej, krzywej i zaopatrzonej w mocne, czarne pazury przedniej łapy. Rozejrzał się więc nieporadnie wokoło i ze zdumieniem zobaczył tuż przed swoim nosem wysoką, kamienną ścianę. Nie mógł zrozumieć w pierwszej chwili, co to za nieznanany mur, aż wreszcie, zadarłszy głowę, zrozumiał, że jest to jeden ze schodków, po którym wchodziło się do szkoły. Podniósł głowę do góry i przekonał się, że wszystko teraz było niezmiernie wysokie w stosunku do jego jamniczego wzrostu. Bardzo go to zdenerwowało i spróbował wobec tego stanąć na tylnych łapach, aby być wyższym. Niestety, jego długie ciało opadało ciągle na cztery krótkie i krzywe łapy.

„Mhże to jest tylko taki męczący sen i może zaraz się obudzę” – pomyślał.

Naraz poczuł, że jest głodny. Czy może śnić się komuś, że jest

głodny? Chyba nie.

„Wszystko jedno. Trzeba iść na obiad” – zdecydował i już nie zastanawiając się dłużej, zaczął szybko biec w stronę domu. Trudno mu było trafić, gdyż wszystko widziane z dołu, z poziomu psich oczu, wyglądało zupełnie inaczej. Dziwne również było tak przemykać siłą między nogami przechodniów, którzy wydawali się ogromni, a ich buty zagrażały małemu jamnikowi niczym wielkie czołgi. Umykał więc niezgrabnie, wpadał w kałuże i błakał się nieporadnie. Było mu zimno w bosa, pozbawione obuwia łapy, a w dodatku było mu również zimno w zachlapany błotem brzuszek. W pewnej chwili jakiś but, bardzo brudny i wykrzywiony, wyraźnie skierował się w jego stronę i dotknął jego boku.

„Czyżby ktoś chciał mnie kopnąć? – pomyślał z oburzeniem Kosmala. Podniósł łeb do góry i ze zdumieniem poznał swego kolegę i przyjaciela, Fredka, podporę Bandy Silniaków. Fredek włókł się pod ścianą, wykrzywiony, z rękami w kieszeni. – No, już ja mu oddam” – obiecywał sobie Kosmala i nawet krzyknął groźnie: – Te! Odwal się!

Ale zamiast zamierzonego okrzyku z długiej, psiej mordki wydobyło się po prostu szczeknięcie, które tak zirytowało Fredka, że zamierzył się powtórnie. Całe szczęście, że tym razem udało się żółtemu jamnikowi jakoś umknąć. Biegł dalej pod murami, wystraszony i utyłany w błocie, kiedy naraz doleciał go jakiś smakowity zapach. Ach, coś pachniało tak prześlicznie, tak apetycznie! Kosmala dopiero teraz poczuł, jaki jest naprawdę okropnie głodny. Przytknąwszy do ziemi swój czarny, mokry nos, biegł w kierunku wspaniałej woni. Wreszcie dotarł do jej źródła. Był to sklep, gdzie na hakach wisiały ogromne płaty 38 mięsa, a koło pniaka do rabania leżały wspaniałe ochłapki i kawałki kości.

– No, nareszcie coś przyjemnego! – ucieszył się jamnik Kosmala i wpadł do sklepu. Ale kiedy właśnie miał zamiar chwycić niezmiernie apetycznie wyglądającą kostkę, usłyszał groźne warknięcie. Podniósł łeb i zadrżał. Z góry spoglądała na niego groźna, zaopatrzona w ogromne kły, paszcza buldoga.

– Rety! – chciał jęknąć Kosmala, co jednak w rezultacie zabrzmiało tylko jak cichy, nędzny skowyt. – Rety!

– Wrrrrrr! Wynos się stąd – powtórzył groźnie buldog.

„Ja ogromnie przepraszam” – chciał powiedzieć najuprzejmiej >Jak tylko potrafił, Kosmala, ale i tym razem był to tylko cichy, skowyt, po czym nie pozostawało już nic innego, jak tylko podwinąwszy ogon pod siebie zmykać ile sił w krzywych jamniczych łapach. Długie uszy

39

CO

l

CO

I

O < CD CD O G "*"

CO

a*

co

n

fc.B

i

N

O v

.oj o

•N

-O CO

Sf

2 o

"" " °

O

!

J?
TT
CD
CO
"o ob o
S
CD
C 75
L
I
CO CD J* O, N
•i1 CD
f -O ^ G '
N -O
fo CD
3 - 'S S G w
I co
•Sf 3
* 8
co
•N
co o
CD 3
5 S
o 3
I*
o
OJ
to p G 3
CO -fe

G ^
3 o,
I S
O co
•n B
s ob
-5 "5 -a
CO O .W
o
-o
a;
CO K>
2 S g
CD
CO
5 O
2 ^
CO
•N -^
|B '3
CD di CD
S ^ fe
N
3 n
3 G 73
-CJ .- <U
f 11
I
o co "S
•8 8\$
•N CD
N
- CO co •>-)

G fe
N
|N
|T
O)
o G 'O e S
o
0
N
s
•s "3
O CD O,
•|g s
o &
Ol rQ

N
tli
1
•N

CO
N
CD
o8 o I 2-
•N
I S
CD O
•4-3
N CD
'3 N SZ, CO M .to CO O <7) !(--, g 00^ .0}
co ^ A ^ .3
o
o
co \$
-N
3 C
CC CD
.3
00 „ G

.2. 3
CD S
-« ^ T3 Ó 3 .L
OJ co T3 S 3
O, !-=-co g N
O cc. »L! co
n .@• o g o o;
OJ -! eo _ S .
S 3
pr

o
t 8 % "S
n
CD
l
ST
E.SP
cc •-} A CJ
3 •\$!
^
co s-< •r? co
CO

```
CD      CO
N      N
O      U N
CO      ~
CD      O
•|"»   00
CD
3
o
G G
co
;
s  =o
co  O
O
co
CD  -o
CD
||s $
CD  3
•3 w S 73
fl
O
o
T3
CD
CD' CO
CO
o 3
co |•->
-O   CD
6*
•5 g
si.aj
3 $
•^ 3
- to ^
|a? fe
-rt . g 00 CO CD
li i I a f s*$
111
CO
-fa co -o %? c
CD  G **
T3
CD

N      R      ^
CO 0
O
N co
co -W
>> f-i O
S" 00 '||= CD
TT -° .5
CO
O, O J;
o "° 3
" g o
l
o O
co
g 6> < a -'" N
O CD
```


J<J

O1R

0 \$8

t8* co

T-^ G G

3 o N Q,

CO N

.
zawołać, żeby mu szybko otworzyła, ale i tym razem po prostu zawył żałośnie.

Zgrzytnął zamek i ciotka Leokadia uchyliła drzwi.

- A pójdziesz ty precz! - zawołała i ze złością zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Prawda, ciotka Leokadia nie lubiła psów i nawet można powiedzieć, że była dla nich niedobra. W przedpokoju słychać było, jak mówiła z oburzeniem:

- Siedzi to na słomiance i wyje!

Kosmali zrobiło się trochę głupio. Pomyślał, że może należałoby spróbować jakoś ciotce wytłumaczyć, że to nie jest żaden pies> tylko on, Jacek, i że w dodatku jest ogromnie głodny, ale jak to zrobić? Trudno, należy próbować, a nuż się uda. Wobec tego wspiawszy się na łapy, krzyknął z całych sił:

- Ciociu! To ja!

Ale znów zamiast tego rozległo się smutne, .acz donośne:

- Auuuu! hau! hau! Auuuu!

- Znów to psisko wyje - zdenerwowała się za drzwiami ciotka. - Ja go tu zaraz szczotką przegonię!

Rozległo się szuranie i mamrotanie:

- Gdzie się znowu ta szczotka podziała? Kto wywlókł szczotkę? Nic w tym domu nie może być na miejscu!

Szuranie ustało i drzwi otworzyły się dość gwałtownie. Ukazała się w nich ciotka uzbrojona w szczotkę. Naraz ktoś ją chwycił za rękę, wołając:

- Ciociu, ach, proszę, niech .ciocia go nie bije! Taka mała psina!

Jacek rozpoznał głos Bożeny. I pomyślał, że rodzona siostra też czasem może się człowiekowi, to znaczy psu, na coś przydać. Bożenka tymczasem wysunęła się przed ciotkę i zachwycała się dalej:

- Taki milutki, biedaczysko. I trzęsie się, pewnie mu zimno.

- No pewnie, że mi zimno. Ty lepiej, Bożena, puść mnie do domu

- chciał powiedzieć Jacek, niestety, i to też nie wyszło. Jednak żalosne skomlenie, które rozległo się zamiast tych słów, wzruszyło czułe serce Bożenki. Pogłaskała Jacka po głowie.

- Psinuchna, jaki to ma aksamitny łepek! No co, piesku, co? Ciociu, jak on smutnie patrzy!

- Pewnie, że smutnie patrzę, bo jestem piekielnie głodny. Ty się nie lituj i miłosiernej paniusi nie odstawiaj, tylko lepiej wpuszczaj mnie do domu i dawaj jeść - mruknął Kosmala, zirytowany już na dobre tymi pieszczotami.

Jednak warczenie, które rozległo się zamiast powyższych stów, znów zdenerwowało ciotkę.

- Ty go nie dotykaj, Bożenko. Bo on może ugryźć .|ilbo co?

Tu przebrała się miarka cierpliwości Kosmali.

- Pewnie, że ugryzę, jeśli tak będziecie mnie tu długc frzytać.'.

ł

To oświadczenie zabrzmiało jak żalosny skowyt. Bożen-;i pełna litości nad przybłądą otworzyła szeroko drzwi, wołając:

- Chodź, psina, chodź! Dobry piesek, dobry. Dost, ilcczka!

o

42

, -j.j. zostanie

Nie można powiedzieć, żeby Kosmala przepadał za mle-cm. Dlatego i teraz do obietnicy Bożenki odniósł się bez chwytu. Mleko.' Daliby coś porządne. Na przykład kieł-oa.sy! Na myśl o kiełbasie Kosmala obliznął się smakowicie, prawie aż po uszach. Ale cóż? Bożenka postawiła przed nim na podłodze miseczkę z mlekiem i wdrob:

bulka, czego po prostu nienawidził. Podniósł więc głowę /do góry i spojrzął na nią niechętnie. Niechętnie i z głupim uczuciem. Przedtem... to znaczy, zanim został jamnikiem, Jacek był dużo większy od Bożeny. Bożena miała dopiero dziewięć lat. A teraz? Teraz Bożena wyglądała jak ol-j brzymka. Żeby na nią spojrzeć, musiał podnosić głowę do góry. Nogi miała jak dwa słupy, ręce wydawały się takie duże w stosunku do małych, krzywych jamniczych łapek Jacka.

– Pij, psinka, pij – zachęcała tymczasem Bożenka.

– A widzisz, widzisz, jaki głodny? Wcale nie chce pić – dogadywała ciotka Leokadia, zadowolona, że miała rację. Bo ciotka Leokadia zawsze lubiła mieć rację.

– Może on nie lubi mleka? – zapytała naraz Bożenka. „Jednak ta Bożena nie jest najgorsza” – pomyślał z braterską tkliwością Jacek.

– Ciociu? A może jemu dać krupniczek z obiadu? Co? Dla piesków to podobno zdrowo, jak jedzą kaszę.

– Masz ci los! – jęknął Kosrnala, co znów zabrzmiało jak cichy, żaloszny skowyt.

No, czy ta Bożena nie wie, że on krupniku też nie lubi? Zdenerwował się tym ogromnie. Pociągnął nosem i naraz poczuł zachwycającą woń jakiegoś mięsa. Chyba to będzie pieczeń – taka smaczna, jak to zawsze się w domu przyrządza. Ach, zjadłoby się teraz! A tu tymczasem Bożena ciągnie go za skórę na karku i przytyka do miseczki z krupnikiem. I zachęca:

– Dobra psinka! Dobra. Jedz krupniczek, jedz!

Ponieważ jednak był okropnie głodny, więc postanowił zabrać się do jedzenia. Rozejrzał się za łyżką. Ale jakże trzymać łyżkę w psiej łapie? Pochylił się nad miseczką i chlapnął językiem: Okazało się, że i w ten sposób można \ 44

jeść doskonale. Krupnik nawet nie był najgorszy, więc zjadł trochę. A ta Bożena nic, tylko powtarza swoje:

– Dobry piesek, ładny piesek.

– Masz ci los! Moją urodą się zachwyca! -- Jacek spojrzął na nią i chciał już jej powiedzieć, co o tym myśli, ale znów mu się^ nie udało. To, co usłyszała Bożenka, było po prostu cichym szczenięcikiem, które zupełnie inaczej zrozumiała.

– Ciociu! – krzyknęła z zachwytem. – Pieasek mi dziękuje za jedzenie! Ciociu! On już u nas zostanie na zawsze, prawda? On taki miły! Ciotka Leokadia mruknęła coś niezbyt pochlebnego. Że trzeba będzie ciągle psa wyprowadzać na spacer i że na pewno będzie robił nieporządki.

– A jeszcze zobacz, jaki on jest brudny! – wołała. – Nie można takiego brudasa trzymać w mieszkaniu!

– To ja go wykapię –f- zaproponowała Bożenka. Najwidoczniej ten pomysł bardzo przypadł jej do gustu, gdyż natychmiast pobiegła do łazienki i słychać było szum wody ściekającej do wanny.

Pozostawiony samopas, Kosrnala postanowił skorzystać |/. tej chwili wolności i szybko wymknął się z kuchni. Drzwi do pokoju były otwarte, więc wpadł tam chyłkiem. W pierwszej chwili myślał, > jest w jakimś innym mieszkaniu. Wszystkie meble były takie ogromne, takie wysokie. Nawet to było trochę śmiesznie tak przebiegać pod stołem, pod krzesłami. Przypadkiem spojrzął w duże lustro, które było umieszczone w drzwiach szafy. Spojrzął i zatrzymał się. Naprzeciwko niego stał długi, żółty pies, najprawdziwszy jamnik na krótkich krzywych łapkach, z długimi, prawie sięgającymi ziemi, uszami. – Co to znowu? – zdenerwował się w pierwszej chwili

Jacek. Podeszedł bliżej lustra i dotknął jego powierzchni czarnym, mokrym nosem. Żółty jamnik w lustrze zrobił to samo, tak że spotkali się nosami.

– Więc to mam być ja? – warknął cicho pies przed lustrem. – Cóż za głupia historia! Już mi się znudził ten zwariowany sen i chciałbym

się obudzić albo żeby mi się śniło co innego!

Naraz poczuł jakieś swędzenie w okolicy ucha. Przysiadł więc i podrapał się tylną nogą. Jego odbicie w lustrze powtarzało wiernie wszystkie ruchy. To upewniło już na dobre Kosmalę co do jego psiej postaci.

– Ależ ja nie chcę dłużej być psem! – krzyknął wobec tego w najwyższej rozpaczy.

Jednocześnie skrzypnęły drzwi i rozległ się czyjś śmiech. To śmiała się Bożenka.

– Ach, ciociu, żebyś ty wiedziała, jaki ten pies śmieszny! Stoi przed lustrem i warczy. Pewnie myśli, że to drugi pies w lustrze! No, chodź, piesku, wyszoruję cię porządnie, będziesz czysty i ładny. Ta obietnica szorowania wcale nie wydała się Kosmali zachwycająca. A czy ostatecznie nie mógłby po prostu pójść spać i już. Ta Bożena to ma takie pomysły! Wstrętne dziewczynisko, chociaż rodzona siostra. Ale to jej się nie uda z tą kąpielą, o nie!

I żółty jamnik szybko uskoczył w bok.

– Nie uciekaj, piesku – prosiła grzecznie Bożenka.

– Możesz mnie długo tak prosić – szczechnął w odpowiedzi jamnik Kosmala i dalej biegać po mieszkaniu. A Bożena za nim! Schyliła się pod stół, żeby go stamtąd wyciągnąć, a on pod szafkę z książkami. Bożena do szafki, a on myk! pod stolik od radia. Bożena do stolika, a on do kuchni. Tu, po drodze, miał zamiar chwycić leżącą na stole

46 kielbasę, która tak zachwycająco pachniała. Zapach ten wyczuł swoim znakomitym psim węchem, ale do kuchni wpadła za nim ciotka. Była rozgniewana i kiedy Kosmala, wskoczywszy na krzesło, już chwycił zębami sznureczek zwisający z końca najcudowniej na świecie woniejącej kielbasy, ciotka trzepnęła go tak porządnie mokrą ścierką, że puścił sznurek od kielbasy i zaskowyczał żałośnie.

– I w dodatku złodziej! – krzyczała ciotka. – Nie chcę takiego psa w domu!

– On się poprawi, ciociu, on już taki więcej nie będzie -- zapewniała gorąco Bożenka.

Ale ciotka nie chciała nawet słuchać.

– Wyrzucę go, wyrzucę! – wołała.

„Gdzie ja się podzieję, jeśli ciotka mnie wyrzuci? – pomyślał zmartwiony teraz na dobre Kosmala. – Przecież muszę gdzieś zanoć! Co robić? Co robić? Jak wytłumaczyć ciotce, że nie jestem psem?!” Ale było już za późno. Ciotka, rozgniewana na dobre, chwyciła Jacka za luźną skórę na karku i otworzywszy drzwi, wyrzuciła go na słomiankę! Drzwi zatrzęsły się głośno, ale mimo to słyhać było jeszcze szloch Bożenki: – Ciociu, on już na pewno będzie grzeczny, on się na pewno poprawi!

Co za szkoda, że ciotka nie lubi psów!

JA CHCĘ DO DOMU!

Tak więc Kosmala siedział dalej na słomiance pod drzwiami, zrozpaczony i jeszcze ciągle głodny, żałował bardzo, że wzgardził krupnikiem i że go zjadł tak niewiele. Nienawidził w tej chwili ciotki Leokadii i myślał, że jednak nie doceniał dotychczas Bożeny, która lubi psy i ma dobre serce.

Trzęsąc się z zimna i głodu przysiadł na słomiance. Bo dokąd miał pójść?

Naraz usłyszał na schodach czyjeś kroki i rozmowę. Zaciekawiony wyjrzał na dół. Głosy wydały mu się znajome. Ach, przecież to mama i ojciec wracają do domu! Có za szczęście! Ucieszył się niezmiernie i otucha wstąpiła w jego serce. Teraz już wszystko będzie dobrze. Mart- i ojciec nigdy w świecie nie pozwolą, aby on siedział p*1 drzwiami jak pies!

Poderwał się ze słomianki i pobiegł na spotkanie ro dziców. Rzucił się przede wszystkim do mamy. Ale marne przestraszyła się i zaczęła krzyczeć:

– Ach, ach! Co to za pies! Pobrudzi mi \ibranie!

Bo mama miała na sobie ten nowy, jasny płaszcz. A kiedy Jacek wspiął się do niej i oparł przednimi łapami, na nowym płaszczu zostały czarne ślady brudnych psich pazurów.

Mama tymczasem lamentowała:

48

z

– Ach, zupełnie zniszczony płaszcz! Będę musiał dać go do pralni! Co to za pies? I skąd się w ogóle w •

Tata był oburzony:

a "

– Sień na dole jest nie zamknięta, to mógł wejść t v zupełnie obcy pies! Nie płacz, Basiu – tak powiedzi ł mamy. – Zaraz go wyrzucę!

To mówiąc pochylił się, aby schwycić Jacka. Jacek n straszony na dobre wymknął się i uskoczył w bok. Tata pogroził mu:

– Czekaj, ja cię jeszcze złapię! – Wyjął klucze z szeni, żeby otworzyć drzwi.

Jacek Kosmala stał teraz na niższym piętrze i paczą słuchał tak znajomego zgrzytu klucza. Drz mieszkania otworzyły się, rodzice weszli, zamknęli i soba, a on znów został na schodach, samotny i bezdo Zrobiło mu się smutno i nawet miał zamiar zawyć t- I' przypomniał sobie, że jeśli tato usłyszy to wycie i pewno wyjdzie z mieszkania i vbędzie chciał g0 nawet z tych schodów.

„Co robić? Go robić?” – myślał.

Ale żaden pomysł nie przychodził mu do głowy. yjT cie, westchnąwszy, po cichu wrócił z powrotem pod a swego rodzinnego domu i zwinąwszy się w kłębek, poj • się na słomiance. Śniły mu się różne rzeczy i nawet s? kał przez sen.

Ale naraz obudził go jakiś hałas. Podniósł głow° stawił uszy i zaczął nasłuchiwać. Za drzwiami, w 's}u-mieszkania, rozbrzmiewał donośny głos ojca:

– Co to znaczy, że go jeszcze dotychczas nie ma? Qa • on się włóczy zamiast wracać na obiad! Która to godzi ? No, proszę! wpół do piątej! A lekcje kończą się o pierws -i

na ;aać

Już on ode mnie dostanie!

4 – Ucho, dynia...

49

w

lir

!Mi

N

•5 i!

CO

s

a

co

N

f

CD •i-i

a

CO N

44 co

OJ N O

01

CV.

o

->»

N S-< CO

N

O,

•!Vi -.

8 3..

JS -TJ N N ,12
O W *-! O CW
O T3 ""
.ar 3 w
O) ^ "3 O ^,
•g. <u &.S?3
*3 -g <u .o oj
is i
-O
a III
O) O ^
O ^ v° ^ 2
CC
O
>OT
LII «J »H
o

więc uwagi na obelgi rzucone przez ciotkę Leokadię, machał śmiesznie językiem.

„Chociaż trochę zjem w ten sposób” – pomyślał.

A ciotka tymczasem wykrzykiwała:

– Wstrętny kundel! Precz z moich oczu!

– Tylko nie kundel! Tylko nie kundel! – warczał urażony Kosmala oblizując gwałtownie resztki budyniu.

– O! Jeszcze warczy na mnie! On chce mnie ugryźć!

– Ależ, ciociu! – zawołała Bożenka nadbiegając z pokoju – to przecież ten sam piesek, który siedział pod drzwiami!

– Albo ja wiem, czy to ten sam! – wysapała zdenerwowana ciotka Leokadia.

Naraz Bożenka zaczęła się śmiać.

– Ojej! Jak on wygląda? Biedna psina! Ma budyń na łepku!

– No, czego się śmiejesz? – rozszłościł się Jacek. – To takie powitanie, kiedy ja wracam do domu. A tak się niby martwicie...

Niestety, zamiast tych wszystkich słów rozległo się gwałtowne szczekanie.

– Hau! Hau!

– Wynoś się! – krzyczała ciotka.

Naraz zgrzytnął zamek w drzwiach. To wracał ojciec. Był najwidoczniej zdenerwowany, kapelusz miał przekrzywiony.

– No i co z Jackiem? – spytała mama, wybiegając do przedpokoju.

– Nie ma go w szkole – wysapał ojciec – nie wiadomo, gdzie się włóczy! Już ja z nim pogadam!

– Nigdzie się nie włóczę! Od dawna jestem w domu! – wrzasnął Kosmala.

Wyrzuc tego psa! Zwariować można!

gzej krzyknęła

A co by taka psina cioci zawadzah

53

. Kosmala. – Jeśli już nawet chwilowo jestem psem, to przecież chociaż w tej postaci mam prawo zostać w moim rodzinnym domu, u ojca i mamy. Ale ciotka nigdy nie lubiła zwierząt – dodał z goryczą. Nie pomogły prośby Bożenki. Kosmala poczuł, że fojocna ręka ojca ujmuje go za skórę na karku i unosi do góry. Po chwili siedział już z powrotem na słomiance pod drzwiami, nasłuchując dochodzących z mieszkania głosów.

– Ale co jest z Jackiem? – pytała zaniepokojona mama. – Czy mu się co złego nie stało?

– A może poszedł do ciotki Lucyny – podsunęła Bożenka.

– To możliwe! – uspokoiła się nieco mama. – Ale w każdym razie powinien już być wrócić.

– Pojadę wobec tego do Lucynki – oświadczył ojciec – ale już ja się z nim porachuję za to włóczenie się!

Słyszac tę zapowiedź, Kosmala zamachał wesoło ogonem, co, jak wiadomo, oznacza u psów” uśmiech. A Kosmala uśmiechnął się dlatego,

bo pomyślał z zadowoleniem, że w tej chwili dzięki temu, że jest psem, uniknął przeprawy z ojcem. I to pewnie dosyć poważnej przeprawy.

„Jednak tak na zawsze to nie chcę zostać w psiej skórze”.

Naraz drzwi od mieszkania otworzyły się dość gwałtownie i stanął w nich ojciec. Kosmala uskokzył w ciemny kąt klatki schodowej, nie chcąc nasunąć mu się przed oczy. Zawsze lepiej być ostrożnym. – Zajrzę do Lucyny, a jakby go i tam nie było, to wpadnę jeszcze do Ernestynki – mówił ojciec do mamy (Ernestynka to była druga ciotka).

54

– I wracaj jak najszybciej! – wołała mama.

Ledwie ojciec zszedł na dół, Kosmala wrócił na swoje miejsce, na słomiankę pod drzwiami, i zaczął zastanawiać się, w jaki sposób mógłby jeszcze raz dostać się do mieszkania. Wspiął się więc na tylne łapy i usiłował dosięgnąć dzwonka. Niestety, nie udawało mu się to. – Muszę podskoczyć – zdecydował. Nie było to łatwe. Dzwonek był umieszczony dość wysoko. Ale wreszcie, po wielu daremnych usiłowaniach, udało mu się podskoczyć na tyle, że mógł swym czarnym nosem dosięgnąć guziczka dzwonka. Palnął więc wtedy nosem w ten guziczek tak mocno, jak tylko mógł. Uderzenie było nieliczne. Mokry, czarny psi nos zabolął tak mocno, że Kosmala aż się zatoczył na wszystkich czterech łapach. Ale za to cel był osiągnięty. Dzwonek zadzwieczał głośno, przeraźliwie.

– Kto tam? – odezwał się za drzwiami głos ciotki Leokadii. – Kto tam?

^

Jednocześnie mama zaczęła wołać takim jakby zdyszczonym głosem:

’

– Ach, ach! Łodziu! (Mama do ciotki mówi zawsze „Łodziu”): Łodziu! To może Jacek wraca!,

I szybko otworzyła drzwi. Zza ramienia mamy wyglądała Bożenka.

– Nie ma nikogo?! – zdziwiła się, a jednocześnie zmartwiła mama.

– Hau! hau! – powiedział na to wszystko Jacek. – Hau! Hau! to "przecież ja! Jacek! Tylko że chwilowo jestem psem. Ale to jest nieporozumienie! Chyba już niedługo znów będę chłopakiem! Hau! Hau! Ba, ale mama nic z tego szczekania nie mogła zrozumieć. Tylko Bożena wołała:

55

Wpuśćmy J

– Mam, to na pewno dzwonił ten pie’

go! Niech już u nas zostanie na zawsze!

n • \ | u * | -d | >, isłał

Kosmala

„Fajna dziewczucha z tej Bożeny – poro/ .

i szczeknął:

– No dobra! Za to, że mnie teraz bronis^’

chłopakiem, nie będę cię ciągnął za ^ * mysie ogony, które nazywasz warkoczami.

V, . . . > . j i i . t^

0 Prosiła

Bożena nie zrozumiała jednak szczekania, dalej:

’

– O, widzisz, mam, jak on żałośnie szczek^’ , ., @0' |n/r

•- | u -\ a • - • t • j - / wtrąciła się

Mama już chciała zgodzić się, kiedy znow

ciotka Leokadia:

– Nie wiadomo, co to za pies! Jeszcze kogo . gryzie. I w ogóle jakiś taki utyłłany w błócić , ma pchły!

’

– Nie mam pcheł! – zdenerwował się itr mam żadnych pcheł!

’

No i masz ci los! Oczywiście, że zamiast W ,. . pełnego szlachetnego oburzenia rozległo się ^ T . ,

• , j j • , , , ' • u |\$• *| ciotka
warczenie, i to w dodatku dość groźnie brzmie
rozniewała się jeszcze więcej.
- A widzicie? Widzicie? - wołała triumf
-ł • i i ^ mebez-
sem. - A me mówiłam, że to na pewno okror >,
• i -ot • i a i

w) w ogóle
pieczny i zły pies? Jeszcze nas pogryzie! Air
zagryzie ze wszystkim!
Jacek był bliski płaczu. Z rozpaczy przysiadł, łapach i
zawył cicho i bardzo żałośnie. To jesz/
wzruszyło Bożenkę.

- Ach, ciociu! On przeprasza, widzisz? Jak w prasza!
Ale ciotka nie podzielała zachwyty Bożenki. ,=.

hi^e też

- E, tam! Taka pokraka na krzywych *-''|

56

i

ci się podoba ^ • Odziałaś łJ'- Ja B°ż

gę. • Tato

Po

rzekonał

W

Powiedział

Vm d"i

czekać c

po:

dalej

57

spać na stomiance

_ ta Bożena to

10. CUGLE TO

Gdzieś, za jakąś ścianą, wybiła szósta godzina, kiedy Kosmała obudził się. Otworzył jedno oko i ponieważ jeszcze na świecie było szaro, więc zamknął je szybko i postanowił spać dalej. Przypomniało mu się na-az, że miał taki okropnie śmieszny sen - był nie chłopem, ale małym, żółtym psem. „Co to się człowiekowi nie rzyśni” - pomyślał. I już miał się obrócić na drugi bok, kiedy poczuł, że jest mu zimno. „Widać spadła ze mnie kołdra” - westchnął i już miał wyciągnąć rękę, żeby tę kołdrę naciągnąć na uszy i spać dalej, kiedy zrozumiał, że w ogóle nie jest przykryty żadną kołdrą. Poza tym nie mógł wcale dać sobie rady z tym sięganiem ręką. Ręce wydały mu się niezwykle krótkie.

„Zdrętwiały mi z zimna, nic innego - zdecydował. - Całe szczęście, że jestem zahartowany, nie żaden zmarz-luch, to i tak się nie zaziębię. Ale swoją drogą trzeba będzie podnieść tę kołdrę i okryć się. Jeszcze jest tak wcześnie, że będzie można spać co najmniej całą godzinę. Był mnie ciotka nie chciała wcześniej obudzić, żebym leciał po bułki”.

Usiłował obrócić się na drugi bok. ale jakoś mu się to nie udało.

„Co to jest? - denerwował się - co to znaczy, że tak mi niewygodnie leżeć. I łóżko takie jakieś twarde”.

59

Wreszcie usiadł. I wtedy przekonał się, że siedzi pod drzwiami rodzinnego mieszkania, na zabłoconej trochę sło-miance. Spojrzał na swoje ręce - nie, to nie były ręce, to w dalszym ciągu były krzywe, psie łapy, takie, jakie miewają jamniki. Obejrzał się - oczywiście miał i praw-| dziwy psi ogon, i w ogóle był psem. „Ciągłe był psem. Naraz usłyszał czyjeś kroki. Kto to może być tak wcześnie? Kroki były ciężkie, a postać duża. Człapała po schodach, aż w końcu zatrzymała się przy słomiance.

- A to co? - spytał ten ktoś bardzo zdziwionym głosem. - Skąd tu

się wzięłaś, piesku?

Jacek Kosmala chciał koniecznie odpowiedzieć, że o: wcale nie jest pieskiem, tylko synkiem państwa Kosmalów, j którzy tu mieszkają, za .tymi drzwiami, ale, niestety, to, coj wydobyło się z jego pyszczka, było jedynie żalonym szczeknięciem. Zdołał również rozpoznać, że pytająca osoba była nikim innym jak panią Czubaszkową, która rano roznosiła mleko do mieszkań. I teraz też, przemawiając do Jacka, zabrała pustą butelkę, stawiając na jej miejsce napełnioną mlekiem. – No co, piesku? – spytała jeszcze. – Nie chcą pieska wpuścić do domu? Byłeś niegrzeczny? No, poproś ładnie, to ci otworzą. Myśl wydała się Jackowi jak najbardziej słuszna. Oka żuje się, że czasem może ktoś mieć dobry pomysł, tak ja w tym wypadku na przykład pani Czubaszkową.

Usiłował podskoczyć do dzwonka, ale to mu się tym ra zem nie udało. Skrobanie łapą też nie dawało lepszych re' zultatów. Nasłuchiwał chwilę z przekrzywionym łepkiem, ale widać jeszcze wszyscy w domu spali.

– Oni sobie śpią w łózkach, wygodnie, pod kołdram wygrzani, a ja jak ten pies! na słomiance!

60

Kosmali chciało się beczeć. Chciał nawet uderzyć pięścią w drzwi, ale to nic nie pomogło, jak można uderzyć pięścią, jeśli się nie ma pięści. Naraz... spojrział na butelkę z mlekiem. Co prawda nie lubił mleka, ale ostatecznie jak człowiek, to znaczy jak pies... zresztą wszystkim jedno kto... w każdym razie jak się jest głodnym, to można napić się mleka. Tylko jak to zrobić, żeby napić się z butelki. Jacek wspiał się na tylne łapy i oparł o wypełnioną mlekiem butlę. Zajrzał do niej, była zatkana srebrzystą blaszką. Nie jest łatwo otworzyć taką blaszkę za pomocą zębów, ale cze-tfo sięgnie robi, jeśli dokucza głód. Chciał pociągnąć mocniej za uparty blaszany kapsel, opierając się łapami o szyjkę butelki, ale w pewnej chwili łapy osunęły się po szkle ; butelka przewróciła się z hukiem na kamienną posadzkę sieni. Hałas był tak ogromny, że otworzyły się drzwi nie tylko do mieszkania państwa Kosmalów, ale także i do dwóch sąsiednich mieszkań.

– Co się stało? – pytali wszyscy.

A potem spostrzegli przewróconą butlę z mlekiem.

61

I

– To ten pies przewrócił butelkę! – krzyknęła sąsiadka z prawej strony.

– Pies? – krzyknęła ciotka Leokadia, której głowa, zdobna w papiloty, ukazała się również w drzwiach. – Pies? – powtórzyła. Brzmienie jej głosu było tak srogie, że biedny Jacek, " nie czekając dalszego ciągu tej rozmowy, podwinął ogon i chciał zmykać, schodami w dół. Ale w tym samym momencie na schodach ukazała się potężna, no, wprost ogromna postać, w której poznał dozorcę bloku. Ten dozorca to w ogóle nie lubił Jacka Kosmali. Jak tylko co złego stało się w blokach, to zawsze od razu mówił, że to Jacek zrobił. Niby nigdy się nie mylił, ale przecież kiedyś" mógł się omylić. Nic więc dziwnego, że na widok dozorczy Kosmala nie patrząc już na nic dał susa w bok i skoczył prosto w otwarte drzwi mieszkania sąsiadów. Na szczęście sąsiadka, która zostawiła uchylone drzwi, tak była zajęta rozprawianiem o rozlanym mleku, że nie zauważyła, że główny winowajca znajduje się już w tej chwili w jej zacisznym pokoju. A Kosmala, przestraszonył do najwyższego stopnia, skrył się po prostu pod jednym z łózek, w samym kącie pod ścianą. To schronienie wydawało mu się bezpieczne, a ponadto, po nocy spędzonej na słomiance, wreszcie znalazł się w ciepłym mieszkaniu. Było j tu cicho i spokojnie.. Głos sąsiadki dobiegał ze schodów, j mówiła dużo i głośno.

– Ale ma gadane! –Hicieszyl się Kosmala. I naraz po-i czuł na nowo głód. Wysunął delikatnie czubek nosa spod łóżka. Coś zapachniało mocniej.

„Jednak muszę coś zjeść” – pomyślał. I opuściwszy bezpieczne

schronienie pod łóżkiem, truchcikiem pobiegł do kuchni. Wskoczył na krzeselko stojące

przy stole i zamarł z radości: Na talerzyku różowiły się apetyczne plasterki szynki. Sąsiadka najwidoczniej lubiła smacznie jadać. Jedno, drugie kłapnięcie psiej mordki, jedno, drugie machnięcie ozorem i szynka zniknęła z talerzyka. Właśnie Kosmala miał ochotę wychłęptać trochę mlecznej kawy z filiżanki, kiedy rozległo się trzaśnięcie drzwi w przedpokoju. Sąsiadka wróciła do mieszkania. Kosmala chciał zakłać, ale niestety wyszło z tego tylko coś w rodzaju: „wrrr, wrrr”.

I to dobrze, że było to tak ciche warknięcie, że wchodząca do kuchni właścicielka mieszkania już go nie usłyszała. Nie widziała również i żółtego psa, gdyż Kosmala zdołał błyskawicznie umknąć. Natomiast zobaczyła przewróconą filiżankę, z której płynęła kawa, zalewając stół i skapując z cichym pluskiem na podłogę.

Ukryty pod łóżkiem w pokoju Kosmala słyszał teraz tylko narzekania sąsiadki i żale nad rozlaną kawą.

– Ach, że też mi się to przydarzyło – mówiła zdenerwowana sąsiadka sama do siebie. – Pewnie wybiegając, musiałam niechcący potrącić filiżankę.

Krzątała się, szykując widać drugą filiżankę kawy i ścierając rozlany płyn. Naraz rozległ się jej pełen zdumienia i przerażenia okrzyk:

– A gdzie jest szynka?!

Kosmala mimo woli obliznął się na wspomnienie tego przysmaku. Szynka była rzeczywiście wspaniała.

„Tylko za mało” – dodał w myśli, i znów poczuł głód. Ho czy można się najeść dwoma plasterkami? Należałoby /jeść coś jeszcze. Ale jeśli sąsiadka wyjdzie z domu, a nie zostawi nic takiego, co by można było zjeść, co to będzie?

„Psie życie” – pomyślał wobec tego Kosmala i postanowił co prędzej wydostać się z tego mieszkania. Ba, ale

62

63

jak? Jeśli pójdzie do przedpokoju i stanie pod drzwiami, czekając, aż sąsiadka będzie wychodziła, to wtedy sąsiadka od razu domyśli się, kto zjadł szynkę, i lanie murowane. A jeśli zostanie pod łóżkiem, to będzie musiał przesiedzieć cały dzień zamknięty w cudzym, obcym mieszkaniu.

I w tej chwili przypomniał sobie, że przecież musi coś zrobić, żeby z powrotem stać się chłopcem. Może powi-j nien szukać Balonikarza? A może powinien pójść do szko-j ły? Ale czy może iść do szkoły, jeśli i tak nikt nie będzie wiedział, że on wcale nie jest psem, choGiaż wygląda zu-j pełnie jak żółty pies?

„Jednak muszę stąd wyjść – postanowił. – Trudno,] zaryzykuję lanie. W razie czego nie dam się i już!”

Wyszedł ostrożnie spod łóżka, żeby zbadać sytuację. Są-1 siadka ciągle jeszcze była w kuchni. Kosmala z zazdrością słuchał, jak pobrzękiwała naczyniami.

– Ona tam je i je bez końca, a tu ja jestem taki głod-j ny! A może ona wcale nie wyjdzie dzisiaj z domu i nie otworzy nigdy drzwi?

Chyłkiem spróbował przemknąć się do przedpokoju. Tu usiadł w kącie za wieszakiem, na którym wisiały jakieś płaszcze i kapelusze.

– Poczekam – postanowił – poczekam, czy nie bęi dzie wychodziła. Tak będzie najlepiej. Ona otworzy drzwi^ a ja wtedy myk! na schody. I chodu!

Ale sąsiadka widocznie nie spieszyła się. Krzątała się pc kuchni i coś sobie nuciła.

– Czy ona nigdy nie wyjdzie? – denerwował się KoJ smalą. Naraz zaczął nasłuchiwać. tNa schodach słychać było jakieś kroki. Ktoś szedł, a potem zatrzymał się poc drzwiami. Po chwili rozległo się pukanie.

W tejsz samej chwili Kosmala usłyszawszy pukanie poi czuł, że musi koniecznie głośno i groźnie zaszczekać, że jego psim obowiązkiem jest bronić tych zamkniętych drzwi, za którymi nie

wiadomo kto stoi. Wylazł z za wieszaka i zaszczekał głośno i srogo. Jednocześnie z jego szczekaniem rozległ się przerażony krzyk sąsiadki:

– Ojej, skąd tu się wziął pies! Ratunku! Ratunku!

Nie wiadomo dlaczego krzyczała ratunku, bo przecież Kosmala wcale nie miał zamiaru przestraszyć jej albo zrobić coś złego. Po prostu spełnił uczciwie swój psi obowiązek i nawet, można powiedzieć, czuł się z tego powodu zadowolony.

Pukanie znów się powtórzyło.

Kosmala tym razem wystąpił bardziej groźnie. Szczekał teraz grubszym głosem.

– Skąd się tu wziął ten pies! – jęknęła sąsiadka. W przedpokoju było ciemno, więc nic nie widziała. Kiedy jednak zapaliła światło i zobaczyła podskakującego i warczącego groźnie Kosmalę, od razu sobie przypomniała.

– Ach, to ten pies, co był w sieni! Powiedziała to nawet sympatycznie. Pukanie powtórzyło się po raz trzeci.

Kosmala szalał teraz, popisując się. Warczał, rzucał się na drzwi. Chciał pokazać, co to on potrafi.

–!- Kto tam? – spytała wreszcie właścicielka mieszkania.

– Poczta – odpowiedział młuki głos – tylko niech pani zabierze tego psa, bo jeszcze mnie ugryzie.

– Spróbuję, ale nie wiem, czy mi się uda. – Sąsiadka wyglądała teraz na bezradną. – Nigdy, proszę pana, nie miałam psa i nie wiem, jak się do niego mówi. Ale spróbuję.

I zaczęła wołać uprzejmie:

– Cicho, piesku, cicho!

64

J –Ucho, dynia...

65

– No dobra, będę cicho, tylko niech mnie pani puści – mruknął Kosmala, co w psim języku zabrzmiało mniej więcej tak: „Hau, hau, hau”.

– Przywiązać go trzeba – doradzał tymczasem przez drzwi listonosz. – Albo niech go pani zamknie w łazience.

– Dobra myśl – ucieszyła się sąsiadka. – Zamknę go w łazience.

I otworzyła zaraz drzwi do łazienki, a potem zaczęła namawiać Kosmalę, żeby tam wszedł.

– Nie chcę do żadnej łazienki – zbuntował się Kosmala. – Wejdę jak głupi do łazienki, a potem będzie mnie chciała umyć. Jeszcze czego! I warcząc głucho, znów ukrył się za wieszakiem.

– On nie chce i warczy – zakomunikowała wobec tego sąsiadka listonoszowi.

– To ja zostawię list pod drzwiami i pójdę sobie, bo nie mogę dłużej czekać – oświadczył listonosz.

Rzeczywiście słyhać było szelest wsuwanego pod drzwi listu.

– A co ja zrobię z psem? – spytała zgnębiona sąsiadka. Ale na to nie otrzymała już odpowiedzi. Stała w przedpokoju z załamanyimi rękami, kiedy Kosmala zdecydował się wyjść z za wieszaka. Cofnęła się trochę na jego widok, ale Kosmala podszedł do drzwi i zaskomlał uprzejmie:

– Niech mnie pani wypuści. – Oczywiście w psim języku brzmiało to: „Hau, hau! auu! auuu!”

– Ach, chcesz wyjść, piesku? – ucieszyła się sąsiadka i czym prędzej otworzyła drzwi.

Kosmala nie oglądając się wypadł na schody. „Powinienem chyba teraz wrócić do domu – pomyślał. – Jestem głodny, może nareszcie dadzą mi jeść”. I z nadzieją w sercu stanął pod drzwiami rodzinnego

66

mieszkania. Szczeknął z cicha raz i drugi, ale drzwi się nie otwierały.

„Widać nikogo nie ma – pomyślał. – Oczywiście że nikogo nie ma. Mama i tato w pracy, Bożena w szkole, a ciotka Leokadia poszła po zakupy! Co robić? Może najlepiej będzie odszukać Balonikarza. Przecież nie mogę do końca życia być psem!”

Naraz usłyszał, że ktoś schodzi z wyższego piętra. Kroki były ciężkie, ktoś szurał wielkimi, ciężkimi butami.

– Dozorca! – jęknął Kosmala. – Dozorca!

Rzeczywiście, był to dozorca, i to w dodatku z miotłą.

Na ten groźny widok Jacek Kosmala jednym susem odskoczył od drzwi i zaczął uciekać tak szybko, jak tylko mu na to mogły pozwolić jego krótkie, jamnicze łapy.

Zatrzymał się dopiero na rozległym podwórzu, gdzie były szerokie trawniki i parę drzew, a także drewniane ławki. Schronił się pod jedną z nich, wyglądając niepewnie.

A przed blokami było tak, jak zwykle. Na ławkach siedziały mamusie z wózkami, w których spały małe dzieci. Przechodzili lokatorzy i bawiły się dzieciaki. Te młodsze, które jeszcze nie chodziły do szkoły.

Kosmala znał je prawie wszystkie. Zazwyczaj, kiedy szedł przez podwórko, to je zaczepiał, ale teraz nie to mu było w głowie.

Należało przecież zastanowić się nad własnymi sprawami.

Nagle poczuł nieprzewartą chętkę obwąchania któregoś z drzewek. Nigdy tego nie robił, ale teraz kiedy był żółtym, rasowym jamnikiem, miał na to szaloną ochotę. Ostrożnie wysunął się więc spod ławki i zbliżył do drzewka. Obwąchał je czarnym, mokrym nosem i stwierdził, że pachnie interesująco, to znaczy, że na pewno niedawno przechodził tędy jakiś piesek. Miał właśnie zamiar psim obyczajem podnieść jedną nogę, kiedy naraz inny zapach

67

doleciał do jego wężącego nosa. Zapach czuć było wyraźnie, zaraz... tylko zaraz... co to był za zapach? Jakiś dziwnie znajomy. Ach, naturalnie, zapach wroga! Podniósł łe-pek i spojrzał – po wąsko ułożonych płytkach chodnika szedł wielki, bury kot. Kosmala nieraz, oczywiście jeszcze wtedy, kiedy był chłopakiem, gonił tego burasa i celował w niego kamieniami. Więc i teraz ochoczo rzucił się w jego stronę, szczekając zajadle.

Kocur stanął, wygiął grzbiet i najeżył się. Wyglądał groźnie. Był prawie tak samo duży jak Kosmala w psiej postaci. Otworzył pyszczek, z którego wydobyło się groźne parsknięcie: – Hiiii!

Kosmala cofnął się.

– Hiii! – powtórzył Buras i wyciągnął łapę uzbrojoną w ostre pazury.

– Hiiii! Poznaje cię doskonale! Jesteś Jackiem Kosmala, który został psem. Czy masz zamiar i teraz mnie gonić?

Jacek najpierw zdziwił się ogromnie, że rozumie tak świetnie kocie miauczenie, ale już w następnej chwili zawrzał. Co? ten kocur ośmiela się odzywać tak zuchwale?

Mimo groźnego wyglądu Burasa rzucił się na niego z za-' wziętym ujadaniem.

– Ach, ty Burasie! Ty marny myszołapie! Żeby ci nie pokazał, co potrafię! Zjeżdżaj stąd! no!

Ale Buras nie myślał ustąpić. Zjeżył futro na grzbiecie jeszcze bardziej i najzwyczajniej w świecie pacnął roz-capierzoną i pazurzastą łapą Kosmalę w jego długą i roz-j wartą do szczekania mordkę.

– Auuuuu! – zawył przeraźliwie Kosmala. – Auuuu!' Ty zbójcu! Ja ci dam! Niech cię tylko złapię. Poczekaj!

Buras jednak wcale nie zamierzał poczekać, tylko pac-nawszy Jacka po raz drugi, tym razem w ucho, umknął na drzewo, skąd z wyraźnym zadowoleniem przyglądał się swemu dotychczasowemu prześladowcy.

– Auuuuu! – słychać było żaloszny skowyt.

– A widzisz? – triumfował Buras. – Taki zawsze byłeś waśniak i waliłeś we wszystkie koty kamieniami ile wlażyło, aż nareszcie sam dostałeś. Czego tak skamlesz? Taki jesteś odważny? Patrzcie go! Wódz Bandy Silniaków! Ooo! jak to piszczy!

Wszystko można było znieść, ale nie takie szyderstwa. Kosmala rzucił się znów jak szalony w stronę drzewa, nie bacząc, że z zadrapań spływają krople krwi. Ale Buras dał wspaniałego susa i zniknął za drugą stroną muru. A na placyku przed blokami stał żółty,

bardzo upokorzony jamnik.

Naraz rozległ się koło niego jakiś znajomy głos:

– A skąd ona się tu wzięła, ta psina?

Kosmala odwrócił głowę. Obok stała pani Malinowska, ta, która mieszkała piętro niżej, pod nimi, i zawsze skarżyła się, że Jacek hałasuje na schodach.

– Nawet ładny piesek – ciągnęła dalej. – Przybliżał się czy co? Taki jakiś jakby znędzniały. I brudny. Może bym go wzięła, bo widzę, że bezpieczny. Wykapać by go tylko przedtem! No, chodź, piesku, chodź do swojej pańci!

– Jaka pani tam dla mnie pańcia – zdenerwował się Kosmala. –rr Wcale do pani nie pójaę.

Niestety i tym razem, zamiast wszystkich wyżej wymienionych słów, zabrzmiało tylko dość groźne warknięcie, któremu towarzyszyły wyszczerzone groźne zęby. Pani Malinowska była oburzona.

– No widzi pani – powiedziała do sąsiadki, która przystanęła obok – jakie to złe? A wygląda nawet, nie powiem, ładnie. I każdy by powiedział, że dobre stworzenie. A ledwie do niego zagadałam, to warczy.

68

69

– A może tylko taki zdenerwowany, bo go kot przed chwilą podrapał – wtrąciła jakaś mama z wózkiem.

– Możliwe! możliwe, że się tylko przestraszył – ucieszyła się pani Malinowska i nie tracąc nadziei na zjednanie pieska znów zbliżyła się do niego w zupełnie wyraźnym zamiarze zabrania go do domu.

–! Za nic na świecie! – warknął widząc to Kosmala i podwinawszy ogon, pędem zaczął uciekać przed siebie.

Biegł tak szybko, jak tylko mógł, oglądając się, czy pani Malinowska czasem go nie goni. Ale pani Malinowska nie goniła go, natomiast w ogromnych susach biegło ku niemu jakieś wielkie kosmate psisko. – Zagryzie mnie, nic innego – jęknął Kosmala, usiłując biec jeszcze szybciej. Ale psisko dogoniło go, szczekając grubym głosem:

– Stój! Stój! Zaczekaj!

Nie miał zamiaru ani stanąć, ani poczekać i pędził tak szybko, jak tylko się dało na krótkich jamniczych nóżkach. Ale mimo to duży, kudłaty pies dogonił go po paru minutach i zabiegł mu drogę. Kosmala zatrzymał się więc z podwiniętym ogonkiem. Stał, ^niezby t pewny, co z nim dalej będzie, gdy tymczasem psisko zbliżyło do jego mordki swój czarny i mokry nos. Kosmala podniósł nieśmiało wzrok i spojrzał omdlewająco na pochylony nad nim wielki, psi łeb. Zdawał sobie sprawę z tego, że jest to pies co najmniej cztery razy większy od niego i że on, Kosmala, jest w tej chwili po prostu zdany na jego łaskę i niełaskę.

– Serwus, Jacek! – szczeknęło tymczasem wielkie psisko. – Cóż to? Nie poznajesz mnie? Nigdy przedtem nie uciekałeś przede mną!

Jacek spojrzał ostrożnie jednym okiem – rzeczywiście było to coś znajomego. Zaraz, zaraz! Ależ tak! tak! Prze-

70

cięż to jest Gapa! Ta sama Gapa, która biegała nieraz w pobliżu szkoły i tu, przed blokami!

W chwilach niebezpieczeństwa myśli biegną błyskawicznie. Więc i myśli Kosmali biegły niezmiernie szybko i jasno. Ależ tak! Przypominał sobie teraz doskonale, że Julka z ich klasy przechwalała się, że to jest pies jej wujka i że to jest pies najmądrzejszy ze wszystkich psów. Ale nie to było najważniejsze! Kosmala jęknął tylko cicho i znów zamknął oczy, gdyż i to przypomniał sobie nagle, że przecież jeszcze tak niedawno, chyba w ubiegłym tygodniu, rzucał w Gapę kasztanami, a nawet dwa razy kamieniami też, a znów innym razem trafił ją w łapę, tak że Gapa kulała przez cały dzień.

„Ona mnie teraz zaraz pogryzie okropnie za to wszystko” – pomyślał ze grozą. I był gotów na najgorsze.

71

O & g .o

f!j,|j
CO N
N
O -w T3 -inj

c a?
S "8 on
O) O S n
I ? »I
co
CD

M 3
CO
W *k .2
CB
<D
u g o 3

II]

•|-I >"
T! O o w -.
N
CO
3 ft-g
o u 3
Lh C8 ^N ^W i{ <U rv I
J< w .5° o «u* 2 ;L w '8 <d 3 ^ jx 'g w a .
kKm HM (-i CJ
>> & 7i 2J-^^"S <^
O. ? ij P C m T-i «J "13
CO

, CO *1-!
- o a e •^ bo

CO
N
0)
a^
•N 1>
'K aj VO -p; .„ o
L |" s |\$,c ~ ^-s? » SP 3"-3 |«
(W O O CO
"53 g -S « .

N
CO
a^
* .!7
2

N
T3 a
<W co -JO w w w
cJ
^3 CO
"g. o; .^ w.
N "S ° •- M
«N " ^ O, CO « ^ ^ ^ S
|I ItS I

N
- Serwus.' - odpowiedział ten drugi. I znów zagadał do Kosmali:
- Chodź, psinka! Dobry piesek, dobry! Nie bój się! Patrz,
jaka dobra kiełbaska! No chodź, dostaniesz.
Teraz już Kosmala nie mógł się oprzeć zaproszeniu. Szybko
podbiegł i wyciągnął swoją długą mordkę, aby sięgnąć po apetyczną

kielbasę. Naraz stało się coś nieoczekiwanego! Duży chłopak błyskawicznie cofnął rękę z kielbasą, a drugą chwycił Kosmalę za skórę na karku. – A, mam cię! – syknął triumfalnie. – Mam cię! Kosmała próbował się wyśliznąć, ale chłopak trzymał go bardzo mocno. – Puść mnie! – zawołał wobec tego Jacek. Ale ciche skomlenie, które wydobyło się z jego mordki, nie zrobiło zbyt wielkiego wrażenia na prześladowcy.

Wtedy Kosmała, aby się ratować, postanowił użyć zębów. Warknął więc groźnie i zatopił zęby w rękę chłopaka.

– Ty diable! – wrzasnął chłopak i uderzył Kosmalę bardzo mocno. – Ty diable! – powtórzył. – Ja ci dam! Będziesz zabierał się do gryzienia? Już ja cię unieszkodli-wię i nauczę grzeczności.

Ściagnął z szyi szalik i zręcznie owinał nim łepkę Kosmali. A potem wpakował go pod wiatrówkę i zaczął biec nieznanymi ulicami.

Kosmała usiłował wyrwać się, ale wszystkie wysiłki były daremne. Chłopak trzymał go mocno i w dodatku boleśnie poszturchiwał. „Dokąd on mnie niesie? – myślał przestraszony na dobre Kosmała. – Co on ze mną zrobi?”

I tak się zdenerwował, że aż drżał na całym ciele.

76

Porywacz zwolnił biegu i minawszy bramę jakiegoś domu, wszedł na drugie piętro, po czym zapukał do odrapanych drzwi.

Otworzyła stara, gruba kobieta.

– Oooo, jak to wali! – powiedziała na przywitanie. – Nie możesz ciszej stukać?

– Ojej, co się babcia denerwuje? – odpowiedział niezbyt grzecznie chłopak. – Interes mam, to się spieszę, i już.

– Interes, interes – powtórzyła stara kobieta – znam ja twoje interesy. Aż cię w końcu milicja złapie.

– Co ma złapać – odburknął chłopak, – Potrzebuję kawałka wstążki, nie ma babcia jakiej?

– Zobaczę – kobieta otworzyła szufladę komody i zaczęła w niej przewracać. Chłopak tymczasem pogłaskał Kosmalę po łepku i gadał:

– Ty się nic nie bój i aby się nie wrywaj. Zobaczysz, jak ci się będzie dobrze powodziło.

– Skąd ty masz tego psa? Pewnie go ukradłeś? Co?

– O, zaraz ukradłeś! Co też babcia! Przybłąkał się do mnie i już.

– Trzeba go teraz będzie żywić.

-- Niech się babcia nie martwi. Kto inny będzie go żywił – zapewnił chłopak. – No, jest ta wstążka?

– A znalazłam nareszcie kawałek. Różowa! Chcesz różową?

-- Niech będzie. – Chłopak wziął do ręki szeroką, różową wstążkę i mimo że Kosmała szarpał się i wrywał, związał mu ją na szyi w piękną kokardę.

– Elegancko teraz wygląda – stwierdził z zadowoleniem. – No, serwus, babciu!

– A gdzie ty znów lecisz? – zaniepokoiła się babcia.

77

– Mam interesy do załatwienia – odpowiedział chłopak. Wziął Kosmalę pod pachę i wyszedł z mieszkania.

Biegł znów różnymi ulicami, aż wreszcie zatrzymał się j na jakimś ruchliwym placu. Kosmała, rozejrzawszy się, poznał po chwili, że jest to plac Zielony. Plac ten zaliczano do najładniejszych i najelegantszych w mieście.

„Ciekaw jestem, po co on tu przyszedł” – zastanawiał się Kosmała.

Było mu niewygodnie tak siedzieć pod pachą. Chłopak trzymał go mocno, a różowa kokarda przeszkadzała i łachotała Kosmalę w ucho.

„Z tą różową kokardą na szyi wyglądam jak idiota. Żeby mnie tylko kto ze szkoły nie zobaczył, dopiero by się śmieli!” – martwił się Kosmała, bo znów zupełnie zapomniał, że i tak nikt nie wie, że jest on w tej chwili małym, żółtym psem. I że komu by to przyszło do głowy, że ten żółty jamnik to właśnie jest nie kto inny jak Jacek Kosmała z piątej C.

Tego nie domyślał się oczywiście i chłopak, który trzymając go pod

pachą zaczął teraz głośno zachwalać:

– Piesek rasowy, prawdziwy jamnik, niedrogo do sprzedania. Niedrogo, okazynie do sprzedania!

– Ach, mamó, jaki śliczny piesek! – wołały słysząc to dzieci, które przechodziły ze swoimi mamami – kup nam takiego pieska!

– Niedrogo, niedrogo – zachęcał dalej chłopak.

Niektórzy przechodnie zatrzymywali się i oglądali Kosmalę.

Wreszcie jakaś pani z dwiema dziewczynkami zdecydowała się na kupno niedrogięgo, żółtego jamniczka.

Dziewczynki piszczały i podskakiwały z radości, a pani targowała się z chłopakiem. Wreszcie targ zakończono – i Kosmala został sprzedany.

78

– Tylko jak my go zabierzemy do domu? – martwiła się pani.

– Wsadzimy go do wózka lalczyneęo, mamó, wsadzimy go do wózka! – zaproponowała młodsza dziewczynka.

Mamie pomysł wydał się zupełnie dobry. Kosmala został umieszczony w lalczym wózku i nakryty atlasową kołderką. Czerwienił się na pyszczku, myśląc o tym, jak wygląda z ową kokardą i pod lalczyną kołderką. Ale po pierwsze, nic nie było widać, że się czerwieni, gdyż jak wiadomo, pyszczek miał porośnięty sierścią, a po drugie, i tak nikt przecięz nie wiedział, że to sam Kosmala, wódz Bandy Silniaków.

Ale mimo to i tak się bardzo wstydział. W związku z tym postanowił najszybciej, jak się tylko uda, uciec z tego wózka. Ale chłopak, który właśnie kończył liczyć pieniądze, ostrzegł przezornie:

– Niech go pani lepiej przywiąże w tym wózku. Bo on, bestia, zmyślny taki, że może uciekać.

I wobec tego Kosmala został natychmiast przywiązany jakimś paskiem.

– A jak on się nazywa, proszę pana? – przypomniała sobie jeszcze ta pani.

– A może mu pani jakieś imię wymyślić. On się jeszcze nie nazywa.

Dziewczynki były tym zachwycone.

– Mamó, jak on będzie się nazywał? Jak on będzie się nazywał?

Jacek wtrącił się do tej rozmowy, chcąc wyjaśnić, że właśnie nazywa się Jacek i że nie życzy sobie, aby go przezywano, ale jego szczeknięcie wywołało tylko nowy zachwyty dziewczynek:

!– Mamó! Jak on ślicznie szczeka! Niech on szczeknie jeszcze raz.

79

°5#1|

co

CO

CO

CO

L 3 '3 * I

N Q L< fw O CD

*0

(U JS c< ^,* *" 'sL L

i

*-> TO f

CO

r j T3 s"w 'CO

O)

o

CO

o -c;

CO CO

1:3 ° •§ 13 I co

"S ^< -n | S?

co <D N

Ml

O,

O

I
- co
•N CO
5
OJ
o
CO
(U
I*
co
T3

CO
O ti CO
CO
"SBfll

6.

o
cy
o"

s .o J? i -s

CO
cu 3
CO

I
CO
4S

N
O)
cf

"!W
N O
cu

N
CO
^" .a §

fI:^^« |

mknął oczy, kiedy poczuł, że wielkie łapsko chłopaka chwyta go za luźną skórę na grzbiecie i podnosi do góry. Co tu mówić: Kosmala był zrozpaczony. Chyba po raz pierwszy w życiu. Tymczasem handlarz psów wziął go pod pachę, okrył połą swej kurtki i szybkim krokiem zaczął iść w niewiadomym kierunku.

„Co teraz ze mną będzie? – myślał Jacek Kosmala. – Komu on mnie teraz sprzeda?”

– Nie kręć się, bo dostaniesz – obiecywał mu w dodatku przy najlżejszym poruszeniu handlarz psów.

Wreszcie weszli w jakąś ruchliwą dzielnicę. Był to rów-J nieź plac...

Wyjrząwszy spod marynarki Kosmala rozpo-j znał, że był to plac

Handlarzy. Naokoło pełno było skle-j pów z ogromnymi wystawami.

Chłopak zatrzymał się przed wejściem do jednego z nich. Odsunął połą

kurtki, tak aby [łepek Kosmali był widoczny, poprawił zgniecioną

nieco różową kokardę i zaczął zachwalać:

– Pies rasowy do polowania, tanio do sprzedania!

– Jak to, do polowania! – chciał zaprotestować Kosmala. – Ja wcale

nie jestem do polowania! Ty, puść mnie lepiej!

Ale chłopak trzymał go mocno i dalej zachwalał.

– Najpiękniejszy pies rasowy, od ogona aż do głowy! – wy

wrzaski wał. – A od głowy do ogona – cena bardzo jest niżona!

Słyszac to, Kosmala poczuł się trochę dotknięty. Warknął więc ponuro:

– To ty mnie za byle co chcesz sprzedać, mimo że jestem

najwspanialszym i niezmiernie rasowym jamnikiem?
– Jest zły i głośno warczy, tak że i na złodziei wystarczy! – wołał tymczasem dalej handlarz psów.
Wszystko to widać wydało się dość zachęcające jakiemuś panu. Był gruby i miał czerwoną twarz, a w dodatku czarne wąsiki.
– Kupiłbym tego jamnika – powiedział – przyda mi się do polowania. Tylko niech mi go pan trochę taniej sprzeda!
– Nie mogę! Sam pan łaskawy widzi, co to za rasowy i piękny pies – zachwalał dalej chłopak.
– No, to niech będzie – zgodził się gruby pan. Wyjął pieniądze, zapłacił chłopakowi i wziął Kosmalę na ręce.
' – Dobry piesek, dobry! – powiedział głaszcząc go.
– Anim ja dobry, ani piesek! – wrzasnął zirytowany Jacek, co zabrzmiało jak groźne szczeknięcie.
– A widzi pan, jaki to dobry pies – dorzucił sprzedawca, chowając otrzymane od pana z wąsikiem pieniądze. – Jaki zły! Bo to rasowy pies. Będzie pan miał z niego pociechę!
Nowy właściciel Kosmali kiwnął głową, co mogło równie dobrze oznaczać zadowolenie z korzystnego kupna, jak i powątpiewanie w tak reklamowane zalety psa. W każdym razie trzymając mocno Jacka pod pachą, skierował się do postoju taksówek.
– Proszę siadać – powiedział uprzejmie kierowca. – Dokąd szanownego pana mam zawieźć?
– Do hotelu! Kierowca kiwnął głową.
– Jedziemy! – zawołał dziarsko i włączył radio, żeby było weselej jechać. Nadawano jakąś wesołą muzyczkę i kierowca nucił do wtóru. „Jemu to wesoło – pomyślał Kosmala – nie jest psem, żółtym jamnikiem, którego sprzedano”.
I zrobiło mu się bardzo smutno. Miał nawet ochotę

84

85

zawyc żałośnie, kiedy naraz wesoła muzyczka w radio ucichła i rozległ się głos spikera:
Uwaga! Uwaga! Komunikat specjalny: Wczoraj wyszedł ze szkoły i dotychczas nie powrócił do domu chłopiec lat jedenaście. Rysopis zaginionego: wysoki, włosy jasne, twarz okrągła, ubrany w granatowy sweter, granatowe spodnie i wiatrówkę. Nazywa się Jacek Kosmata. Ktokolwiek wiedziałby cokolwiek o zaginionym, proszony jest o zgłoszenie się do rodziców chłopca, adres: ulica Lipowa 5 m. 6 lub do dyrekcji Radia albo do Komisarjatu: numer 007...
Słowa spikera zagłuszyło radosne szczeknięcie jamnika:
– Szukają mnie! Jacek Kosmala to ja! To ja! To ja! Ale oczywiście, że z tego szczekania nikt nic nie mógł zrozumieć.
– Widać radia ten piesek nie lubi – powiedział kiwając głową kierowca i wyłączył aparat.
Jacek chciał jeszcze dalej wołać, że to nie chodzi przecież o radio, tylko o to-, że to on właśnie jest zaginionym Jackiem Kosmalą, ale w tej samej chwili taksówka zatrzymała się przed wejściem do eleganckiego hotelu. Pan z czarnym wąsikiem zapłacił taksówkarzowi i wzięwszy Jacka pod pachę, wszedł przez duże, oszklone drzwi.
Jacek usiłował wyrwać się i koniecznie jak najszybciej wracać do domu, ale niestety! Jego nowy właściciel trzymał go tak mocno, że nie było mowy o uwolnieniu się.
– Siedź spokojnie, bo dostaniesz, piesku, w skórę – powiedział tylko grzecznie i Jacek zrozumiał, że na nic się nie zda szarpanie.
„W każdym razie muszę jakoś się stąd wydostać – myślał z rozpaczą – muszę się wydostać i natychmiast pobiegnę do domu! Dopiero się ucieszą, jak wrócę!”

86

Naraz przypomniał sobie, że przecież w tej chwili wcale nie jest Jackiem Kosmalą, którego poszukują rodzice, tylko małym, żółtym jamnikiem. I że jeśli nawet wróci do domu, to też nikt nie będzie się z tego cieszył, bo tam czekają na Jacka, a nie na psa!

– Pieska dola! – westchnął z rozpaczą. Tymczasem jakaś pani, która razem z nim wsiadła do windy, zachwycała się jego urodą.

– Ach, jaki prześliczny pieseczek! Rasowy jamniczek! I ma taką zabawną, okropnie zmartwioną minę! – mówiła, głaszcząc Jacka po grzbiecie.

„Pewnie, że mam zmartwioną minę” – pomyślał Jacek, ale już nic nie powiedział, bo i po co? Przecież i tak nikt go nie rozumie.

Ale ponieważ bardzo nie lubił głaskania, wyszczerzył na wszelki wypadek zęby, żeby trochę przestraszyć tę panią.

– Ach! – krzyknęła przeraźliwie pani. – Ach! Ten pies się rzuca na ludzi! Należy mu włożyć namordnik! Jak można wozić psa bez kagańca? Na szczęście winda zatrzymała się akurat na trzecim piętrze i właściciel Jacka szybko wymknął się z windy. Biegł teraz korytarzem, szukając swojego pokoju, aż wreszcie trafił do właściwych drzwi. Pchnął je, wpadł do dosyć dużego pokoju i postawił Jacka na podłodze, a właściwie na puszystym, jasnym dywanie.

– Siedź tu grzecznie – powiedział i zaraz wyszedł z pokoju, zamykając drzwi na klucz.

„Ładna historia – Jacek był przerażony – zamknął mnie na klucz jak w więzieniu. Co ja teraz zrobię? A w dodatku rodzice mnie szukają i milicja też”.

Siedział tak przez chwilę na środku dywanu. Krzywe

87

i.

i

łapki zdawały się być jeszcze bardziej krzywe, a długie uszy dotykały ziemi.

– Co robić? Co robić? – powtarzał, co w przełożeniu na psi język brzmiało jak ciche, żalosne skomlenie. Wreszcie podniósł się i zbliżył do drzwi. Próbował podskoczyć do klamki, aby je otworzyć, ale to mu się nie udało. Zresztą przypomniał sobie, że przecież są zamknięte na klucz. Rozejrzał się po pokoju. Obok dużego łóżka, nakrytego różową, atlasową kołdrą, na niskim stoliku nocnym stał telefon. Jackowi błysnęła, jak mu się wydało, wspaniała myśl.

– Po prostu zatelefonuję do radia, że już się znalazłem. Nie namyślając się dłużej, wskoczył dość niezdarnie na łóżko, a stamtąd usiłował dosięgnąć telefonu.

– Powiem im, że tu jestem, i już! Tylko muszę zdjąć słuchawkę! To, niestety, nie było wcale łatwe. Wreszcie, po długich wysiłkach, zasapany tak, że długi, różowy język zwisał mu z boku pyszczka, zdołał ująć zębami czarną słuchawkę.

„Teraz tylko muszę jeszcze nakręcić numer komisariatu! To było... zaraz, to było: 007”.

Nakręcić! Ba! Ale jak nakręcić krótką, pazurzastą psią łapą? Dobrze to powiedzieć! Ale niech kto spróbuje!

Niemniej Kosmala postanowił dokonać tego za wszelką cenę. Było mu bardzo niewygodnie trzymać w zębach ten czarny, twardy i dość ciężki przedmiot, ale postanowił wytrzymać. Podniósł teraz prawą łapkę i usiłował nakręcić numer na tarczy! Nie bardzo to mu się udawało. Ostre pazury ześlizgiwały się z tarczy, przeskakiwały cyfry i nic z tego nie wychodziło. W każdym razie na pewno nie wychodził żaden numer. Wreszcie, po długich usiłowaniach, udało mu się najwidoczniej nakręcić jakiś numer, gdyż w słuchawce odezwał się gruby, męski głos:

88

– Tu straż pożarna!

„Straż pożarna? – pomyślał Kosmala. – Nie, ja przecież nie chciałem dzwonić do straży, ale jeśli już się odezwali, to powiem im, że tu jestem i żeby zawiadomili ojca i mamę, że się znalazłem”.

Położył więc słuchawkę na stoliku i zaczął prędko mówić:

– Proszę pana, proszę zaraz pojechać na ulicę Lipową pięć. Ja jestem Jacek Kosmala! Niech pan powie mojemu tacie, że tu jestem! Bo u nas w domu nie ma telefonu!

Wołał rozpaczliwie i głośno, bo chciał koniecznie, żeby strażak

dobrze go słyszał, ale ku jego rozpaczy jakiś gruby męski głos wyraźnie się rozgniewał w słuchawce:

—! Co to za żarty! Dzwonią do straży i robią fałszywe alarmy! Ja się odzywam, a tu słyhać psie szczekanie!

— Trzeba zaraz dać znać do milicji, żeby sprawdziła, skąd to był telefon — odpowiedział inny męski głos. — Jak złapią takiego, co to telefonuje dla żartów, to pójdzie do aresztu!

— Masz ci los! — zaskomlił żałośnie Kosmala. Był bardzo przestraszony. — Co teraz będzie?

Tymczasem w słuchawce ciągle burczały, brzęczały jakieś głosy.

„Muszę koniecznie położyć ją z powrotem na widełkach! — myślał z rozpaczą mały, żółty jamnik. — Bo jeśli przekonają się, że to ja dzwoniłem, to dostanę lanie! Albo mnie jeszcze zaaresztują!”

Zastanawiał się przez chwilę, czy pies może być aresztowany...

Mniejsza zresztą z tym, w każdym razie należy jak najprędzej doprowadzić telefon do porządku i słuchawkę umieścić na miejscu.

Wymagało to niemałej zręczności. W pewnej chwili ciężka słuchawka wymknęła mu się z zębów i upadła na podłogę. Trzeba było uchwycić

89

ją na nowo, a potem razem z nią gramolić się na łóżko. Ale jak się wygramolić, kiedy łapy takie krótkie?

Wreszcie, po wielu próbach, udało się Jackowi jakoś dostać na łóżko.

Teraz tylko trzeba było zgrabnie położyć słuchawkę na widełkach.

Próbował i tak, i tak, i z jednej strony, i z drugiej — ale ani rusz nie mógł trafić. Wreszcie, kiedy zdawało mu się, że już, już zdoła wykonać swój zamiar, usłyszał jakąś dość głośną rozmowę i po chwili drzwi pokoju otworzyły się gwałtownie. W progu stanął jego nowy pan, jeszcze bardziej czerwony niż przedtem, a obok stał ktoś bardzo wysoki, w mundurze.

„Rety! przyszli mnie aresztować!” — pomyślał Kosmala i rzuciwszy słuchawkę, szybko zeskoczył i ukrył się pod łóżkiem. Wsunął się w najdalszy kąt, pod samą ścianę, i czekał, co będzie dalej.

— Z tego pokoju telefonowano do straży pożarnej! — mówił srdgo jakiś męski głos.

— Ależ ja nie telefonowałem! — zapewniał pan z wąsikami. — Daję słowo, że nie telefonowałem.

— Jak to pan nie telefonował — grzmiał dalej głos kiedy stacja telefoniczna podaje, że stąd było połączenie i w dodatku jeszcze pan sobie żarty robił ze straży! Wstydf żeby taki dorosły człowiek bawił się w ten sposób! Par szczekał do telefonu, proszę pana!

Na to oskarżenie rozległ się chóralny śmiech. Śmieli! się pokojowa i windziarz, i różni goście, którzy mieszkali w sąsiednich pokojach hotelowych.

— Chachachachachachachacha! — rozbrzmiewało teraz na całym piętrze.

— Przysięgam, że nie szczekałem — zaklinał się tymczasem pan z wąsikami — skądże mógłbym szczekać do telefonu! Jak można posądzać mnie o takie rzeczy!

90

•!- Kto w takim razie szczekał — grzmiał dalej gruby głos — jeśli połączenie było z pańskiego pokoju? O, proszę, słuchawka jeszcze jest odłożona! Najlepszy dowód pańskiej winy!

— Jestem niewinny! Jestem niewinny! To niecne, fałszywe oskarżenie!

— nowy właściciel Jacka Kosmali aż podskakiwał z oburzenia.-

— Kto w takim razie szczekał?

— Może mój pies zaszczekał! Przecież ja tu w pokoju zostawiłem mojego psa!

— Ach, tak? To pies wziął słuchawkę i nakręcił numer, tak? Co pan opowiada takie bajki! Żeby pan miał takiego

91

psa, to wszystkie gazety by o nim pisały. Żeby pies telefonował!

— A może to rzeczywiście jest taki niezwykły pies? — zastanawiał się głośno pan z wąsikami. — Właściwie nic nie wiem o tym psie. Kupiłem go przed godziną od ulicznego sprzedawcy.

- Tak, i uliczny sprzedawca sprzedał panu takiego nadzwyczajnego psa?
- drwił dalej gruby głos.

„Rety! A to dopiero draka – pomyślał z niejaką uciechą Kosmala. Czuł się w tej chwili dość bezpieczny w swoim schowaniu i nawet zaczynał dobrze się bawić całą awanturą. – Ciekaw jestem, jak to się skończy”.
- A gdzie wobec tego jest ten pies? – dopytywał się dalej gruby głos.
- Co? Pytam się, gdzie jest ten pies, który według pana miał czekać do telefonu? Nigdzie go przecież nie ma!

- Był tu, był tu przed chwileczką! Taki żółty jamnik z różową kokardą na szyi!

- Nie widzę tu w tej chwili żadnego żółtego ani niebieskiego jamnika! – wołał gruby głos.

- Nie żaden niebieski, tylko żółty – poprawił z godnością pan z wąsikami – żółciuteńki. Wszyscy zresztą widzieli, jak wysiadałem z nim z taksówki i wszedłem do windy!

- Co to, to prawda – odezwał się zaraz jakiś głos – sam windą wiozłem tego pana z żółtym pieskiem. Takim długim, na krzywych łapkach!

- No, proszę – zatriumfował pan z wąsikami – tacy, co psa widzieli!

- Gdzie się wobec tego teraz podział? :

- Może się schował? Trzeba go poszukać!

Jest to bardzo rasowy i delikatny pies, a więc mógł

92

się zdenerwować i gdzieś ukryć – zapewniał pan z wąsikami. – Proszę bardzo, zaraz go zawołam! I zaczął wołać:

- Piesku, piesku, chodź tu zaraz! Pieseczku, proszę wyjść.

- Aha, piesku, pieseczku! – zdenerwował się Kosmala. – A jak wyjdę, to mi na pewno dadzą w skórę. Wszystko będzie na mnie!

I postanowił nie wychodzić ze swego ukrycia. Jego pan był jednak nieugięty:

- Pies musi tu stanowczo być, trzeba go tylko dobrze poszukać! – I nachylił się, aby zajrzeć pod łóżko.

Sytuacja wydała się Kosmali tak groźna, że' nie namyślając się długo wspiał się na przednie łapy i szybko wgramolił się między sprężyny łóżka. Zrobił to zupełnie . w ostatniej chwili, gdyż zaraz potem zobaczył wsuwającą się pod łóżko głowę swego wąsatego właściciela, a obok niego zaglądał jeszcze ktoś inny.

„Zaglądajcie, zaglądajcie, i tak mnie nie zobaczycie – cieszył się Kosmala – pomyśl był niezły. Mogę tu sobie trochę posiedzieć, a potem zobaczymy, co będzie dalej!”

-- Nie ma psa! – dziwił się tymczasem pan z wąsikami. – Przecież – zostawiłem go w pokoju. Pamiętam doskonale, że zamknąłem drzwi. Nawet zamknąłem na klucz. Nic innego, tylko go ukradziono! Ukradziono mojego pięknego, rasowego jamnika! Panie dyrektorze hotelu, żądam, aby natychmiast rozpoczęto poszukiwania psa w całym hotelu albo też wypłacono mi za niego odszkodowanie!

- U nas nic w hotelu nie ginie! – zawołał oburzony dyrektor, który właśnie nadszedł. – Nasz hotel jest najlepszym hotelem w całym mieście, najelegantszym i w ogóle najwspanialszym.

93

\W:

1

- Jednak mój pies, rasowy jamnik, zaginał – upierał-się właściciel Kosmali.

- Znajdziemy go wobec tego bardzo szybko – oświadczył dyrektor hotelu. – Nasz hotel posiada znakomitych własnych detektywów, którzy zajmą się poszukiwaniem pańskiego psa. Hej, zavezwać tu naszych detektywów!

- Proszę bardzo, niech natychmiast rozpoczną poszukiwania – odpowiedział z godnością pan z wąsikami --niech znajdą mego cennego psa. A wtedy, po pierwsze, okaże się, iż jestem niewinny, a po drugie, odzyskam jamnika.

Kosmala po tym oświadczeniu poczuł się zupełnie głupio.

„Muszę wiać jak najprędzej – zdecydował. – Tylko jak? I w ogóle po co ja się w to wszystko zaplatałem!”

Naraz usłyszał trzaśnięcie drzwi i w pokoju zapanowała cisza. Widać wszyscy wyszli. Może poszli po detektywów hotelowych? Kosmala pociągnął mocno nosem. Swoim psim węchem nie wyczuwał w tej chwili niczyjej obecności. Ośmielony tym, ostrożnie wysunął się spomiędzy sprężyn i wyszedł na środek pokoju, aby się porządnie przeciągnąć, gdyż w tej niezbyt wygodnej kryjówce zdrętwiały mu straszliwie łapy. Uf, jak dobrze jest rozprostować kości. Gdyby tak jeszcze można było pozbyć się tej okropnej kokardy, która porządnego człowieka... to znaczy porządnego psa, okropnie denerwuje i łechce w ucho. No, na szczęście, wskutek drapania, udało się pazurem zawadzić o węzeł kokardy i na koniec ta ohydna wstążka rozwiązała się i spadła z szyi. Kosmala stanął teraz na czterech łapach i otrząsnął się. Wreszcie poczuł się trochę lepiej. Przysiadł na dywanie, aby spokojnie zastanowić się nad sytuacją, kiedy naraz 94

znów rozległy się na korytarzu szybkie kroki i drzwi otworzyły się z trzaskiem. Jednym susem, szybkim jak błyskawica, Kosmala wpadł do swej poprzedniej kryjówki, między sprężynami w łóżku. Do pokoju, jak mógł się zorientować, wszedł jego pan i jacyś dwaj inni, nie znani mu ludzie.

– Z tego więc pokoju wykradzono pańskiego żółtego jamnika? – zabrzmiał głos.

– Tak jest, panie detektywie – ze smutkiem odpowiedział pan z wąsikami – z tego pokoju. Ach! Ach! – krzyknął nagle przeraźliwie. – Na dywanie leży różowa wstążka, którą mój drogi pies miał na szyi! Porwano go! Ach! Porwano go!

– Proszę się uspokoić – odezwał się na to drugi głos.

– Zabiorę tę wstążkę. Ułatwi nam ona poszukiwania.

„Ciekaw jestem, w jaki sposób – pomyślał Kosmala, poprawiając się w swojej kryjówce. Jedna z łap uwięzła w sprężynie i było mu dość niewygodnie. – Ciekaw jestem, w jaki sposób ta wstążka ma ułatwić poszukiwania”.

Tymczasem trzasnęły drzwi[^] co miało oznaczać, że poszukiwacz, czyli detektyw hotelowy, oddalił się, a w pokoju słychać było tylko ciche, przysłuszone przez dywan stapanie pana z wąsikami, bardzo zdenerwowanego przygodą. Wreszcie, najwidoczniej zmęczony, rzucił się na łóżko.

To było straszne! Sprężyny łóżka ugięły się miękko, przygniatając Kosmalę.

– Auuuuuuu, auuu! – zaskomlał boleśnie. Pan z wąsikami poderwał się błyskawicznie.

– Co to? – krzyknął. – Czyżbym usłyszał głos mojego psa? Czy też zdawało mi się tylko?

– Byłby mnie pan udusił – warknął w odpowiedzi

95

I

Kosmala wylażąc spod łóżka. – Cóż to za pomysł tak się rzucać na sprężynowy materac!

Ale jego pan, nie zważając na warczenie, chwycił go na ręce, uradowany w najwyższym stopniu.

– Jesteś, jesteś, mój psie... zaraz, nawet nie wiem, jak się nazywasz. Mniejsza o to. Wymyślę ci jakieś ładne imię... może na przykład Cezar, co? Ładnie, prawda? Albo Fi-luś! Najważniejsze jednak, że się znalazłeś. Ale, ale, czy to ty szczekałeś do telefonu? To przecież niemożliwe. Nic innego, tylko ktoś zakradł się do mojego pokoju, telefonował stąd do straży, żeby zrobić ten głupi kawał, a potem spłoszony przez ciebie uciekł. I w ten sposób cień podejrzenia padł na nas obu!

– Hau! hau! – szczeknął w odpowiedzi Kosmala. – Nic podobnego, to ja telefonowałem i stąd ta cała draka! I nawet jeszcze raz muszę telefonować, bo przecież zaginałem. Nawet dwa razy zaginałem -i- raz jako Jacek Kosmala, drugi raz jako żółty jamnik. A to heca!

I aby zadokumentować, że nie zrezygnuje z zamiaru telefonowania, wspiał się do stolika, na którym stał telefon. -- Ciiit! – pan z wąsikami jęknął z przerażenia i chwycił go za mordkę. – Ciiit! Nie

szczekaj!

Oczywiście nic nie rozumiał z przemówienia Jacka, wygłoszonego w psim języku.

– Jeśli będziesz teraz szczekał – tłumaczył mu dalej – to cała historia rozpęta się na nowo. Wiesz co? Najlepiej będzie, jeśli natychmiast obydwaj wyniesiemy się stąd nie zauważeni. Hotel jest co prawda zapłacony aż do jutra, ale trudno, niech stracę!

To mówiąc, wziął Jacka na rękę i ukrył pod płaszczem. Po czym na palcach zaczął skradać się ku wyjściu.

I

13. A

P i

JEDNAK M P U Ś!

Ucieczka z hotelu udała się jak najlepiej. Na ulicy oglądając się wokoło, czy go kto nie ściga, pan z wąsikami, trzymając mocno Jacka pod pachą, pobiegł szybko do sklepu z przyborami skórzanymi. Po drodze wygłosił małe przemówienie:

– Zupełnie niemożliwe, mój piesku, żebyś się nie nazywał. To nawet głupio wygląda, że nie wiem, jak na ciebie wołać. Wobec tego postanowiłem wołać na ciebie... zaraz... jak by cię nazwać? Może Cezar?

„Cezar to nawet nieźle – pomyślał z zadowoleniem Jacek. – Cezar to był nie byle kto!”

Ale pan z wąsikami po chwili zmienił widać zdanie i znów się odezwał:

– A może ładniej byłoby na przykład – Pimpus?

– Wrrr! – rozległo się w odpowiedzi na tę propozycję ciche, ale zdecydowane warknięcie spod poły płaszcza. – Wrr!

– Wcale nie mam zamiaru nazywać się Pimpus – denerwował się Jacek w psim języku. – Proszę, znów Pimpus! Tamci: Pimpus, teraz ten znów: Pimpus! Już nic lepszego nie mogą wymyślić? A poza tym nazywam się Jacek i proszę mnie w ogóle nie przezywać!

Przypomniał też sobie, że przecież powinien starać się dostać jak najszybciej do domu, żeby zawiadomić, że wca-

7 – Ucho, dynia...

97

Wreszcie z wyro-
le nie zginał, i że tylko w tej chwili jest %° . "•
kiem. Szarpnął się więc niespodziewanie, usi^ . .
t- .i | \ - • | i j. ' t

• tiiG rmał za-
lic. Ale jego właściciel trzymał go mocno i
miar go puścić. Powiedział tylko łagodn*~^"
grzecznie, Pimpusiu! – i spiesznie szedł
zatrzymał się przed jakąś wystawą. Był to
bami skórzanymi.

– To tu! – stwierdził z zadowoleniem w^a nych wąsików i pchnął
drzwi.

– Czym' możemy służyć? – zapytała gr^eC "^^
dająca.

"...
|n i '

Al& jamnika,
– Poproszę o mocną smycz skórzaną cx
a także namordnik.

– Namordnik?! – wrzasnął, usłyszaws^^ czyli Pimpus. –
Namordnik?! – Warczał groźnie, że wszyscy w sklepie od razu zgodzili
srogi pies na pewno powinien nosić namordf'-1 nikt nie miał odwagi
przymierzyć namordnik^
i bardzo groźnemu Pimpusowi.

– Hau! Hau! Nie dam sobie przymierzać' lę! – chrypiał Pimpus-
Kosmala.

Wreszcie jednak zbiorowym wysiłkiem wszys . p
dawców i pana z wąsikami został obezwładni011^ , , ^

i i • n • i ' i.

ir-że w skorza-

w eleganckie szelki skórzane ze smyczą, a taK^1
ny kaganiec.

- Teraz - powiedział pan z wąsikami V ność - teraz możemy jechać
dalej. Na wieś!

- Na wieś! Ale ja wcale nie chcę jechać n& .

Jacek-Pimpus rzucił się znów jak szalony, *sX ,
t - i j *rvU, "° szko-
razem ze smyczą. - Ja muszę wracać do do*1*

ły! Muszę dać znać do Radia, że się nie zgubiła t y ^ czał z
rozpaczą. Ale ponieważ było to tylko

to Jacek, rzy tym tak się, że taki 1?. Tylko że szalejącemu
pozwo-

szcze-

98

kanie niedużego, żółtego pieska, więc nikt na to nie zwracał uwagi.

- Ach, niedobrze jest być psem - doszedł do wsiosku Jacek Kosmala.

Narzekania i awantury ze szczekaniem nic nie pomogły. Po wyjściu ze
sklepu właściciel Pimpusia wsiadł do taksówki i kazał szybko jechać

na dworzec kolejowy. Na dworcu wykupił bilety i wsiadł do przedziału.

Zajął bardzo wygodne miejsce przy oknie i ponieważ jego żółty jamnik
najwidoczniej miał również ochotę wyglądać, wziął go na kolana.

„Może uda mi się wyskoczyć przez okno i zwiać” - pomyślał wtedy
Jacek.

Niestety, okno było zamknięte, a w dodatku, już przed samym ruszeniem
pociągu, weszła do przedziału jakaś pani z masą pakunków i małym
chłopakiem. Siadła naprzeciwko i od razu zaczęła się denerwować.

- Co to za porządki, żeby pies jechał w przedziale! Ja się na to nie
zgadzam! Co to jest! Konduktor!

Pociąg właśnie ruszył, a konduktora nie było w pobliżu.

- No, patrzcie, pies ją denerwuje - zirytował się Jacek. - Pies jej
się nie podoba. To gdzie ja mam jechać?

- Pies powinien jechać w specjalnej klatce, w towarowym wagonie -
awanturowała się dalej paniusia - a nie razem z ludźmi!

- No, proszę - Jacek był coraz bardziej zły - no, proszę, to ja nie
mogę teraz jechać w ludzkim wagonie!

- Kiedy on jest bardzo grzeczny, a poza tym ma przecież kaganiec

- uspokajał rozzłoszczoną paniusią pan z wąsikami. - Jeszcze
pani nie ugryzł.

- Tego tylko brakowało! Niech pan zabierze natychmiast tego
obrzydliwego psa!

99

- Co, ja jestem, obrzydliwy? - zdenerwował się teraz już na dobre
Jacek. - Ja jestem obrzydliwy! Słyszał kto coś podobnego!

I tak się rozżalił, że aż zaskomlił.

- Cicho, cicho, pieseczku, nie denerwuj się - uspokajał go wobec
tego jego pan. - Jesteś bardzo ładnym, rasowym psem, tylko ta pani
nie zna się na tym.

- Czy się znam, czy się nie znam, ale ja nie mogę pozwolić, aby pies
jechał razem z moim dzieckiem! Z moim Tomusiem kochanym!

Tymczasem kochany Tomuś zdołał już wysypać na podłogę popiół z
popielniczki, zabrudzić zabłoconymi butami ładne, nowe obicia ławek w
przedziale i właśnie usiłował dostać się do firanki, aby ją oberwać.

„Cóż to za nieznośny chłopak!” - Jacek Kosmala wcielony w żółtego
jamnika trząsł się teraz z oburzenia. Jego pan, widząc to, zaczął też
wykrzykiwać:

- Niech pani się uspokoi! Nawet pies zdenerwował się tą awanturą. A
pani chłopak jest o wiele bardziej nieznośny niż mój Pimpus!

- Chichichichi! Pimpus! - zachichotał Tomuś, usiłując uszczypać
jamnika w ogon.

„No tak, mam na twarzy namordnik i nie mogę się obronić, a on mi
dokucza - zdenerwował się Kosmala - czy to jest sprawiedliwe? I w
ogóle powinno być zabronione dokuczanie psom!”

W tej chwili Tomusiowi udało się schwytać Kosmalę za ogon.

! ' ,
- Auuu - zawył Kosmala - to boli! A Tomuś zaśmiewał się jak szalony:
- Mama! Patrz, jak on się boi!

100

!- .
- Nieznośny chłopaku! - stanął w obronie psa pan z wąsikami. - Niech pani ukarze natychmiast tego swojego synka!

- Tomusiu, bądź grzeczny, synku! - skarciła Tomusia matka. - Nie można ciągnąć pieska za ogonek! /

- A ja będę ciągnąć - upierał się Tomuś.

- Spróbuj tylko! - warknął groźnie Kosmala, wy-*szczerzając zęby.

- O, widzisz! Jeśli będziesz ciągnął, piesek się na ciebie pogniewa! Dalszy ciąg rozmowy został przerwany, gdyż właśnie pociąg zatrzymał się na jakimś przystanku i pani z Tomusiem spieszenie wysiedli. W przedziale zrobiło się teraz cicho i przyjemnie. Kosmala usiłował wyjrzeć przez okno i wreszcie mu się to udało. Zdołał nawet odczytać duży napis na budynku stacyjnym. Było tam napisane: „Żabia Wola”.

- Rety! Żabia Wola - zaskomlił smutnie Kosmala. - Rety! To już chyba gdzieś na końcu świata! Marna moja dola! A gdzież mnie ten, bądź co bądź, zupełnie nieznaną człowiek wywozi! Ach! Ach! Co to będzie?

- Cicho, cicho, piesku! - uspokojał go więc łagodnie pan z wąsikami.
- Niedługo będziemy już w domu!

I głaskał go po łepku.

- Ale ja chcę do mojego domu - szlochał po psiemu Jacek - chcę do domu!

Łagodne kołysanie wagonu i monotony turkot kół działały tak usypiająco, że mimo całej rozpaczy Kosmala szlochał coraz ciszej i wreszcie usnął smacznie i mocno. Tak mocno, że nie słyszał już, jak pociąg zatrzymywał się po drodze na różnych stacjach i jak wreszcie na którejś tam stacji pan z wąsikami wziął go na ręce i wysiadł z nim ha

101

peron. Słońce właśnie kłoniło się już ku zachodowi, a po-f ciąg ruszając w dalszą drogę zagwizdał przeraźliwie.

- Jejku! - jęknął przestraszony Kosmala budząc się gwałtownie. - Jejku! Co się dzieje?

Po chwili Jacek i jego pan siedzieli w śmiesznej, żółtej bryczuszce, zaprzężonej w gniadego konia. Na koźle siej działał jakiś chłopak i powoził. Trzaskając z bata opowiadając o różnych sprawach i wydarzeniach, które przytrafiły się poprzedniego dnia, a do pana z wąsikami mówił: „Panif leśniczy”.

Do Kosmali chłopak odniósł się życzliwie. Na powita-I nie pogłaskał go i powiedział, że przyda się dobry pies na leśniczówce. Taki właśnie do polowania. Bo Burek do tegoj się nie nadaje.

- Żeby tylko nie chciał pogryźć tego małego żółtka dodał, wskazując na Jacka - bo Burek nie lubi obcych J psów.

- Tylko nie żółtka! tylko nie żółtka - warknął obra-| żony Kosmala, Ale nikt nie zwrócił na to uwagi.

- Nó, ale ten pies nie będzie obcy, tylko też domowy - uspokoił go leśniczy. I w formie prezentacji towarzyskiej wyjaśnił: - On się nazywa Pimpus.

Chłopak kiwnął głową.

- Ładnie, chociaż śmiesznie - pochwalił. I obróciwszy się na koźle zawołał:

- Pimpus!

Kosmala niezbyt zachwycony tą poufałością odwrócił łepkę i udawał, że to wcale nie do niego było powiedziane. „Swoją drogą, to też był pomysł z tym Pimpusiem - myślał z niezadowolaniem. - Na pewno tu na wsi będą się ze mnie wyśmiewać. Pimpus!”

v

102

I zaraz zaczął sobie wyobrażać, co to by się działo w klasie, gdyby

tak który z chłopaków dowiedział się, że na niego, na samego Jacka Kosmalę, niezwykłego jak dotychczas wodza Bandy Silniaków, -woła się teraz: „Pimpus!”

Westchnął ciężko i pograżył się w cichej zadumie, która nie trwała zbyt długo, gdyż przerwał ją czyjś głośny, śmiech. Śmiech ten brzmiał szyderczo i Kosmala nie wątpił, że dotyczy jego osoby. Poruszył się więc niespokojnie, nasłuchując, i wtedy zorientował się, że to rzykoń zaprzężony do bryczki.

A rzykoń zanosił się śmiechem.

-- Hiiii, hiiii! - rżał wesoło. - Pimpus! Patrzcie tylko: Pimpus! Hiii!

- Cicho bądź, nie ma się z czego śmiać - szczechnął zdenerwowany Kosmala - ostatecznie psy mają przecież różne imiona! Nie rozumiem, dlaczego się śmiesz.

103

- Jak to, dlaczego - parsknął gniady i machnął pogardliwie ogonem -- dlatego, że zdarzają się takie historie, z których rzykoń też może się uśmieć. Już choćby z ciebie - jesteś małym kundlem na krzywych łapach, a odstawiasz waźniaka.

- Nie jestem kundlem, tylko bardzo rasowym psem do polowania - warknął Kosmala - a poza tym jestem chłopakiem z piątej C.

- No i czy z tego, co opowiadasz, nie można się uśmieć?! - zarżał ponownie gniady rzykoń. I zaczął biec coraz szybszym truchtem.

14. GDZIE JEST JACEK KOSMALA?

Tego dnia, kiedy Kosmala nie zjawił się w szkole i od samego rana przeżywał dalszy ciąg swoich dziwacznych psich przygód, a jego rodzice poszukiwali go przez radio - w szkole Numer Siedemnasty, a przede wszystkim w klasie piątej C, wszyscy byli do głębi poruszeni sprawą zaginięcia Jacka. Co się z nim stało? Co może znaczyć to, że przy wejściu do szkoły znaleziono jego wiatrówkę i teczkę z książkami?

Gdzie jest Jacek Kosmala?

Wszędzie - na ulicach, w mieszkaniach, w kinach, na dworcach rozbrzmiewały komunikaty o zaginionym chłopcu - Wszyscy z przejęciem śledzili jego losy, a w domu u Jacka zamartwiali się jego rodzice i ciotka Leokadia, a Bożena popłakiwała.

Gdzie jest Jacek Kosmala?

W klasie piątej C w ogóle nie było mowy o normalnych lekcjach.

.

Wszyscy z niepokojem czekali na nowiny. Snuto też rozmaite przypuszczenia:

- A może zaciągnął się na jakiś okręt? A może został kosmonautą? A może został kowbojem? Co on teraz robi? Gdzie przebywa?

- Wszystkiego się dowiemy, kiedy wróci - mówił Waldek - co tam się zastanawiać na zapas. Na pewno Jacek nie jest taki, żeby mu się miała stać krzywda. Zobaczycie, że zrobił po prostu taki kawał.

- E, tam, kawał - mówili inni - co za kawał? Że go nie ma?

- A może go porwali kidnaperzy? - niepokoili się 1
Julka.

**

- E, co to, to chyba nie - zaczęli na to wołać prawie wszyscy w klasie - komu chciałoby się ukraść takiego Kosmalę! Ty, Julka, też masz pomysły! A ty byś go <| ukradła?

- Po co miałabym kraść Kosmalę - wzruszyła ramionami.

- No więc sama widzisz! Po co komu Kosmala? Tyle, że jego rodzice mają zmartwienie.

W każdym razie klasa trwała w oczekiwaniu nowin o zaginionym i tak wszyscy byli pochłonięci tą sprawą, że nawet ukochana wyzywanka „ucho, dynia” przestała, ku uciesze nauczycieli, znajdować chętnych. Co prawda, Waldek spróbował raz wyzwać Wojtka, ale

zaraz Julka . skoczyła na niego z krzykiem, że dosyć mają wyzywanki.

– I w ogóle dziwię się, że ci takie rzeczy chodzą po głowie, kiedy zaginął twój przyjaciel i wódz waszej Bandy!

– E, tam! Jak nie ma Jacka, to przecież ja mogę w zastępstwie dowodzić Bandą i już – oświadczył Waldek – a co do zaginięcia, to on nie taki frajer, żeby miał naprawdę zginąć. Ja go znam. On tylko tak, dla draki, to zrobił. Ja wam mówię!

Takie było zdanie Waldka.

Natomiast im dłużej brak było wiadomości, coraz większa część klasy zaczynała podzielać zdanie Julki, że Kosmala został porwany.

Argumenty za tym były bardzo poważne – skąd się wzięła przy wejściu wiatrówka

106

Kosmali? Przecież już było dość chłodno i Jacek na pewno dobrowolnie nie zrezygnowałby z ciepłego odzienia.

Ale byli tacy, którzy wrzuszali na to ramionami.

– A po co miałyby ktoś porywać. gołego Kosmalę? –

pytali.

!

– A może on zostawił wiatrówkę, bo przebrał się w inne ubranie – podsunęła jedna z dziewczynek.

– Ee, a po co miałyby się przebierać – wąpili niektórzy chłopcy.

– Jak to, po co? Żeby go nie można było poznać!

W każdym razie doszło do tego, że w czasie dużej przerwy Piotrek zaproponował kolegom i koleżankom natychmiastowe utworzenie nowej Bandy, która zajęłaby się poszukiwaniem Jacka. To wydało się wielu piątkom doskonałym pomysłem. Julka «i Magda zrobiły nawet od razu specjalne znaczki ze srebra od czekolady i członkowie nowo powstałej Bandy zaraz je sobie przypięli, tylko tak, żeby ich nie było widać, gdyż była to Banda tajna. Postanowiono również, że będzie się nazywała „Banda Szperaczy”.

– Prawda, że ładnie? – chwalił się Piotrek, bo to on wymyślił tę nazwę. I wszyscy się zgodzili, że to jest rzeczywiście ładna nazwa. Chociaż Wojtek miał pewne zastrzeżenia i nawet podsuwał myśl, aby nazwać ją „Banda Poszukiwaczy”. Wywołało to zresztą dość długą dyskusję, bo znów Magda twierdziła, że może to nasuwać myśl, iż jest to Banda Poszukiwaczy Złota albo Skarbów, a przecież trudno uważać Kosmalę za skarb. I w ten sposób zwyciężyła nazwa Banda Szperaczy. Należy jeszcze dodać, że Waldek, chociaż był Silnia-kciem i nie tak bardzo się przejmował zaginięciem Kosmali, zaraz powiedział:

101

107

– Fajno jest! Mogę należeć, chociaż myślę, że to i tak jest draka!

I zapisał się uroczyście.

Oczywiście, ponieważ była to Banda tajna, co konieczne było przy poszukiwaniu śladów i śledzeniu tych na przykład, którzy mogli wiedzieć cokolwiek o zaginięciu Jacka, konieczne było także wymyślenie tajemnego hasła, którym członkowie Bandy Szperaczy mogliby się nawoływać w razie potrzeby. W rezultacie, po długiej, szeptanej naradzie zostało ustalone hasło, które brzmiało: „Mała”, a odzew był: „Kos”. Uważali, że jest to bardzo chytne, i członkowie Bandy Szperaczy tajemniczo i cicho nawoływali się teraz w ten sposób. Jasne, że nie można było poprzestać jedynie na wymyśleniu nazwy Bandy i hasła. Trzeba było również działać. Za zgodą wszystkich członków Bandy dowództwo zostało powierzone Piotrkowi, który z kolei tajnym pismem przesłał wszystkim rozkaz:

• Uwaga! Śledzić podejrzone osoby, które mogłyby być zamieszane w zniknięcie Jacka. Uważać na ślady obuwia i starać się zdobyć odciski palców osób podejrzanych. Informować wodza Bandy Szperaczy natychmiast po zauważeniu czegoś, co mogłoby naprowadzić na ślad sprawy.

Do wykonania dla wszystkich członków Bandy.

Podpisano: Wódz Bandy Szperaczy

Tak, to wyglądało poważnie.

15. N O W E ZNAJOMOŚCI

Tymczasem bryczka jechała długo po miękkiej, dosyć piaszczystej drodze, tak że mały, żółty jamnik Pimpus usnął w końcu, zmęczony podróżą i przygodami, które przeżył. Obudziło go dopiero szarpnięcie, przy czym o mało co nie spadł z ławeczki, na której leżał zawinięty w derkę.

– Prrrrr! Gniada! – wołał głośno chłopak powożący bryczką. – Stój! Prrr!

Gniada, prychnąwszy, zatrzymała się wreszcie, a zaraz potem rozległo się basowe szczekanie jakiegoś widać bardzo dużego psa.

– Hau, Hau! – uragał grubym głosem. – Patrzcie ich! Przyjechali i pchają się na podwórko! Uważaj, Gniada, bo mi tu na budę najedziesz! Co to za wychowanie, żeby tak głośno trzaskać z bata! A w dodatku, jak mi się zdaje, przyjechał w tej bryczce ktoś nieznajomy! Wyłaż no tu i pokaż się! Zdaje mi się również, że to nie jest normalny, porządny pies, tylko ni to, ni owo na krzywych łapach! Kosmala słysząc to zawrzał.

– Co? – zaszczekał cienko i przeraźliwie. – Co? Ni to, ni owo? I w dodatku na krzywych łapach?! Ach, ty Burku nie tresowany! A do budy!

– Pimpus, cicho! – uspokajał go leśniczy. – Co to

109

za szczekanie? Burek jest u siebie, w swojej budzie, i ma prawo szczekać na obcego psa.

– Co? Ma prawo na mnie szczekać? – zanosił się dalej Kosmala cienkim, piskliwym jazgotem. – Ja mu pokażę, czy wolno na mnie szczekać! Puszczajcie mnie do niego! Natychmiast go zagryzę!

– Hau! Hau! Patrzcie go! – sztychł tymczasem basem Burek, szarpiąc się na łańcuchu. – Patrzcie go! Będzie ' mi tu groził! A zbliż się, ty gięty meblu, to się(zaraz przekonasz, czy dam się zagryźć.

– Burek, cicho! Pimpus, cicho! – wołał tymczasem leśniczy.

Trzymał Kosmala na smyczy i nawet przyłożył mu klapsa na uspokojenie.

– No, p...-^zę, tylko bez bicia! – warknął urażony Kosmala. Nie było to mocne uderzenie ani bolesne, ale w każdym razie dość obraźliwe. Burek natychmiast zaczął sztychć:

"

– A widzisz? A widzisz? Dostałeś, dostałeś, co?

– No, to dostałem – odwarknął Kosmala i wywiesił długi, czerwony język, bo mu było gorąco i w dodatku był zdenerwowany.

Tymczasem od strony domu biegły do leśniczego jakieś dzieci i jakaś pani.

– Karolku kochany! – zawołała pani rzucając się na szyję leśniczemu, czyli panu z wąsikami. – Karolku! Jak to dobrze, że przyjechałeś!

Dzieci zaś ciągnęły leśniczego za ubranie i krzyczały

– Tato! Tato, co nam przywiozłeś?

– Pieska przywiozłem – odpowiedział z zadowoleniem leśniczy –

Popatrzcie, jaki ładny piesek! Pimpus, po

każ się!

I postawił go na ziemi.

110

zaszczekał drwiąco Burek.

To ma

– Hau! hau!

być pies?

„Nie jestem wcale psem!” – chciał zawołać Kosmala, ale nie zdołał, gdyż dzieci pochwyliły go na ręce i zaczęły głaskać wołając jednocześnie przy tym:

!– Ach, jaki śmieszny, jaki milutki! Jaki ma czarny, mokry nos! A jakie długie uszy! I ogonek taki śmieszny, a te łapki! Krzywe i krótkie jak u kreta!

- Dajcie mi święty spokój! - zawył w odpowiedzi Kosmala. - Wcale nie jestem śmieszny! Też się przyczepili! Jak wam się nie podobają moje łapy, to się nie patrzcie. Hau, hau!

- A jak śmiesznie szczeka - zauważyła jedna z dziewczynek. Kosmala zdążył się wreszcie doliczyć, że były dwie dziewczynki i jeden chłopak.

- To jest pies bardzo rasowy i mądry - oświadczył nie bez dumy leśniczy. - W hotelu posadzali go o to, że potrafi telefonować. Nawet ja sam nie jestem pewien, czy nie mieli racji. Poza tym jest to wspaniały pies do polowania. Zwłaszcza na lisy!

„No, nareszcie się na mnie poznali - pomyślał Kosmala. - W każdym razie nawet jako pies jestem wspaniały. Co prawda nigdy nie polowałem na lisy, ale sędzę, że to nie jest takie trudne. Po prostu trzeba umieć doskonale strzelać. A ja, chociaż nigdy nie strzelałem z prawdziwej strzelby, na pewno i to potrafię znakomicie”.

Tak był zadowolony z siebie, że nawet zamachał ogonkiem, co przyjęte zostało radośnie przez całą rodzinę leśniczego.

- Jaki on jest miłutki! - wołała młodsza dziewczynka. „Miłutki” nie wydało się co prawda Kosmali takim zupełnie właściwym określeniem dla nieustraszonego wodza

111

Bandy Silniaków. Ale czego można się spodziewać po takiej smarkatej. Udał więc, że nie dosłyszał tego komplementu, tylko machnął pogardliwie ogonem.

- Mamo, on pewnie jest głodny! - zawołała z kolei druga dziewczynka. - Mamo, jemu pewnie chce się pić!

- No, nareszcie jakieś rozsądne słowo - szczeknął z zadowoleniem Kosmala. - Oczywiście, że jestem okropnie głodny i chce mi się pić. Najchętniej napiłbym się zimnej oranżady.

Ale o oranżadzie nie było oczywiście mowy. Starsza córka leśniczego, kiedy już weszli do leśniczówki, postawiła na podłodze glinianą miseczkę z zimną wodą.

- Pij, piesku! - powiedziała głaszcząc przy tym Kos-malę po głowie.

-- Tylko bez głaskania, bo tego nie lubię - warknął Kosmala - i w ogóle nie lubię żadnego jakiegoś tam przy-milania się. Ty nawet nie wiesz, kto ja jestem. Więc sobie zanadto nie pozwalaj.

Niestety, z całego tego przemówienia wyszło tylko parę szczęknięć, które dziewczynka przyjęła z zachwytem.

- Tatku, jak on ładnie szczeka! I tak piszczy śmiesznie. Wobec takiego powiedzenia nie pozostawało Kosmali już

nic innego, jak zabrać się do picia wody. Chłęptał więc z przyjemnością, wysuwając długi, czerwony język. Kiedy miał dosyć, oblizał się po swoim wąskim pyszczku i po czarnym nosie. Poczul się raźniejszy, tym bardziej że właśnie rozległ się dzwonek i pani leśniczyna, czyli żona pana leśniczego, zaczęła wołać:

- Kolacja! Dzieci, ręce myć. Do stołu! Kolacja! „Dobrze, że jestem psem i nie muszę myć rąk - po-

112

myślał słysząc to Kosmala - jednak psie życie, jak się okazuje, ma też swoje dobre strony. Poza tym dobrze, że dadzą wreszcie coś do jedzenia, bo jestem głodny jak trzy psy. Ciekaw jestem, czy chociaż dadzą coś dobrego”.

Rozległo się szuranie nóg i hałas przysuwanych krzeseł, wszyscy siadali do stołu. Kosmala również pobiegł szybko w tamtą stronę. Stanął przy jednym z krzesełek. Było puste, więc postanowił na nim usiąść. Ba, ale jak? Krzeselko było tak wysokie, nie pozostawało więc nic innego jak wskoczyć. Odbił się. mocno wszystkimi czterema łapami od podłogi i skok udał mu się znakomicie. Siedział teraz na krześle i mógł przekonać się, że właśnie pani leśniczyna nakładała na talerze apetycznie wyglądające kluski i kawałki smażonej kiełbasy. Chciał poprosić, żeby mu dała sporą porcję, kiedy naraz jakaś ręka ujęła go za skórę na karku i uniosła do góry. Był to pan leśniczy.

8 - Ucho, dynia...

113

– Hola! Pimppek! – zawołał wesoło. – Cóż to? Chcesz siedzieć przy stole?

Obydwie dziewczynki przyjęły to pytanie radosnymi okrzykami:

– Tak, tak! Tatusiu! Niech on zostanie przy stole! Będzie jadł z nami.

Pan leśniczy nie miałby może nic przeciwko temu i zgodziłby się, ale pani leśniczyna zaprotestowała:

– Nie pozwolę nigdy na to, aby pies jadał przy stole. Zachłapie całą serwetę i w ogóle do czego to podobne! Dostanie jeść w swojej miseczce!

– Widzisz, Pimpusiu? Pani się nie zgadza – westchnął leśniczy i postawił Jacka na podłodze.

– Wrrr – zdenerwował się Jacek – ja jestem przecież okropnie głodny.

– Trzeba mu dać jeść, Helenko – wstawił się za nim leśniczy.

– Zaraz dostanie. Zostało trochę zupy od obiadu i już mu nalałam na miseczkę. Ale musi przestygnąć.

– Ach, prędzej, prędzej, nie chcę czekać, aż wystygnie – zdenerwował się Jacek.

– Poczekaj, piesku, poczekaj! – uspokajały go dziewczynki, a młodsza pogłaskała go na pocieszenie.

Wreszcie leśniczyna postawiła na podłodze miseczkę z zupą. Był to krupnik, którego Kosmala nienawidził, ale tym razem smakował mu ogromnie. Zjadł szybko i nawet wylizał do czysta miskę. Od razu poczuł się jakoś raźniej i psie życie wydało mu się trochę lepsze. „Teraz powinienem dostać kawałek kiełbasy, która tak prześlicznie pachniała” – pomyślał i oblizał się, bo uwielbiał kiełbasę. Ale tym razem spotkał go zawód. Pani leśniczyna, mimo że dziewczynki upominały się, żeby i Pimpu-

114

siowi dać kawałek tego przysmaku, stanowczo oświadczyła, że psom, a zwłaszcza rasowym, nie należy dawać smażonej kiełbasy, gdyż im to szkodzi.

– Nie zaszkodzi mi, ja bardzo lubię mięso – szczechnął Kosmala, ale nikt nie zwracał na to uwagi.

Po skończonej kolacji dziewczynki wybiegły do dużej sieni.

– Chodź, piesuńciu, chodź! – wołały na Jacka.

__ Wypraszam sobie nazywanie mnie piesuńciem –

szczechnął obrażony Kosmala, ale one najwidoczniej nie zrozumiały szczeknięcia, gdyż nawoływały go dalej:

– Pimpus! Chodź tu, piesku! Chodź! Patrz, jakie masz świetne spanie.

I

16 SPOTKANIA D ' O Ś C
NIEOCZEKIWANE

W koszyku na pachnącym sianie spało się doskonale, toteż następnego dnia rano Jacek obudził się rozkosznie wypoczęty. Nie chciało mu się otwierać oczu, tylko przeciągał się leniwie, kiedy naraz przypomniał sobie, że przecież jeszcze wczoraj wieczorem był psem. „Może teraz na powrót jestem chłopakiem?” – błysnęła mu myśl. Ale niestety, natychmiast musiał się wyzbyć wszelkich złudzeń. Ledwie bowiem otworzył oczy i spojrzął na swoje krótkie, krzywe łapki i cienki ogonek, natychmiast przekonał się, że dalej jest małym jamnikiem. Ponieważ jednak pomimo tego czuł się wypoczęty i pełen ochoty do życia, a przez uchylone na ganek drzwi wpadało do sieni jasne poranne światło słoneczne, zdecydował się bez wahania, że nie pozostaje mu nic innego jak rozejrzeć się spokojnie w tej nowej sytuacji, a także zapoznać się z terenem. Wskoczył więc z kosza i wyszedł ostrożnie na ganek.

Z ganku schodziło się po kilku schodkach na podwórze, ogrodzone z lewej strony płotem, bardzo wysokim, jak się przynajmniej Kosmali wydawało. W każdym razie, w stosunku do jego obecnego psiego wzrostu, płot miał wysokość sporej kamienicy. Spomiędzy desek, z których był ten płot zrobiony, wyglądały zielone gałązki krzewów i wysokie trawy. Z prawej strony podwórza widać było

zabudowania gospodarskie, a także ogromną budę, w której mieszkał Burek.

„Nie mam wcale ochoty na spotkanie z tym gburem” – pomyślał Kosmala. I postanowił, że będzie unikał tamtej strony podwórza, a natomiast pobiegnie do widocznego za płotem ogrodu. Niewiele myśląc szłał się ze schodków i skierował się w tamtą stronę. Ale za ledwie przeszedł parę kroków, kiedy zobaczył przed sobą biegnące po ziemi bardzo dziwne, jak mu się wydawało, ptaki. Były pokryte żółtym puchem i piszczwały śmiesznie. Chciał właśnie przekonać się, co to za odmiana ptactwa, i nawet żeby je nastraszyć, kłapnął w ich stronę zębami, kiedy naraz usłyszał gwałtowne gdakanie i jakieś ogromne, większe chyba od niego ptaszysko rzuciło się na niego z rozpostartymi skrzydłami.

– Czyżby to był orzeł? – jęknął przerażony.

Zanim zdążył domyślić się, że jest to przecież zwykła kwoka, poczuł mocne uderzenie dziobem w łeb. Było to tak bolesne, że zaskomlił żałośnie, gdy tymczasem kwoka gdakała z największą irytacją:

– Ja ci tu dam zabierać się do moich dzieci! Nie pozwolę im zrobić krzywdy! Zmykaj, pókiś cały, bo jeszcze raz cię dziobnę, ale to tak, że popamiętasz mnie na całe życie.

– Odczep się ode mnie! – szczeknął. – Nie myśl, że się dam tak dziobać po łbie! Jak ci wyskubię trochę pierza, to zaraz się uspokoisz!

I wyszczerzył groźnie zęby.

Tego tylko trzeba było kwoce. Rozpostarła jeszcze bardziej skrzydła i zanosła się gdakaniem:

– Ratunku! Ratunku! To chuligan! Napada na moje dzieciaczki! A mnie chce skubać! Ratunku!

117

Wobec takiego rozpaczliwego gdakania na podwórku podniósł się krzyk. Gdakanie kwoki zawtórowały jakieś inne głosy, w których Kosmala na razie nie mógł się rozeznaczyć. Chciał jeszcze chociaż trochę nauragać kwoce, kiedy naraz usłyszał jakiś dziwny szelest i zobaczył sunącego w swoją stronę niezwykłego potwora. Było to wielkie ptaszysko, co najmniej trzy razy większe od niego. Ptaszysko sunęło w stronę Jacka z szelestem nastroszonych piór. Dziób miało ogromniaste, a z dzioba zwisało wielkie czerwone grono koralu. Z gardła wydobywało się gulgotanie:

– Co to za jakiś przybłęda ośmiela się napastować naszą kwokę! Osobę poważną i godną szacunku! Phhh! Phh! Jak dziobnę tego zbója, to mu się odechce napadania na zacne osoby z naszego podwórka, a także raz na zawsze będzie miał nauczke!

– To jest indor! – błysnęła myśl w niedużym łepku psa Pimpusia, czyli Jacka Kosmali. – To indor! Ale jaki wielki! Jest prawie tak duży jak słoń.

Oczywiście, indor nie był tak duży jak słoń, tylko Jacek był teraz przecież małym, żółtym jamniczkiem, o wiele mniejszym od dużego, napuszonego indyka.

– Wynos się stąd! Phhhh! – gulgotał tymczasem indor. – Wynos się! – I zbliżał się coraz bardziej do żółtego jamnika.

– No, co ja takiego zrobiłem? Nic takiego nie zrobiłem! – warczał tymczasem dla uratowania resztek honoru jamnik. – Czego się mnie czepiasz?

Nie usłyszał jednak odpowiedzi na to swoje pytanie, natomiast poczuł nowe, silne i bolesne dziobnięcie. Uskoczył więc ze szczekaniem na bok. Stanowczo kwoka i indor stanowili przeważające siły. Należało po prostu wyco-

118

fać się możliwie szybko i z zachowaniem resztek godności. Podwinął więc ogon pod siebie i próbował umknąć bokiem, w stronę płotu.

Phhh! Phhh! – bulgotał i syczał indor. – Wynos się stąd!

– Jeszcze pogadamy – szczechnął cicho Pimpuś, tak dla honoru, żeby mieć ostatnie słowo, i wreszcie zgrabnie a chyłkiem uskoeżył w stronę ogródka.

Indor stapał dalej wyniosły i napuszony, gulgocąc jakieś niezbyt pochlebne wyrazy o psich napastnikach i bezczelności, kiedy Kosmala na swoje szczęście siedział już za płotem, na zielonej wonnej trawie. Było tu bardzo przyjemnie. Drzewa owocowe rzucały miły cień, krzewy

119
porzeczek i malin wyglądały wobec małego jamnika jak wielkie drzewa, a kwiaty wyrastały ponad jego wysokość. „Zupełnie jakbym był, w jakiejś dżungli” – pomyślał Kosmala.

A ponieważ wszystkie przeżyte przygody zmęczyły go nieco, poczuł ochotę ucięcia sobie małej drzemki na miękkiej, trawie. Wyciągnął się.

„Ach, jak miło!” – sapnął.

Naraz znalazł się nos z jakimś potworem. Była to duża ropucha, która siedziała na ścieżce i wpatrywała się w niego swymi wypukłymi oczami. Wydała mu się ogromna. Patrzyła na niego obojętnie i wcale nie miała zamiaru uciekać, mimo że zaczął na nią szczeckać obelżywie.

– Wynoś się stąd, obrzydliwe ropuszysko!

– Jak mi się spodoba – odpowiedziała ropucha. – Ogród jest mój i nie wiem, co ty tu robisz, przybłędo!

– Ja przybłęda? – zdenerwował się Kosmala. Teraz przyskakiwał do ropuchy, usiłując nastraszyć ją, i ujadał przeraźliwie.

Naraz usłyszał jakieś głosy ludzkie. Spojrzał w tę stronę, skąd dochodziły, i przekonał się, że byli to dwaj chłopcy. Wydali mu się olbrzymami, mimo że nie mieli chyba więcej jak dziesięć czy jedenaście lat.

– Felek, patrz –! wołał jeden z nich – widzisz tę ropuchę na ścieżce? A ten pies? Rety, jaka pokraka na krzywych łapach!

– Taki pies to nazywa się jamnik – odpowiedział drugi chłopak. Był bardzo piegowaty i miał rude włosy.

– Jamnik nie jamnik, ale pokraka. Te, kundel! Bierz ją! Bierz!

– Czy on na mnie tak woła? – Kosmala odwrócił 120

się w stronę chłopców. Tak, nie ulegało wątpliwości, piegowaty chłopak wyciągnął rękę w stronę Kosmali i powtarzał:

– Bierz ją! Bierz! Huzia!

– Jak śmiesz nazywać mnie kundlem! -- obraził się Kosmala, szczejkając w stronę chłopaka.

– To widać jakieś głupie psisko! – oświadczył drugi chłopak. – Rzuce w tę żabę kamieniem, to zobaczysz, co będzie!

Rozejrzał się za odpowiednim kamieniem, ale żaba przez ten czas umknęła w krzaki i zdażyła zaszyć się w nie głęboko. Na ścieżce został tylko żółty jamnik.

– Już ta żaba nawiała – oświadczył rudzielec. – Ale wal w tego psa! Zanim Kosmala zdażył uskoczyć, poczuł bolesne uderzenie kamieniem w tylną łapę.

– Auuuu! – zaskowyczał. – Auuu, ty wstrętny łobu-ziaku! Ja ci zaraz...

Ale chłopcy nic sobie nie robili ze skomlenia małego żółtego jamnika, tylko szykowali się do rzucenia drugim kamieniem. Udało się im to w zupełności i Kosmala otrzymał po chwili drugi, bolesny cios. Nie pozostawało nic innego jak uciekać. Z podwiniętym ogonem rzucił się więc na oślep przed siebie, między krzaki. Na szczęście trafił na jakąś większą dziurę w płocie i wylądował na podwórzu. Rozejrzał się niepewnie, nie wiedząc, co robić dalej, gdyż przypomniał sobie niedawne spotkanie z kokoszką i indorem. Naraz usłyszał basowe poszczekiwa-* nie:

– Hej, mały, zmykaj tu do mnie, do mojej budy! Tu ci nic nie grozi.

Już ja tym chłopaczyskom powiem, co o nich myślę!

Spojrzał w stronę, skąd dochodził głos. Przed budą stał Burek, wielki i kosmaty, i dalej szczeakał basem:

-- Prędko, prędko, chowaj się do budy! A już ja się z nimi rozprawię!

Żółty jamnik Pimpuś zatrzymał się pośrodku podwórza, niepewny, czy

skorzystać z zaproszenia. Przypomniawszy sobie wszystko, co Burek powiedział mu na przywitanie, i teraz nie miał zaufania do jego zaproszeń. Ale Burek zapraszał go dalej:

– Nic się nie bój, biegnij tu szybko, bo znów cię uderzą. Ja wam dam, łobuzy, rzucać kamieniami w małego psiaka! Poczekajcie, niech ja tylko się do was dobiore! A ty, mały, włącz prędko!

Nowy kamień, rzucony przez rudzielca, gwizdnął tym razem koło Kosmalowego psiego ucha. Na szczęście nie trafił. Nie pozostawało jednak nic innego, jak skorzystać z Burczynego zaproszenia. Kosmala podbiegł więc chyłkiem do budy i szybko wsunął się do jej wnętrza. Było tam zacisznie i bezpiecznie. Przysiadł na słomie, nie bardzo wiedząc, co robić dalej, kiedy za nim wsunął się Burek. Kosmala usunął się trochę, aby mu zrobić miejsce. Był pewien, że teraz Burek znów zacznie mu tak jak wczoraj uragać. Ale, o dziwo! Burek sapnął przyjaźnie, obwachał go, a nawet liznął w ucho.

– Nic się nie bój – mruknął życzliwie. – Pewnie wzięłeś sobie do serca to wszystko, co ci wczoraj nagadałem. Nie gniewaj się. Żaden porządny pies nie lubi, jak sprowadzają do domu drugiego. Ale teraz już jesteś też domowym psem i będziemy trzymać sztamę. Przeciwno tym łobuzom, którzy tu przychodzą i rzucają kamieniami. – Oni są wstrętni! – zaskomlił żałośnie Kosmala. –

122

Żeby w takiego małego chłopaka, to znaczy, chciałem powiedzieć, psa, jak ja, rzucać kamieniami!

– Wstrętni i podli – przytaknął Burek.

– Chcieli mnie skrzywdzić – skarżył się dalej Jacek.

– Bo tacy już są niektórzy chłopcy, że dokuczają psom – powiedział pouczająco Burek.

– Tak, niektórzy tacy są – powtórzył Kosmala. I w tejże chwili zaczerwienił się okropnie pod żółtą sierścią. Przypomniawszy sobie bowiem całą historię z jamnikiem Balonikarza. Co tu się okłamywać. Przecież on sam rzucał nieraz kamieniami w tamtego jamnika! Było mu teraz głupio. No, po prostu wstyd wobec tego dużego, poczciwego Burka. Spuścił więc głowę i udał, że łapie pchłę, która natrętnie gryzła go gdzieś w okolicy ogona.

– Muszę cię z góry uprzedzić – szepnął widząc to Burek – że niestety w mojej budzie jest nieco pcheł. To są rzeczy nieuniknione w budach podwórkowych. Oczywiście psy pokojowe mniej są na to narażone. Za to nie mają tyle swobody. Nie przejmuj się, przyzwyczaisz się do nich. Wydawało mi się, że jesteś właściwie miejskim psem.

– Nie jestem psem! Jestem Jackiem Kosmala – szczechnął z rozpaczą Jacek. – Jestem po prostu chłopakiem zamienionym w psa!

Burek potrząsnął łbem z niedowierzaniem.

– Żartujesz sobie ze mnie. Myślisz, że można sobie robić kpiny z takiego wiejskiego, podwórkowego kundysa jak ja. Ale daj spokój. Ja naprawdę jestem niezłe psisko i uważam cię już za swojego. Nie bój się, nie dam ci zrobić krzywdy. Jeśli zechcesz, to i temu głupiemu indorowi porządnie nagadam, żeby się ciebie nie czepiał.

– Dziękuję ci. Jesteś fajny chłop, to znaczy pies –

123

odpowiedział Kosmala unikając wzroku Burka. W tejże samej chwili poczuł jakiś apetyczny zapach. Pociągnął więc nosem.

– Ładnie pachnie, prawda? – spytał uprzejmie Burek. – Prawdę mówiąc, przygotowałem tu dla ciebie mały przysmak. Poczęstuj się, proszę! To powiedziawszy, Burek rozgrzebał łapą słomę i wydobył spod niej sporą kość, niezłe obrośniętą mięsem.

– Dostałem od leśniczyny – wyznał – ale zachowałem dla ciebie. Spróbuj tylko, jaka pyszna i krucha!

Kosmala pociągnął jeszcze raz nosem. Kostka wyglądała rzeczywiście niezmiernie apetycznie i pachniała zachęcająco. Smakowała mu ogromnie.

– Pyszna! – szczechnął z uznaniem.
– A widzisz! – powiedział z zadowoleniem Burek. – Czego się nie robi dla przyjaciół!

17 szperacze D Z I A Ł A I >

Kiedy Jacek Kosmala przeżywał tak niezwykle przygody, Piotrek i cała Banda Szperaczy nie ustawiali w poszukiwaniach. Przede wszystkim zaraz po lekcjach kilkakrotnie i niezmiernie dokładnie obejrzeliby owo miejsce, gdzie znaleziono teczkę Kosmali. Wojtek, w celu dokładniejszego zbadania śladów, przyniósł nawet z domu lupę. Co prawda, nie była to tak zupełnie jego własna lupa, gdyż pożyczył ją od starszego brata, ale dla samej sprawy nie miało to przecieź znaczenia. Grunt, że była to lupa prawdziwa i że można było obejrzeć przez nią dokładnie ślady. Mogło to mieć przecieź ogromne znaczenie dla dalszych poszukiwań. Piotrek twierdził, że bez lupy ani rusz! Co prawda najlepiej widziało się przez tę lupę skórę na rękach. Wyglądała jak skóra słońca lub hipopotama. Ale w każdym razie coś się przez tę lupę widziało. Piotrek twierdził nawet, że odróżnia przy jej pomocy ślady męskich butów, co jednak wskazywałoby na możliwość porwania Kosmali, ale Waldek zaraz go wyśmiał.

– Niemożliwe, bracie! Akurat Jacek dałby się porwać. Co ty! Taki silny chłopak! On by jeszcze sam przyłożył takiemu, co by chciał się na niego rzucić.

– Ale jakby to był ktoś bardzo silny i bardzo duży, to Jacek nie dałby mu rady – upierał się Piotrek. – Czekaj, daj mi tę lupę! Jeszcze raz obejrzę ślady!

125

– Zupełnie są nieczytelne, czyli zatarte – stwierdził Waldek.

– Nie wiem, co o tym myśleć – mruknął zmartwiony Piotrek.

– A ja mam pomysł! – podskoczyła naraz Julka. – Ja mam pomysł!

Czytałam, że bardzo często do poszukiwań używa się psów...

– No to co? – przerwał jej Waldek. – Skąd weźmiemy takiego psa? Do tego musi być pies specjalnie przyuczony!

– Wcale nie! – Julka zaperzyła się. – Ja znam takiego jednego psa! Jest bardzo mądry. Najmądrzejszy chyba ze wszystkich psów! I jak on by zaczął szukać, toby znalazł.

– W tego twojego nadzwyczajnego psa, Julka, to ja wcale nie wierzę – powiedział Waldek. – Bo to powinien być prawdziwy pies policyjny, tresowany!

– Tamten też jest tresowany! – broniła swojego protegowanego Jula. – On umie podawać łapę i rozumie, jak mu się powie: siadł, i udaje nieżywego.

– Eee, takie rzeczy to każdy prawie pies potrafi!

– Nie wiesz, a opowiadasz – zdenerwowała się teraz na dobre Jula.

– Co znaczy: nie wiem! Ja się też znam na psach. Łapę każdy szczeniak umie podawać – podważał zalety kandydata Waldek.

– Ale ona (bo to jest suczka) jeszcze potrafi przynosić gazetę z budki z gazetami i bawi się w chowanego, i odprowadza małego chłopczyka do przedszkola!

To brzmiało poważnie. Tyle zalet i talentów!

– I ona się nazywa Gapa – wyznała Jula na koniec.

– Gapa? – powtórzyli chłopcy – ale przecieź Ga-

126

pa to ten kudłaty, duży pies,, który czasami biegnie przed szkołą.

– No właśnie – kiwnęła głową Julka. – Naumyślnie nazwali ją Gapą.

Dla niepoznaki. Żeby wszyscy myśleli, że ona jest gapa, chociaż ona jest naprawdę bardzo mądra.

– A wiecie, że to nawet dobrze! – zdecydował Wojtek. – To tak, jakby był przebrany. Nikt się nie domysli, że taki pies, który nazywa się Gapa, może być używany do tropienia porywaczy Kosmali.

– To ja zaraz polecę i spytam, czy go nam pożyczą – ofiarowała się Julka. – A jak mój wujek się zgodzi, to zabiorę psa i spotkamy się tu po obiedzie.

– Niech będzie po obiedzie.

– Zbiórka o wpół do piątej – zakomenderował wobec tego Piotrek, jako wódz Eandy Szperaczy. – Tylko bez spóźnienia!

– Możesz na mnie polegać – oświadczyła z godnością Jula.

-- A dlaczego ma tylko na tobie polegać. Na nas też może liczyć – oburzyli się Waldek i Wojtek. Chcieli jeszcze coś dodać, ale zaraz uspokoili się, bowiem ze względu na policyjnego psa, występującego pod pseudonimem Gapa, Jula była w tej chwili ważną osobą.

Zresztą była nie tylko ważna, ale i słowna.

O godzinie wpół do piątej, kiedy chłopcy zebrali się na umówionym miejscu, nadbiegła pędem za ciagnącą się na przywiązany do obroży sznurku Gapa.

– To właśnie jest Gapa – dokonała prezentacji Julka.

– Zdaje mi się – powiedział niepewnie Piotrek – że niezupełnie wygląda na psa policyjnego. Czy psy policyjne bywają łaciate?

127

– Czyś ty zgłupiał, Piotrek, czy co? – zgromił go natychmiast Wojtek. – To przecież lepiej! Nikt nie pozna, co to za jeden. Niby taki sobie, zwyczajny pies, w biało--bure łaty, a tymczasem on będzie tropił po śladach, uważasz? I nikt się nie pokapuje, o co chodzi.

– Dobra jest! Nadaje się – poparł Wojtka Waldek.

– Tak mi się właśnie zdawało, że to będzie odpowiedni pies – powiedziała ze skromną miną Jula, pękając w duszy z pychy i dumy. – Już ja się na tym tropnę znam.

– Hm, wobec tego trzeba by jakoś zacząć poszukiwania – oświadczył niezbyt pewnie Piotrek.

– Oczywiście!

Jula pociągnęła Gapę za sznur. – Gapa! – powiedziała cicho i bardzo tajemniczo. – Gapa, teraz uważaj! Musisz powąchać ten ślad.

Najważniejsze, żeby tropiący pies powąchał pierwszy ślad.

Ale najwidoczniej albo Gapa była innego zdania, albo też nie zdawała sobie sprawy z wagi nałożonego na nią obowiązku, gdyż zamiast zacząć wachać ślady, przysiadła na tylnych łapach i przekrzywiwszy łeb, przyglądała się Julce z żywym zainteresowaniem.

– Gapuchna! Bądź grzeczna i mądra psina i zacznij nareszcie wachać!

– zaproponowała znów przymilnie Julka, na co Gapa odpowiedziała uprzejmym, choć dość wstrzemięźliwym machaniem ogona?

– No, Gapcia! słyszysz?

– A może ona się boi? – zaryzykował pytanie Wojtek. Tego tylko trzeba było Julce.

– Co? Taki pies miałby się bać! Gapa! do roboty! Pokaż zaraz, co potrafisz! Pyf!

Właściwie nie było zupełnie pewne, co z tego przemówienia Gapa wzięła sobie do swego psiego serca. W każ-

128

dym razie jedno pewne, że najniespodziewaniej w świecie poderwała się i z donośnym szczeknięciem rzuciła się przed siebie. A za nią cała Banda Szperaczy.

– Poczują! Poczują! – ucieszył się Piotrek.

*– Zawsze mówiłam, że tylko policyjny pies! – triumfowała Julka. – A co, sami teraz widzicie.

Gapa ciągnęła ją za sobą tak mocno, że Julka biegła zadyszana, potykając się.

– Lepiej ja będę ją trzymał – zawołał Wojtek.

– Właściwie to ja powinienem ją prowadzić – zauważył Piotrek.

– Ale ja wpadłam na ten pomysł! – broniła się Julka, mimo że była już zmęczona. Dyszała ciężko. A Gapa biegła jak opętana po całym placu przed szkołą.

– Ona szuka śladów. Widać Kosmala chodził tu w kółko czy co? –

Wojtek śledził Gapę z zainteresowaniem.

– A może to nie Kosmala, tylko ten, co go porwał, tak chodził w kółko.

– Po co by znów miał porwać go i przedtem chodzić w kółko? – zdenerwował się Waldek. – Nie wierzę w porwanie. I w ogóle skąd ten pomysł?

9 – Ucho, dynia...

129

– Bo może porywacz namyślał się. To chodził wtedy w kółko. Mój wujek, jak się nad czymś namyśla, to zawfeze przy tym chodzi w kółko – zapewniał Piotrek.

Waldek wzruszył ramionami.

– Eee, nie opowiadaj. A ty, Julka, lepiej daj już tego psa Piotrkowi albo mnie.

– Ddddobrze – zgodziła się Jula – niech teraz Piotrek weźmie psa, a jak on się zmęczy, to ja znów będą trzymała sznurek.

Nie wiadomo, czy dlatego, że Piotrek wziął sznurek, czy też dlatego, że Gapa odkryła coś nowego, ale w każdym razie naj niespodziewanie] w świecie pies szarpnął się mocne. Czarny i mokry nos Gapy dotykał ziemi; zaczęła ciągnąć Piotrka w stronę ulicy Jesiennej.

– Teraz to już na pewno znalazła ślad! – krzyczała Jula.

– Cicho bądź – krzyknął na nią Waldek – jeszcze zdenerwujesz psa! Musimy teraz tylko biec za nią. Piotrek, jak się zmęczysz, to mnie oddasz sznurek.

– Dobrze!

Głos Piotrka był zadyszany, a on sam w duchu przyrzekał sobie naj święciej, że za nic na świecie nie zrezygnuje teraz z prowadzenia psa. Właśnie teraz, kiedy wyglądało na to, że Gapa wpadła na właściwy ślad.

Aż tu naraz niespodzianka! Gapa zupełnie nieoczekiwanie skręciła w ulicę, prowadzącą do bloków, gdzie mieszkał Kosmala. Biegła machając ogonem i szczekając wesoło. Najwyraźniej była zadowolona z siebie, nie zważając, że zadyszani od biegu dzielni członkowie Bandy Szperaczy niezupełnie mogą za nią nadażać.

– Ojej, już nie mogę – stękał od czasu do czasu Waldek – gdzie ta wariatka leci! I po co?

130

– Widać wie, po co leci! – odpowiedziała Julka, z trudem łapiąc oddech. Piotrek już nawet się nie odzywał, tylko gnał za Gapą na złamanie karku.

Na szczęście Gapa wreszcie się zatrzymała. Akurat w tym samym miejscu, gdzie rano spotkała Kosmalę w jamniczej postaci. Obwąchała dokładnie trawę, zaszczekała dwa razy, a potem przysiadła z wywieszonym różowym ozorem i odpoczywała. Wyglądała na bardzo zadowoloną. Machała ogonem i spoglądała na swoich towarzyszy, jakby domagała się pochwały i podziwu.

Ale gromadka Szperaczy nie zdradzała zbyt wielkiego zachwytu.

– E tam – machnął ręką Waldek – też naopowiadałaś, Julka, nie wiadomo co. Psisko przyleciało tu sobie, bo tak się jej uwidziało, i tyle!

– O, przepraszam – oburzyła się Julka – ona na pewno wie, dlaczego tu przybiegła. Widzisz, jak inteligentnie na nas patrzy?

Waldek już miał odpowiedzieć coś niezbyt uprzejmego, kiedy spostrzegli, że biegnie w ich stronę zadyszany Ma-ciupa.

– Skąd się tu wziąłeś?!

– Widziałem z daleka, jak pędzicie, to was dogoniłem. Ale ty, Piotrek, fajnie gnałeś za tym psem! Maratoński bieg! daję słowo... Pomyślałem, że pewnie coś już wiecie o Kosmali, bo jego rodzice tu mieszkają. Wrócił, co?

– Nie, nie wrócił – poruszyli przecząco głowami.

– Prawda – krzyknął naraz Waldek – prawda! Przecież w tych blokach mieszka Kosmala – może by zajrzeć do niego do domu i dowiedzieć się, czy nie mają wiadomości?

131

– Jakby mieli, toby zaraz dali znać do szkoły! – pohamował go Piotrek. Chciał jeszcze powiedzieć, że może byłoby to niedelikatnie tak przychodzić i niepokoić zmartwionych rodziców, ale Julka przerwała mu:

– A widzicie? Nie miałam racji, że Gapuchna jest okropnie mądra? Przecież jeśli tu mieszka Kosmala, to ona biegła po jego

śladzie! I dlatego tu nas przyprowadziła. Tu najwidoczniej był Kosmala!

– Pewnie, że był, jeśli tu mieszka – westchnął Piotrek. – Ale co dalej?

– To zależy od Gapy! – zawołała z zapalem Jula. – Mówię wam, że musimy zdać się na nią, niech nas prowadzi!

– No, dobra – zgodzili się chłopcy – tylko czy aby ona dalej gdzieś pójdzie?

– Zobaczymy, co, Gapulka? Poprowadzisz nas, co? – przypochlebnie pytała Julka.

Gapa podniosła się i widać było, że gotowa jest do dalszej drogi.

– Poszedłbym z wami, tylko aby nie na długo – oświadczył Maciupa – a która teraz jest?

– Za trzy minuty piąta – sprawdził Piotrek, bo miał zegarek.

– Dobra – zgodził się Maciupa – mam jeszcze godzinkę czasu, a lekcje odrobiliście?

– Pewnie – wzruszyli ramionami – przez to, że Kosmala zaginął, prawie wszyscy zapomnieli zadać coś na jutro! Co tam było do odrabiania!

– No to co? Co z tym psem? – dopytywał się Waldek.

– Zaraz, zaraz – uspokajała go Julka – trzeba się z nią porozumieć. Przyklękła przy Gapie:

132

– Gapuchna, szukaj, szukaj dalej, mądra psinka!

A Gapa ciągnęła naprzód. Najpierw przez ulicę Jesienną, potem przez Jaśminową, przecięła aleję Klonową, aż wreszcie dotarła do zaułka, w którym mieszkał handlarz psów. Wbiegła na schody i zatrzymała się przed drzwiami. Za nią, prawie na czworakach, wdrapał się zmęczony Piotrek i reszta towarzystwa.

Gapa stała pod drzwiami i głośno węszyła.

– To tu – szepnęła Jula.

– Co: tu?----spytał Waldek. Przysiadł przy tym na schodach, bo był porządnie zmachany.

– Nie rozumiesz? – zdenerwował się teraz Wojtek. – Tu musi być ukryty Kosmala.

– Jak to: ukryty?

– Rety! Nie wytrzymam! Ten ciągle nic nie rozumie? No ci, co porwali Kosmalę, tu musieli go ukryć.

Waldek aż pobladł z wrażenia. To było nie byle co! Stali więc pod drzwiami porywaczy Kosmali.

– Nie damy się – szepnął dzielnie Maciupa. – I ja tam wejść pierwszy. Ja się nic nie boję.

– Ciiiicho! – syknął Piotrek. – Nie będziesz wchodził, bo najpierw trzeba się zastanowić, co robić dalej.

– Co się tu zastanawiać – chwacko odpowiedział Wojtek. – Pies tu nas przyprowadził. Chyba taki policyjny pies wie, co robi. Idziemy! To mówiąc zapukał do drzwi. Odpowiedziała im cisza.

– E, to widać nie tu! – zdecydował Waldek. – Ten cały twój pies, Jula, to na nic.

– Jak to: na nic? – zaperzyła się Julka. – Jeszcze się okaże!

Zobaczycie. Trzeba mocniej zapukać. O, widać trzeba dzwonić, tu jest dzwonek.

133

To mówiąc nacisnęła silnie guziczek dzwonek. Po chwili stojąca pod drzwiami gromadka usłyszała czyjeś ciężkie, człapiące kroki.

– Kto tam? – zachrypiał rozgniewany głos.

– Co powiedzieć? – spytała teraz bezradnie Julka.

– Jak to: co? – zdenerwował się Piotrek. – Proszę otwierać! To my!

– Co za my? – spytał z kolei gderliwie głos za drzwiami.

– My! – powtórzył Piotrek. – Proszę otwierać. Zazgrzytała zasuwka i po chwili drzwi uchyliły się. W ich otworze widać było starszą, bardzo grubą kobietę.

– Coście za jedni? – spytała srogo tym swoim zachrypniętym głosem.

- Jesteśmy kolegami Jacka - wygadał się od razu Wojtek.
- Jakiego Jacka? I co to wszystko w ogóle znaczy? Wynoś się!
Ten ostatni okrzyk odnosił się do Gapy, która skorzystawszy z tego, że drzwi były uchylone, szarpnęła się gwałtownie i wpadła do mieszkania. Przy tym szarpnięciu wyrwała sznurek z ręki Piotra. Piotr wskutek tego poleciał nosem naprzód, akurat prosto w otwarte drzwi.
- Ratunku! - krzyknęła starsza pani. - Napad!
- Proszę pani - próbowała uspokoić ją Julka - to nie żaden napad! My tylko szukamy Kosmali! To znaczy Jacka Kosmali!
- Nic nie rozumiem! Co to za pies? Dlaczego wpadł do mojego mieszkania? Może mnie pogryźć! Zabierzcie go natychmiast!
- Ależ on szuka Kosmali! - dodał wyjaśniająco Waldek.

134

- Co to za jakieś głupstwa! - zdenerwowała się teraz na dobre starsza kobieta. - Wynoście się stąd natychmiast! Jesteście na pewno jakąś bandą łobuziaków.

- O, co to, to nie, proszę pani - powiedział z godnością Piotrek, który właśnie zdążył już odzyskać równowagę. - Jesteśmy Banda Szperaczy!

-- Ach, więc nie omyliłam się! - zakrzyknęła kobieta. - Jesteście bandą i przyznajecie się do tego. Ratunku! Ratunku!

- Ale jesteśmy przecież Banda Szperaczy - usiłował łagodnie wytłumaczyć Maciupa.

- Ach, i w dodatku jesteście bandą porywaczy! - krzyknęła słysząc to.

- Nie porywaczy, tylko Szperaczy! - wołali więc wszyscy chórem.

Do ich krzyku przyłączyła się teraz i Gapa. Jej donośne szczekanie i wycie zabrzmiało tak przeraźliwie, że można było przypuszczać, iż w mieszkaniu dzieją się okropne rzeczy. Starsza kobieta denerwowała się coraz bardziej.

- Złodzieje! Ratunku! Porywacze! - krzyczała wniebogłosy.

Drzwi od mieszkań na klatce schodowej zaczęły się otwierać.

- Co się stało? - pytali wszyscy.

- To banda porywaczy! - wołała gruba paniusia, wskazując przy tym na Julkę, Piotrkę i resztę towarzystwa.

- A co oni porwali? - spytał jakiś starszy pan w okularach.

- Czyżby panią chcieli porwać? - spytał ktoś inny.

- Ja bym się nie dała porwać - zapewniła grubiotka babina - ale oni nie wiadomo po co przyszli tu z tym

135

psem. I już w ogóle dosyć mam tych psów dzisiaj. Mój wnuczek przyleciał też z jakimś psem, tylko że to był jamnik. Żółty jamnik.

- Żółty jamnik? - wrzasnął ze zdumieniem Piotrek. I aż podskoczył z wrażenia. -- Słyszycie -! zwrócił się do kolegów - był tu żółty jamnik.

- To coś znaczy! - zawołała Julka. A Waldek i Wojtek dodali: - A może to ten od Balonikarza?'

- Zupełnie możliwe - dodał z przekonaniem Ma-ciupa.

- A ja widziałam dzisiaj, jak pani wnuczek niósł takiego żółtego pieska, z różową kokardą! - zawołała jedna z sąsiadek.

- No to co, że niósł, nie wolno mu czy co? - rozgniewała się gruba staruszka. - Powiedziałam, wynoście się, i już.

- Toteż my się wynosimy - odpowiedział obrażony trochę Piotrek, - ostatecznie my nic tu złego nie zrobiliśmy. Idziemy dalej.

- Gapa! prowadź! - zakomenderowała wobec tego Julka. - Szukamy dalej.

Gapa posłusznie zaczęła na nowo węszyć. Ciągnąc za sobą na sznurze Julkę, zaczęła teraz biec z nosem przy ziemi, a cała gromadka za nią. Minęli parę ulic. Gapa biegła coraz szybciej, aż wreszcie zatrzymała się przed wejściem do jakiegoś dużego, bardzo eleganckiego gmachu. Cała gromadka Szperaczy zatrzymała się zdumiona.

- Hotel - przeczytał zdziwiony Piotrek, gdy tymczasem Gapa pchała

się gwałtownie do środka.

– Gapa chce tu koniecznie wejść! – wołał nie mniej zaskoczony Wojtek.

136

– Kto wie, czy tu nie ukryli się porywacze! – wykrzykiwał Waldek.

– Wchodzimy – zdecydował wobec tego za wszystkich Maciupa.

Aczkolwiek była to śmiała i męska decyzja, jednak nic |/. niej nie wynikło.' Na przeszkodzie stanął wysoki i wspaniale ubrany mężczyzna. Miał na sobie czerwony mundur ze złotymi guzikami i czapkę ze złotym galonem.

– Gdzie wy tu się pchacie? – Spytał srogo.

– My tu za Gapą – objaśniła najuprzejmiej, jak tylko mogła, Julka. – Gapa...

– Co za gapa! – zdenerwował się jegomość w lśniącym od złota mundurze. –. Jeśli myślicie, że ja jestem gapa, to bardzo się mylicie.

– Nie, Gapa to nasz pies – spieszenie zaczął tłumaczyć Piotrek. – A my chcieliśmy tu wejść...

– Kto to jest? – .spytała tymczasem szeptem Julka Maciupa.

– Nie wiem – odpowiedział Maciupa – ale widać jakiś waźniak, jeśli krzyczy i nie pozwala wchodzić.

Czerwono przyodziany waźniak denerwował się tymczasem dalej:

– Po co tu idziecie? Z psami nie wolno wchodzić...

– Ale, kiedy, proszę pana, to jest pies policyjny...

– Co? – Waźniak aż podskoczył. –| Policyjny? Dostyc już tu dziś mieliśmy milicji i straży pożarnej, i psów. Uciekajcie, aby szybko, bo się zdenerwuję.

– Kiedy ten pies właśnie szuka jednego chłopca...

– Zwariować można! -- jęknął czerwono ubrany jegomość. – Nic z tego wszystkiego nie rozumiem! Już dziś rano jakiś pies podobno telefonował po straż pożarną. I była z tego powodu wielka awantura w naszym hotelu.

137

A teraz znów wy mi mówicie, że ten wasz pies to jest policyjny, chociaż wcale na to nie wygląda. Tylko co prawda tamten to jeszcze mniej wyglądał na to, żeby mógł telefonować. Bo jak mógł telefonować mały, żółty jamnik? I to w dodatku z różową kokardą na szyi. Tak jest. Powiadali, że miał różową kokardę na szyi.

Teraz Piotrek, Jula, Wojtek, Waldek i Maciupa spojrzeli na siebie.

– Pan mówi, panie portierze... – zaczęła grzecznie Julka.

– Skąd ona wie, że to jest portier? – spytał znów szeptem Waldek.

– Cicho bądź – syknął Maciupa – przecież on ma to napisane na czapce.

Rzeczywiście! Na czapce czerwono ubranego olbrzyma złociste litery układały się w napis: Portier.

– W porządku – mruknął potulnie Waldek. Tymczasem Julka pytała gorączkowo:

– Więc pan mówi, panie portierze, że to był żółty jamnik? Z różową kokardą?

– Właśnie to powiedziałem. Było przez niego dostyc bigosu w całym hotelu. Przyjeżdżała straż i milicja. I w ogóle było okropne zamieszanie. No, ale już zmykajcie, nie można tak stać w przejściu, bo właśnie przyjechali zagraniczni goście.

– Przepraszamy, ale tylko jeszcze jedno słowo – jęknęła Julka, z trudem powstrzymując rwącą się do wnętrza hotelu Gapę. – Niech pan nam jeszcze tylko powie...

– Niech pan nam tylko powie – powtórzył za nią Piotrek – co dalej stało się z tym jamnikiem.

– Wyjechał razem ze swoim panem – powiedział już

138

trochę zniecierpliwiony portier – a teraz, już was tu nie ma! Odwrócił się i podszedł szybko do samochodu, z którego wysiadali jacyś panowie.

– No i co dalej? – spytał bezradnie Piotrek. – Słyszeliście?

Powiedział, że jamnik ze swoim panem. Czyżby to był Balonikarz?
- E, ty ciągle o tym Balonikarzu! - rzucił się Waldek, a Wojtek też się zdenerwował:

- W ogóle nie rozumiem. Czy my szukamy Kosmali, czy jakiegoś złotego jamnika? Wszystko mi się pokręciło!

- To przez tę Gapę - mruknął Waldek - niby miała

139

szukać Jacka, a właściwie ciągle węszy po śladach jakiegoś psa!

- Tylko nie krzycz na Gapę - rozgniewała się Julka i chciała jeszcze się posprzeczać, ale Piotrek jej przerwał:

- Czekajcie, nie czas na kłótnie. Zastanówmy się przez chwilę spokojnie. Zaraz, zaraz! Chwileczkę.

Odwrócił się i podszedł do portiera.

- Proszę pana - powiedział najgrzeczniej, jak tylko potrafił - czy ten pan, który był z tym pieskiem, to był Balonikarz?

Portier otworzył szeroko oczy ze zdumienia:

- Jaki-znów balonikarz, chłopcze? To był pan leśniczy!

- Leśniczy? - zadziwił się Piotrek. - Nic nie rozumiem. - I potem wrócił do kolegów. - Już naprawdę nie wiem, co wobec tego robić dalej? Leśniczy! Dziwna historia!

Julka nie traciła jednak otuchy:

- Wiecie co? Zaryzykujmy jeszcze trochę. Co nam szkodzi?

Pójdźmy jeszcze kawalek, tak jak nas poprowadzi Gapa. Prowadź, Gapuchna.

- E ta twoja Gapa to jest naprawdę gapa - mruknął zły już Waldek, ale poczłapał ze wszystkimi.

- Jak nie chcesz, to możesz nie szukać, nikt cię do tego nie przymusza - odezwał się Piotrek. - Uważam, że jeszcze trochę możemy spróbować. Ja mogę jeszcze być pół godziny, bo potem już muszę wracać do domu.

- Dobra jest! - zgodziła się reszta Bandy Szperaczy. - My też musimy wkrótce wracać, bo się będą w domu niepokoiili. Więc ty, Waldek, rób, jak chcesz.

- E, mnie się już nie chce latać za tym głupim psem - Waldek wzruszył ramionami. - Umówiłem się z chłopakami na piłkę. I tak nie znajdziemy Kosmali, żeby tam nie

wiem co. Jego ojciec dał już znać, a milicja i tak go szuka. I przez radio też go szukają.

- Milicja swoją drogą, a my swoją - powiedziała z godnością Jula. I kiwnęła głową: - Do widzenia. - A potem pogłaskała Gapę i nachylając się do niej szepnęła: - Szukaj, Gapuchna, szukaj dalej. Gapa usłyszawszy polecenie wesoło zamachała ogonem, po czym szczeknęła i dziarsko rzuciła się naprzód. Pobiegli za nią i po chwili znaleźli się przed dworcem kolejowym.

- Czyżby go wywieźli? - zastanawiał się głośno Piotrek.

- Kogo masz na myśli? - spytała Julka. - Psa, to znaczy tego złotego jamnika, czy Kosmalę?

- No właśnie nie wiem - wyznał Piotrek. - W każdym razie teraz to już nic nie wiem. Przecież tyle pociągów odchodzi z kolejowego dworca...

- A w jednym z nich, być może, jechał porwany Ko-smala - ponuro dodał Maciupa.

- A czy ona, to znaczy Gapa, mogłaby pokazać, którym pociągiem jechał Jacek? - spytał Wojtek Julki.

- Idź ty, skądże pies mógłby takie rzeczy wiedzieć! - stanął w obronie Gapy Piotrek. - Tego to ona na pewno nie wie.

- Za dużo śladów do rozpoznania - wyjaśniła Julka.

- No tak, to już tutaj nie mamy co robić - westchnął Waldek.

Stali przez chwilę ze smutnie zwieszonymi głowami, a potem zdecydowali:

- Wracamy do domu, nie ma rady, trzeba wracać.

140

18. WIELKIE ŁOWY

Jackowi Kosmali śniło się właśnie, że jest w klasie i z małej procy celuje prosto w nos Piotrkowi, kiedy naraz poczuł, że ktoś go ciągnie za skórę na karku. Otworzył najpierw jedno oko, potem drugie i przekonał się, że nadal ciągle jeszcze jest psem i że właśnie bardzo dobrze spało mu się w obszernej, chociaż nieco zapchlonej budzie poczciwego Burka. Ręka, która wyciągnęła go z tak rozkosznego legowiska, należała nie do kogo innego, jak do samego pana leśniczego.

– Hej, Pimpus! – wołał przy tym pan leśniczy. – Dość chrapania! Jedziemy na polowanie.

– Masz ci los – mruknął Kosmala – na polowanie! Wcale mi się nie chce. Bardzo mi tu dobrze w tej budzie. Poza tym jestem zmęczony i chciałbym odpocząć. Co będę robił na polowaniu, skoro na pewno w tych psich łapach nie potrafię utrzymać strzelby. I w ogóle nie podoba mi się ten pomysł.

Ale leśniczy był nieugięty.

– Chodź, Pimpek! Do nogi!

I bez żadnych ceremonii wyciągnął Kosmalę z budy.

– Nie chcę! nie chcę! – jęczał. – Nie pójdę nigdzie.' Tu zostanę z moim przyjacielem Burkiem!

– Nic na to nie poradzisz – mruknął Burek. – Musisz pójść, kiedy cię wołają. Taka to już pieska dola, mój drogi.

142

– Już ci mówiłem przecież, że nie jestem psem! – z oburzeniem wrzasnął Kosmala. – Jestem chłopakiem!

Burek popatrzył na niego z powątpiewaniem.

– Nie zdaje mi się, abyś był chłopakiem – mruknął. – Czy potrafisz chodzić na dwóch nogach? Poza tym jesteś pokryty sierścią, a ludzie są goli, wcale nie mają na sobie futra. I w ogóle przecież nie wyglądasz na człowieka. Chyba żartujesz sobie ze mnie.

– Wcale nie żartuję – westchnął Kosmala. – W każdym razie dziękuję ci za gościnę i za tę kostkę. Była wspaniała.

I na pożegnanie polizał Burka w czarny, mokry nos.

– Serwus! Trzymaj się! – szczechnął w odpowiedzi Burek.

Leśniczy tymczasem uwiązał Kosmalę na smyczy i zabrał go na bryczkę.

Pojechali poprzez polne drogi aż do gęstego zagajnika. Tu leśniczy wysiadł, zabierając z sobą Kosmalę. Puścił go ze smyczy i zaczął uważnie przyglądać się zaroślom i trawie. Były tu również kępki mchu.

– Jest! jest – krzyknął naraz leśniczy. – Lis tu się gdzieś musiał włóczyć. Szukaj, piesku, szukaj!

Rzeczywiście, Kosmala pociągnawszy nosem poczuł jakiś dziwny, ostry zapach. Nie miał wątpliwości, że to jest woń lisa, i naraz poczuł ochotę pójścia lisim śladem. Z nosem przytkniętym do ziemi szukał teraz nowych śladów. Znalazł je i pobiegł, węsząc za tropem. Leśniczy zachęcał go:

– Szukaj, Pimpus, dobry piesek! Szukaj!

„Pewnie, że będę szukał i znajdę – pomyślał Kosmala. – Złapię lisa.

Jeszcze nikt w naszej szkole nie był na polowaniu. Przyniosę tego lisa do klasy. To dopiero będzie licea! Dziewczyny będą się go bały i na pewno będą

143

okropnie krzyczały. A ja nic – przyniosę go po prostu pod pachą do szkoły. I tak go wytresuję, żeby wszystkich gryzł, a mnie nie”.

Tak to sobie wyobrażał, ale naraz z tych marzeń wyrwał go głos leśniczego:

– Szukaj, Pimpus, szukaj!

I od razu przypomniał sobie, że przecież już nie jest tym Jackiem Kosmalą, którego wszyscy w klasie bali się okropnie, tylko małym, żółtym jamnikiem. Rozżalił się więc na nowo nad swoją dolą i zaskomlił rozpaczliwie.

Leśniczy najwidoczniej jednak zupełnie inaczej zrozumiał to skomlenie. Ucieszył się bardzo słysząc je i zaczął wołać:

– Już masz tego lisa? Co? Dobry piesek, dobry, szukaj, szukaj!

~

Nie pozostawało więc nic innego, jak wsadzić nos w dziurę, która, jak przypuszczał leśniczy, była lisia jama, i tropić zwierzynę. W istocie, kiedy Jacek pociągnął mocniej nosem, poczuł znów ten ostry, niezbyt przyjemny zapach. Wiedział już teraz na pewno psim instynktem, że trafił na ślad lisiej nory. Dziwne, ale coraz bardziej nabierał chęci znalezienia lisa i schwytania'-go. Zaczął więc szybko swymi krótkimi i krzywymi łapami rozkopywać ziemię, aby dostać się głębiej do jamy. Wilgotny piasek zasypywał mu oczy i zatykał nos, ale Kosmala już teraz zawzięcie przekopywał się dalej. Wreszcie dokopał się do rozległej nory. Usłyszał jakieś dziwne szczerzenie i zobaczył dwie pary błyszczących, żółtych oczu. Przez chwilę były nieruchome, ale zaraz potem zaczęły się wyraźnie zbliżać.

144

„To lisy! Chcą mnie zaatakować i być może zjeść!” – pomyślał trwożnie Kosmala. Zwłaszcza że przez otwór, który widać był drugim wyjściem z nory, padało światło i w jego blasku Kosmala dostrzegł, że dwie spiczaste lisie mordki uzbrojone są w bardzo ostre zęby.

– Rety – wrzasnął. – Zagryzą mnie jak nic! Odwaga opuściła go całkowicie.

I już zupełnie nieprzytomnie rzucił się do ucieczki. Gramolił się szybko, jak tylko potrafił najszybciej, i wreszcie przez jakąś dziurę wydobył się na powierzchnię. Otrząsnął się z grudek mokrej ziemi, która go oblepiła, i rozejrzał się wokoło.

Otaczał go zagajnik pełen krzaków jałowca, a także niewielkich świerków i krzewów leszczyny. Z ludzi nie było tu nikogo. Widocznie leśniczy pozostał przy wejściu do nory lisiej po drugiej stronie zagajnika.

– Co mam teraz zrobić? – zastanawiał się Kosmala. – Co robić? Jestem sam w nie znanej mi okolicy. A tam i ojciec, i mama, i wszyscy poszukują mnie na pewno. Jestem co prawda ciągle psem, ale mimo to koniecznie chcę wrócić chociaż jako pies do domu i do szkoły. Rozejrzał się raz jeszcze. I po chwili przytknąwszy nos do ziemi zaczął znów węszyć. Było to bardzo dziwne – ale przy pomocy węchu mógł rozpoznać, w którą stronę powinien iść, aby dotrzeć do jakiejś drogi. Pobiegł więc z nosem przy ziemi i po chwili znalazł się przy wiejskiej drodze, pełnej kolein od przejeżdżających tędy wozów. Przystanął na jej skraju i uniósłszy głowę do góry, mocno pociągnął swym czarnym, mokrym i trochę oblepionym czarną ziemią nosem. Pociągnął jeszcze raz i jeszcze raz i po chwili poczuł, że od wschodu najwyraźniej dolatuje «o zapach dymu. Takiego dymu, jaki zazwyczaj wyrzucają z siebie lokomotywy.

– Hura! – chciał krzyknąć z radości, ale zamiast tego w powietrzu zabrzmiało: Hau! hau!

W każdym razie jedno było pewne, że mógł pobiec na stację i dostać się z powrotem do miasta.

Puścił się więc pędem w stronę,, skąd płynął zapach dymu.

146

19. C Z Y KUPI PANI GEŚ?

Z wywieszonym prawie do ziemi ozorem zadyszany Kosmala wpadł na niedużą stacyjkę właśnie w chwili, kiedy na peronie stał pociąg gotowy najwidoczniej do odjazdu.

„Całe szczęście, że jestem psem – pomyślał Jacek – przynajmniej nie potrzebuję kupować biletu, bo psy biletów nie kupują”.

Postanowił, że wsiądzie do wagonu pierwszej klasy, gdzie zawsze jest mniej pasażerów, i że w ten sposób odbędzie podróż w bardzo eleganckich warunkach. Odnalazł więc szybko wagon, na którym widoczna była jedynka oznaczająca pierwszą klasę, i spróbował do niego wsiąść. Tylko że nic z tych prób nie wyszło. A to dlatego, że schodki były bardzo wysokie, a jamnik jest psem niedużym i w dodatku, jak wiadomo, ma krótkie łapy. Na nic więc nie zdały się wszystkie podskakiwania. Ani rusz nie mógł wgramolić się na stopnie. A tu pociąg gwizdze, a panienska przez megafon zapowiada jego odejście do stolicy. Tak, tak, lada chwila ruszy i potoczy się w tę stronę, gdzie mieszkają mama i

ojciec, i Bożena, i ciotka Leokadia, gdzie jest szkoła, koledzy...
Ach! Jacek Kosmala szczechnął żałośnie i jeszcze raz spróbował
wgramolić się na stopień. Ale nie tylko nie udało mu się tym razem,
ale w dodatku konduktor zaczął na niego krzyczeć:

148

– A pójdziesz ty! Do domu, psiśko!

Sprawa wyglądała więc bardzo źle. Prawie beznadziejnie. Bo jeśli nie
uda się wsiąść do tego pociągu, to co będzie? Czekać na następny? Nie
wiadomo przecież, kiedy będzie odjeżdżał. Co robić? Co robić?^
Kosmala biegał bezradnie po peronie, szukając sposobu dostania się do
wagonu. Wreszcie zupełnie zrozpaczony przysiadł w pobliżu jakichś
wielkich tobołów i koszu. Ich właścicielka, młoda jeszcze wiejska
gosposia, zagadała się ze swoją przyjaciółką i nie zwracała uwagi na
bagażę. Tymczasem z jednego kosza dochodziło żałosne stękanie i
gęganie. Kosmala zbliżył się do niego i ostrożnie podniósł nosem
wiklinowe wieczko. W koszu siedziała młoda, biała gaska. Była
zrozpaczona nie mniej od Kosmali.

– Ach! – jęczała. – Nie chcę nigdzie jechać! Zabrali mnie, zabrali z
mojego podwórka i nie wiem, co się ze mną stanie!

– Nie chcesz jechać? – szczechnął cicho Kosmala. Na szczęście
zagadana gosposia nie patrzyła w ich stronę.

– Pewnie, że nie chcę! – zagęgała gęś. – Po co mam tam jechać. Ach,
wypuść mnie stąd, wypuść, jeśli jesteś porządnym, uczciwym psem i
chcesz mi pomóc.

– Nie jestem w ogóle psem – warknął Kosmala – jestem chłopakiem
zamienionym w psa, ale mimo to jestem ^otów wypuścić cię.

– Czy jesteś psem, czy nie, w każdym razie jesteś bardzo dobry –
gęgała. – Błagam cię tylko, zrób to szybko!

– Oczywiście, że muszę to zrobić błyskawicznie. – Kosmala
wspiał się na łapy i podniósł zębami wieko kosza.

– Wyłaż, aby prędko – mruknął. – Tylko nie gęgaj. I smyrzaj zaraz w
bok!

149

Całe szczęście, że gospodyni była w dalszym ciągu zagadana i nic, a
nic nie widziała. Biała gaska, uwolniona ze swego więzienia, cichutko
i najprędzej, jak potrafiła, podreptała w tę stronę, gdzie kończył
się peron niewielkiej stacyjki, gdy tymczasem Kosmala, nie namyślając
się nawet przez chwilę, wsunął się do kosza na miejsce gęsi. Zwinął
się w kłębek i nawet zupełnie wygodnie ułożył na sianie, którym było
wysłane dno.

„Aby tylko dostać się do wagonu! – myślał. – Potem stąd się wygramolę
i znajdę sobie jakieś inne wygodne miejsce. Zresztą nawet nie musi
być takie bardzo wygodne, najważniejsze, abym wreszcie dojechał do
domu”.

Rozmyślenia przerwał mu wzmożony ruch na peronie. Panienska z megafonu
prosiła wszystkich, aby wsiadali i zamykali drzwi. Słyszał spieszne
kroki i pożegnania, aż w pewnej chwili ktoś powiedział: – No, to do
widzenia, Małgorzato!

I koszyk z Kosmalą został uniesiony w górę.

– A co tam wiesz? – spytał jeszcze ten głos, który przed chwilą
żegnał się z Małgorzată.

– Gęś wiozę – odpowiedziała Małgorzată. – Nię wiem, czemu
taka mi się wydaje lekka. A przedtem była jakby cięższa.

– Może pić jej na drogę nie dałaś i ziarna, to głodna.

– Może być -- zgodziła się Małgorzată. – No, to wsiadam. Do
widzenia!

– Do widzenia!

Kosmala poczuł teraz, że Małgorzată gramoli się do wagonu, a potem,
że wędruje wzdłuż przedziałów, w poszukiwaniu wolnego miejsca.

Wreszcie znalazła widać odpowiednie, gdyż weszła do przedziału i
spytawszy, czy miejsce jest wolne, zaczęła się sadowić.

– A kosz to niech pani najlepiej postawi na półce – doradził któryś
z obecnych w przedziale podróżnych.

– Ale czy aby tam nie ma czegoś, co mogłoby się rozlać i kapać na

nas? – spytała jakaś pani trochę zdenerwowanym głosem.

– Ach nie, nie – zapewniła Małgorzata – nic się nie wyleje. Zresztą ja niedaleko jadę.

„Jak to: niedaleko? – chciał spytać Kosmala, bardzo zaniepokojony. – Więc Małgorzata nie jedzie do miasta? Do stolicy?”

W zdenerwowaniu zapomniał zupełnie o tym, iż powinien siedzieć cicho, i zawył żałośnie.

– Co to? – zaniepokoiła się zaraz ta pani, która się pytała, czy nie będzie kapać. – Jak to? To tu jest pies? Ach, ja się boję, jeszcze mnie ugryzie!

– Coś panusia taka bojąca – zdenerwował się Kosmala – psa się pani boi? Takiego małego, ślicznego pieska?

Czuł się naprawdę obrażony. Ostatecznie trudno, był psem, to prawda, ale żeby zaraz robić taką awanturę o to, że pies jedzie w przedziale, to też przesada.

– Pies też człowiek, paniusiu – powiedział z goryczą.

Tym razem zabrzmiało to jak warknięcie, ale na szczęście gwizd lokomotywy i turkot kół zagłuszyły je całkowicie, a Małgorzata i pozostali podróżni zdołali wreszcie jakoś uspokoić nerwową panią. Zaglądali nawet pod ławkę, żeby ją przekonać, że nie ma mowy o żadnym psie.

A Kosmala siedział w koszu i martwił się dalej. Bo właściwie cała historia z koszem wypadła niezupełnie tak, jak to sobie zaplanował. Miał przecież zamiar wyskoczyć z kosza, skoro tylko Małgorzata wwinduje się do wagonu.

150

151

A tymczasem czy możliwe jest wydobycie się z kosza, postawionego na wysokiej półce?

„Chyba żebym się wygramolił i zeskoczył tak prędko, żeby nikt się nie spostrzegł, co się stało” – myślał. Ale bał się trochę takiego skakania. Spróbował nawet, aby lepiej rozejrzeć się w sytuacji, podnieść trochę nosem wieko, ale obliczył, że gdyby chciał skakać z półki, musiałby skoczyć akurat na kolana tej pani, która była nerwowa. Strach pomyśleć, co by było, gdyby wykonał ten zamiar. Siedział więc w koszu i smucił się. A że, niestety, do psich obyczajów należy martwienie się głośno, więc najniespodziewaniej w przedziale rozległo się żalosne wycie:

– Auuuu! Auuuu!

– A to co? – poderwała się znów ta nerwowa pani. – Czyżby ktoś płakał?

– Może to w sąsiednim przedziale – uspokajał jakiś kolejarz, który siedział obok Małgorzaty. – Nie ma się czym przejmować. Widać jakiś dzieciak płacze.

– Albo może kogo boli ząb – wpadła na pomysł Małgorzata.

– Też możliwe – zgodził się kolejarz. Naraz pociąg zaczął zwalniać biegu.

– Jaka to stacja? – spytała Małgorzata, jakby zaniepokojona.

– A to teraz będzie Wesoła Góra – grzecznie poinformował kolejarz. – Za dwie minuty pociąg się zatrzyma.

– Rety! Już za dwie minuty? – Małgorzata poderwała się z ławki i chwyciła spoczywający na półce kosz. Szarpnęła nim przy tym tak gwałtownie, że Kosmala trzasnął przy tej okazji nosem o jego wiklinową ścianę tak mocno, że aż świeczki stanęły mu w oczach!

152

– Ostrożnie! – warknął w najwyższej irytacji. Ale Małgorzata nie słyszała nic, bo właśnie zegnała się z towarzyszami podróży.

– Do widzenia – powiedziała – wysiadam tu, w Wesołej Górze, bo dziś akurat jarmark. Gąskę właśnie wiozę na sprzedanie!

– Gąskę! – jęknął już teraz zupełnie cicho Kosmala. – To niby ja mam być tą gąską! A to dobre! Czy nie dość już, że jestem psem, ale żebym jeszcze miał być gęsią?! O, co to, to nie! Wypraszam sobie takie rzeczy!

Zupełnie zapomniał o tym, że to przecież on sam wpakował się do kosza

na miejsce gęsi, i nawet gotów już był wyjść z niego, nie zważając na zdumienie Małgorzaty, kiedy przypomniał sobie – że przecież Małgorzata wysiada w Wesołej Górze, a wcale nie jedzie do jego rodzinnego, stołecznego miasta.

To było najgorsze!

Tymczasem pociąg stanął już na dobre, a Małgorzata wygramoliła się z wagonu. Zawiadowca stacji i konduktorzy wołali teraz:

– Wesoła Góra! Proszę wsiadać! Drzwi zamykać!

– No właśnie! Ja też muszę wsiadać i jechać dalej – zawył Kosmala, rzucając się w koszu. Ale najwidoczniej hałas, panujący na stacyjce Wesoła Góra, zagłuszył go całkowicie, tylko Małgorzata, zaniepokojona gwałtownymi ruchami we wnętrzu kosza, powiedziała słodko:

– No, no, nie rzucaj się, gęsiu! – I zamknęła przykrywą kosza na małą drewnianą za tyczkę. Teraz już nie było mowy o wydobyciu się. Małgorzata tymczasem, dźwigając swój niespokojny ciężar, dreptała uliczkami gwarneho mir steczka, aż wreszcie znalazła się na rynku, tam gdzie odbywał się jarmark. Tu

153

słychać było muzykę i nawoływania sprzedających, a także porykiwania cieląt i beczenie owiec. Żeby teraz Kosmala nie wiem jak ujął, i tak nikt by go nie usłyszał. Nie pozostawało mu więc nic innego, jak oczekiwać spokojnie, co będzie dalej.

„Byłem się tylko z tego kosza mógł wreszcie wyrwać” – pomyślał z westchnieniem.

Wreszcie Małgorzata upatrzyła sobie widać odpowiednie miejsce, bo przystanąła i zaczęła zapraszać przechodzące kobiety:

– Może panusia gaskę kupi? Piękna gaska!

– No, niech gosposia pokaże – powiedziała wreszcie jedna z nich, zatrzymując się przed Małgorzata. – Czy aby ładna i tłusta?

– Ach, paniusiu! Takiej gaski to panusia jeszcze w życiu nie widziała – zapewniła Małgorzata, otwierając wieko kosza.

– Pewnie, że nie widziała – szczeknął Kosmala, czyli jamnik Pimpus, ukazując się w całej okazałości.

– Rety! – jęknęła na ten widok Małgorzata. – A to co?!

– Żartujecie sobie ze mnie, gosposiu! Wstyd doprawdy – oburzyła się panusia. – Cóż to, psa od gęsi nie umiecie odróżnić?!

– Przecież wsadziłam tu gęś – jęczała Małgorzata – czary czy co? Przecież...
*

Ale Kosmala nie czekał już, co dalej powie, tylko jednym susem wyskoczył z koszyka. Zrozumiał, że teraz musi uciekać za wszelką cenę jak najdalej od zdumionej Małgorzaty, zanim jej zdumienie nie zamieni się w złość.

– I jeszcze mi da w skórę – doszedł do wniosku – jeśli w porę nie zniknę jej z oczu.

154

Gnał więc jak szalony przez rynek. Prześlizgiwał się między nogami przechodniów i wpadał pod wozy stojące na rynku. A ponieważ Małgorzata, ochłonawszy z pierwszego wrażenia, podniosła krzyk, że złodzieje zamienili jej gęś na psa, i wskazywała na uciekającego Kosmalę, więc wszyscy rzucili się teraz za nim w pogoń.

Był już porządnie zmęczony, kiedy udało mu się wreszcie ukryć za stosem kapusty. Myślał, że to już koniec tej zwariowanej pogoni, kiedy naraż jakiś chłopak zauważył go i zaczął krzyczeć:

— O, to pewnie ten pies! U nas w mieście takiego nie było! Takie ma długie uszy! I łapy krótkie! Łapcie go!

I rzucił w Kosmalę kamieniem.

155

– Ach ty – szczeknął Kosmala – ty wstrętny, podły chłopaku! Żeby rzucać kamieniami w takiego małego psa jak ja. Czego chcesz ode mnie, nic ci nie zrobiłem!

Ale chłopak schylił się po drugi kamień. Trzeba więc było zmykać.

– Wdrapię się szybko na tę całą górę kapusty i przeskoczę na drugą stronę! – postanowił Kosmala. – W ten

sposób zgubią ślad.

Wgramolił się więc, jak mógł najszybciej, ale ledwie znalazł się na wierzchołku góry, któraś z główek kapusty osunęła się, a za nią inne, i Kosmala zwałił się razem z nimi, niczym z lawiną, gdzieś w dół. Twarde główki białej i czerwonej kapusty obijały mu boki i przygniatały, a on, zwinięty w kłębek, toczył się i toczył, zupełnie straciwszy przytomność.

Naraz stało się coś nieoczekiwanego. Spodziewał się bowiem, że po prostu sturla się na kamienie, na twarde kamienie, i jeszcze trochę się potłucze, ale potem może wreszcie uda mu się umknąć w bezpieczne miejsce. A tymczasem stało się inaczej. W pewnej chwili usłyszał dziwny trzask i poczuł się trochę tak, jakby wpadł do wody, a w każdym razie do czegoś mokrego. Jego upadkowi zawtórował przeraźliwy okrzyk:

— Ach! ach! Wszystkie jajka rozbite!

Kosmala otworzył ostrożnie jedno oko. Drugiego nie mógł otworzyć, bo było zalepione jakąś gęstą cieczą. Nie ulegało wątpliwości — wpadł do kosza z jajami, które w dodatku wszystkie się rozbiły! Leżał teraz w samym środku tej jajecznicy, przestraszony i przygotowany na najgorsze.

— Ty podły psie! — krzyczała tymczasem jakaś ko-

, | t Coś ty zrobił! Wszystek towar zniszczony! Taka

bieta. — ^Ob LJ

strata!

, - t poWiedzieć

Kosmala,

_ Bardzo przepraszam _ chciał P _ ^

— Mamusiu! Z iCale

- zabrzmiał "raz Jakiś dziecinny głos

- Ni krzyCz na nie-

idzisz, ile szkody narób* - gniewana

widzisz

— Masz

— właściwie jakoś dziwnie

koś i drugie oko i ^l głos. Przekonał się wtedy, że

U, sympat^-cz,cymi włosami

t

głosu był mały, iasnymi, ster-

^ ni, Ł «^

^ J kaine piegi.

- -wał dal/chłopak -mamo, może on jest niczyj, to -«, u nas został,

co^ ^^ _ Masz ci los - Kosmala n»Dra chciały, żeby

Ił) 1

156

co rzucał we mnie kamieniami. Albo w ogóle inni chłopcy... to

znaczy... niektórzy... Rety! Ale ja przecież też rzucałem...

Zrobiło mu się głupio i smutno, bo przypomniał sobie żółtego psa

Balonikarza i wiele innych psów i kotów, w które rzucał

kamieniami, gonił, bił i ciągnął za ogon i uszy. No, co tu gadać,

jakoś to wszystko było chyba nie bardzo dobcze...

— Mamo — powtarzał tymczasem chłopak — mamo, ja za te jajka, co się

zbiły, to ci oddam, a on niech u nas już zostanie

— Co ty! mi oddasz! — mruczała kobieta. — Z czego ty mi oddasz?

— A zarobię i po trochu będę ci oddawał. Zobaczysz! „Fajny ty jesteś

chłopak — pomyślał Kosmala — tylko

że, bracie, ja i tak muszę stąd wiać, bo przecież chcę wrócić do

domu. A jak nawieję, to i tak twoje zarabianie na nic".

I zrobiło mu się żal chłopaka. W" dodatku jeszcze druga głupia

historia to z tymi zbitymi jajkami. Bądź co bądź ta matka chłopaka

też jest poszkodowana.

„A swoją drogą — pomyślał Kosmala — chyba pierwszy raz w życiu zdarza mi się, żebym kogoś żałował".

Kobiecina tymczasem mruczała: — No dobrze, dobrze, jak chcesz, to

niech ten pies u nas zostanie. I tak nic mi już szkody nie wróci.

— Mamo, ja go zabiorę do domu i umyję! — cieszył się chłopak.

- Pewnie, że. trzeba go umyć, bo utyłany w tych jajkach jak nieboskie stworzenie. Ale jak go weźmiesz? Przecież cały mokry! W rezultacie, po krótkiej naradzie, Kosmala został za-158 winiety w jakiś stary fartuch i ułożony w dużym koszyku, tym razem bez pokrywy.

„Mam szczęście do koszyków – pomyślał. – Ale swoją drogą, to jeszcze nigdy mi się nie zdarzyło, żebym miał pływać w jajecznicy”.

Chłopak tymczasem przemawiał do niego:

- No, widzisz, psino kochana, zaraz będziesz czysty i zrobię ci wygodne spanie.

W domu, który był mały, ale bardzo miły, przywitała chłopca jakaś staruszka.

- Co ty znowu przyniosłeś, Józiu?

- Pieska mam, babciu! Zobacz, jaki ładny!

- Oj, gdzie on ładny, przecież w ogóle nie wygląda na psa – zmartwiła się babcia.

Ale po wykapaniu okazało się, że żółty jamnik jest rzeczywiście bardzo ładnym pieskiem i zyskał nawet pochwałę babci.

- I tak mądrze patrzy – dodała.

„No, nareszcie ktoś się na mnie naprawdę poznał” – ucieszył się Jacek Kosmala i zaczął uprzejmie merdać ogonem.

- Ale, Józiu, teraz musisz pieska zostawić, niech sobie śpi – zadecydowała babcia – a ty siadaj do lekcji. Jakże jutro pójdziesz do szkoły z nie odrobionym zadaniem.

Tak więc Kosmala został umieszczony w kącie pokoju na wygodnym posłaniu, a Józiu zasiadł do odrabiania lekcji.

„Zdrzemnę się chyba trochę, bo już jestem zmęczony tymi przygodami” – pomyślał Jacek i zabrał się do spania. Nie wiedział zresztą, jak długo spał, kiedy obudziło go ciężkie wzdychanie. To wzdychał Józio. Siedział jeszcze pochylony nad zeszytem i nawet popłakiwał.

159

-! Co ci to, Józiu? – zdenerwowała się babcia, która akurat weszła do pokoju. – Czemu płaczesz?

- Bo nie mogę zrobić tego zadania! – rozbeczał się na dobre Józio. – Już chyba sto razy rozwiązuje i liczę, i liczę, i nie wychodzi mi. Na pewno dostanę jutro dwóję.

- Takie trudne zadanie wam zadali? – zmartwiła się babcia.

- Pewnie, że trudne. Okropnie trudne – biadał Józio. – To chyba jest zadanie na czwartą klasę, a nie na trzecią.

„Phi! to on jest w trzeciaku! Zadanie na pewno łatwe. Od razu na pewno bym je zrobił” – pomyślał Kosmala.

Nabrał ehęci do pomożenia Józiowi. Wygramolił się więc ze swego posłania i wskoczył na puste krzesło, obok stołu. Chciał przede wszystkim zobaczyć, co to za zadanie, że takie trudne.

- Piesek, piesek kochany – westchnął Józio – nie mogę się teraz z tobą bawić, bo muszę skończyć lekcje.

„Jak mu pomóc? – myślał Kosmala, polizując na pocieszenie Józia w czubek nosa. – Zadanie, jak widzę, nie jest trudne. Już nawet wiem, jak je rozwiązać. Ale jak ja mu to powiem, kiedy mogę tylko szczekać? Spróbuję. Może w ten sposób też da się coś zrobić”. Józio tymczasem liczył głośno:

- Dwadzieścia podzielone przez pięć, to będzie sześć.

- No, tu właśnie robisz błąd! – szczekał Kosmala. – Robisz błąd w dzieleniu i dlatego ci nie wychodzi. O rety! Jak mu to powiedzieć, że to źle?!

Chwycił więc zębami Józia za rękaw i zaczął szarpać.

- Co ty chcesz, piesku? – zdziwił się Józio, – Poczekaj, muszę najpierw skończyć lekcje. A więc dwadzieścia podzielone przez pięć...

160

- Hau! hau! – ujadał teraz Kosmala. – Uważaj, jak liczysz! Rety, co tu zrobić, żeby on mnie zrozumiał?

Rozejrzał się po pokoju i naraz zobaczył leżące na stoliku kasztany. Ucieszył się. O, to jest coś, co może być pomocą. Szczeknął, chwycił jeden kasztan i położył na zeszytach Józia, potem drugi, trzeci i

czwarty.

– Po co te kasztany? – dziwił się Józio. – Czy mam ci je rzucać, a ty będziesz przynosił?

– Aleś ty gapa! – szczeknął Kosmala. Znow wskoczył na krzesło i teraz łapą przesuwał jeden kasztan za drugim.

– Cztery kasztany – policzył Józio – cztery kasztany... zaraz... – Naraz krzyknął: – To niemożliwe! prze-

11 –Ucho, dynia...

161

cięż dwadzieścia podzielone przez pięć, to będzie cztery, a nie sześć! Jejku! czy to może być? Czy to może być, żebyś ty, piesiu, umiał liczyć?

Kosmala zamerdał szybko i radośnie ogonem, przy czym szczeknął cztery razy.

– Zaraz, zaraz, bo mi się nie chce w to uwierzyć. Czekał – a dziesięć podzielone przez pięć, to będzie ile?

– Hau, hau – szczeknął Kosmala.

– Szczeknął dwa razy! – krzyknął Józio. – Ale może to jest tylko przypadek! Zaraz, weźmy inne cyfry. A dwa plus trzy – to będzie ile?

– Hau, hau, hau, hau, hau – szczeknął triumfalnie Kosmala.

– Pięć, pięć! Szczeknąłeś pięć razy! Czy to jest możliwe, czy może mnie się śni, że ty jesteś taki mądry i taki uczony pies?

Józio" podskakiwał teraz ze zdumienia, i radości. Ciągłe jeszcze nie mógł uwierzyć w tę dziwną historię.

– A dziesięć odjąć siedem, to będzie ile?,- zapytał tak na wszelki wypadek jeszcze raz.

– Hau, hau, hau – odpowiedział Kosmala.

Józio teraz zupełnie oszalał. – Babciu, babciu! To jest nadzwyczajny, uczony albo może i nawet zaczarowany pies. On umie liczyć i pomógł mi rozwiązać zadanie!

– Ee, czy aby, mój Józio, tobie się to nie zdaje? – wyraziła swoje powątpiewanie babcia.

– No, to niech babcia każe mu odpowiedzieć. Sama babcia się przekona! On rozwiązuje wszystkie zadania.

– No, to dobrze, zaraz go zapytam – powiedziała babcia. Pomyślała chwilę:

– No, to tak niech policzy. Jeśli wczoraj nasze kury zniosły siedem jaj, a dzisiaj pięć, to ile to będzie razem?

162

– Policz, piesku – poprosił Józio.

– Nic łatwiejszego, bracie – szczeknął dziarsko Kosmala. A potem przysiadł na tylnych łapach i zaszczekał dwanaście razy.

Babcia i Józio liczyli skrupulatnie. Kiedy okazało się, że liczba się zgadza, Józio zupełnie oszalał z radości.

– Uczony pies, uczony pies! – wołał i skakał naokoło Kosmali na jednej nodze.

20. ILE TO BĘDZIE 3 + 4?

Wieść o uczonym psie rozeszła się po całym miasteczku niesłychanie szybko. Pod domkiem, w którym mieszkał Józio, zaczął się gromadzić, tłum ciekawych. Wszyscy chcieli obejrzeć niezwykłego jamnika, domagali się, aby rozwiązywał zadania, odpowiadał z tabliczki mnożenia, a nawet żeby zgadywał, kto ile ma lat.

Józio na razie był ogromnie dumny z posiadania tak nadzwyczajnego okazu psiego rodu, ale kiedy tłum zaczął oblegać ich mały domek, zbuntował się i powiedział, że za nic na świecie nie pozwoli męczyć swojego pieska.

– Dajcie mu spokój! – wołał. – Przecież nawet pies nie może liczyć przez cały dzień!

I zamknął drzwi na klucz, a potem pocałował Kosmalę w ucho.

– Piesku kochany, jesteś najukochańszy *ze wszystkich psów!

Nazajutrz, wczesnym rankiem, kiedy jeszcze mama Józia krzątała się w kurniku, karmiąc białe kokoszki, ktoś zapukał do drzwi.

Kosmala podbiegł do drzwi i pociągnął nosem. Najwyraźniej poczuł swym psim węchem, że za drzwiami stoi ktoś obcy. Zaczął więc gwałtownie

ujadać.

– Kto tam? – spytała mama Józia.

164

– Proszę otworzyć! – odezwał się męski głos. – Proszę otworzyć. Przychodzę w sprawie psa.

– Rety, a to co- znowu? – zdenerwował się Kosmala i dla wszelkiej pewności zaczął ujadać jeszcze zajadlej.

– Weź psa, Józiu –* powiedziała mama i otworzyła drzwi.

Stał w nich bardzo elegancko ubrany pan. Ukłonił się nisko i z szacunkiem. Ale przede wszystkim patrzył na jamnika.

– Proszę wybaczyć, że nachodzę dom pani dobrodziejki – powiedział grzecznie – ale słyszałem o niezwykłym piesku, który jest własnością szanownej pani. Podobno umie rachować i rozwiązuje nawet zadania szkolne.

– Eee, tak to sobie mój synek, proszę pana, wyobraził – ale chyba tylko mu się zdaje. Gdzie by tam pies takie rzeczy potrafił! – rzekła mama. Widać było, że wcale nie ma ochoty na rozmowę z gościem.

– Jestem dyrektorem cyrku, który udaje, się na występy do stolicy – powiedział wtedy nieznajomy pan. – Gotów byłbym odkupić pieska od szanownej pani za wysoką cenę. Występowałby w naszym cyrku, jeśli oczywiście naprawdę jest tak niezwykły.

Kosmala słuchał teraz uważnie. Hm! Występy w cyrku! W stolicy! Mógłby w ten sposób wrócić do domu! Spojrzał na Józia. Ale Józio przycisnął go mocniej do siebie i powiedział stanowczo:

-- To nie jest pies do sprzedania, proszę pana.

– Gotów jestem zapłacić bardzo dużo pieniędzy – powiedział pan z cyrku.

– Jeśli mój synek na to się nie zgadza, to nie ma mowy o sprzedaży – powiedziała mama. -- A poza tym to właściwie nie jest nasz pies.

165

– Ach, więc to nie jest pies pani! – ucieszył się pan z cyrku. – Może więc znajdzie się prawdziwy właściciel, który niewątpliwie zgodzi się na jego sprzedaż. W jaki sposób pies znalazł się u pani?

– On był w jajkach, proszę pana, to znaczy w koszu z jajami – powiedział Józio.

– Był w koszu z jajami? Czy to ma znaczyć, że jest to pies, który wykluł się z jajka?! Tym bardziej należy pokazywać go w cyrku jako psa niezwykłego! Płacę każdą cenę! Pies, który wylęga się z jajka! Nadzwyczajne. Oto pieniądze!

To mówiąc, wy dobył z kieszeni masę pieniędzy, które rzucił na stół. Kosmala aż podskoczył na ten widok. Po pierwsze, był bardzo dumny, że cenią go tak wysoko, a po drugie, uważał, że w ten sposób mamie Józia zwróci się strata, jaką poniosła wskutek rozbitych jaj.

– Bierzcie pieniądze! – powiedział wobec tego do Józia. – Bierzcie pieniądze! Ja jestem niczyj pies! Nikt nie będzie poszkodowany. A ja wystąpię w cyrku i odrobię to, co ten pan za mnie płaci. Ten pan zarobi na sprzedawaniu biletów za moje występy. Na pewno zarobi! Ba, dobrze to mówić w ludzkim języku. Ale w psim nic, a nic nie wychodziło z tej przemowy. Żółty jamnik szczekał co prawda zajadle i skowyczał, i warczał, ale Józio nic, a nic nie mógł z tego zrozumieć.

– Dlaczego ten pies tak szczeka! – denerwowała się mama Józia. – Zupełnie jakby rozumiał, że to o nim mowa.

– Kto wie, czy szanowna pani nie ma racji – podchwycił dyrektor cyrku – może to fenomenalne stworzenie rozumie naszą rozmowę i w ten sposób reaguje na moją propozycję.

– Ależ to chyba niemożliwe.

166

– A jednak pies patrzy na nas tak, jakby wszystko rozumiał.

– Piesku, kochany piesku, chciałbyś odejść ode mnie? – zmartwił się Józio.

Pochwycił jamnika na ręce i pocałował go w łeppek.

– Fajny ty jesteś chłopak – zaskomlił Kosmala i liznął Józia po zadartym i piegowatym nosie. – Szkoda mi się z tobą rozstawać. Jesteś taki fajny, że bym cię nawet wziął do mojej Bandy. Mógłbyś zostać moim

adiutantem. Bo ty nie wiesz, bracie, że ja jestem wodzem Bandy Silniaków.

Ale ponieważ Józio nic, a nic nie wiedział o tym, jaką to znakomitość gości u siebie, więc rozczulił się tylko jeszcze więcej.

– Psinuchna moja jedyna! On nie chce się ze mną rozstawać! Sami widzicie!

– Wprost przeciwnie – szczerzył teraz energicznie Kosmala. – Muszę się z tobą rozstać! W twoim własnym interesie!

– Daję za tego psa całe trzy tysiące! – oświadczył tymczasem dyrektor cyrku.

– Rety! Trzy tysiące! Całe trzy tysiące! – zdumiał się Kosmala. – No proszę! Ile to ja jestem wart! Ale tylko widać wtedy, kiedy jestem w psiej skórze. Bo przedtem to tatko zawsze mówił, że nie dałby za mnie wziętego grosza. Ty, Józek – szczerzył teraz głośno i energicznie – nie namyślaj się i bierz tę forszę! No, co się namyślasz?

Józio patrzył na pieniądze, leżące na stole, i potrząsał przecząco głową.

– Nie, nie, za nic na świecie.

– A to gapa nieuleczalna! – Kosmala miał już dość tego wszystkiego. Wyrwał się z objęć Józia i wskoczył na krzeselko, stojące przy stole. Chwytał w zęby pieniądze

167

i położył je na kolanach mamy Józia. Liczył, że mama, jako dorosła osoba, zrozumie, że należy wziąć te pieniądze.

– Patrzcie, on chce, żeby pani wzięła zapłatę! – krzyknął zachwycony dyrektor. – Co to za pies niezwykły! Jaki mądry!

Ale mimo tych okrzyków mama Józia wahała się jeszcze.

– Kiedy, proszę pana, ja nie mogę wziąć pieniędzy za psa, który się do nas przybłąkał!

– Jak to się przybłąkał, kiedy spadł nie wiadomo skąd do kosza z jajami, robiąc pani szkodę i rozbijając sto trzydzieści siedem świeżych jajek!

– On to zrobił niechcący! – krzyknął Józio w szlachetnym uniesieniu.

– To nie jest mój pies, powtarzam panu! – wołała mama, a Kosmala uwijał się wśród nich i machając ogonem ujadł jak najęty:

]

– Ojej, czego się tak kramarzycie! Bierzcie pieniądze i już niech będzie koniec z tym wszystkim. I tak muszę od was wiać! A dyrektorowi odpracuję uczciwie w cyrku te całe trzy tysiące. Nic więc tu nieuczciwego nie będzie. I na pewno nie mam żadnego właściciela.

– Widzi pani – powiedział dyrektor – on też chce być sprzedany. Zresztą coś pani powiem – niech pani weźmie te pieniądze. Da pani ogłoszenie, że przybłąkał się do pani taki żółty jamnik i żeby właściciel zgłosił się do pani. Chociaż – dodał z powątpiewaniem – ja wcale nie jestem pewien, czy ten pies ma właściciela. Jeśli on spadł w koszyk z jajami nie wiadomo skąd, to może spadł z nieba!

– Jak to: z nieba? – zdziwiła się niepomnie mama Józia. – Czy to jest możliwe?

168

Dyrektor cyrku był człowiekiem bywałym w świecie i znającym dobre maniery, więc odpowiedział niezmiernie uprzejmie:

– Jako człowiek o dużym doświadczeniu życiowym i artystycznym, nie spotkałem się dotychczas nigdy z podobnym wypadkiem, ale nie cofam mojego podejrzenia, że stworzonko to (w tym miejscu Kosmala warknął: tylko nie stworzonko, tylko nie żadne stworzonko, proszę pana)... otóż, że stworzonko to – ciągnął dalej dyrektor – istotnie spadło z nieba. Nikt bowiem nie może wiedzieć, czy nie spadło ono z jakiejś innej planety. Na przykład z Marsa lub z Wenus? Nawet przypuszczałbym, że raczej z Wenus.

– Ale czyż to możliwe? – dziwiła się dalej mama Józia.

– Niewykluczone, niewykluczone, łaskawa pani. I w tym wypadku może pani z zupełnie czystym sumieniem przyjąć ofiarowywane przeze mnie pieniądze.

No, chodź, piesku! Idziemy! – gwizdnął na Kosmalę, tak jak się gwizdże na wszystkie psy na świecie.
„Zobaczymy, jak będziesz, bracie, gwizdał, jak ci nawieję – pomyślał Kosmala – tyle tylko, że muszę z tobą pójść, żeby odrobić tę forszę, którą dałeś matce Józia. Muszę to zrobić, żeby mu się jakoś odwdzińczyć za to, że był dla mnie taki fajny. No, serwus, Józek!”
Wskoczył na kolana Józiewi i polizał go w policzek, po którym płynęły słone łzy.

– Psinuchna! – jęknął Józek.

– Oj, przydadzą się te pieniądze, przydadzą – cieszyła się tymczasem babcia. – Domek trzeba remontować! I Józekowi potrzebne palto na zimę.

– No, to tym bardziej dobrze się stało – ucieszył się

169

Kosmaia. Zaszczekał na pożegnanie i pozwolił wziąć się dyrektorowi na rękę.

– Moje uszanowanie – powiedział dyrektor i ukłonił się grzecznie. – Moje uszanowanie!

I już miał wyjść, unosząc Kosmalę pod pachą, kiedy naraz zatrzymał się w otwartych drzwiach.

– Przepraszam – szepnął _ przepraszam. Tylko chciałem jeszcze powiedzieć, że właśnie przyszedł mi do głowy doskonały pomysł.

Przyprawimy pieskowi skrzydełka. I powiemy, że jest to wenusjanski, skrzydlaty pies!

21. PRAWDZIWY

WENUSJANSKI PIES!

Cyrk był przepełniony. Wszyscy patrzyli na okrągłą arenę, gdzie na wysokim stołku, na czerwonej aksamitnej poduszce siedział mały, żółty jamnik z niebieskimi skrzydełkami.

– Ile jest dwa i dwa? – pytał dyrektor cyrku, ubrany na występ we wspaniałym czerwonym fraku ze złotymi naszy-ciami.

Kosmaia, zły jak sto diabłów, zaszczekał donośnie cztery razy:

-- Hau, hau, hau, hau!

Dyrektor odwrócił się do publiczności:

– Jak szanowna publiczność miała możliwość sama się przekonać, wenusjanski pies imieniem Amor odpowiedział poprawnie na zadane mu pytanie. A teraz – uwaga: ile to będzie siedem mniej pięć?!

-- Hau! hau! – szczeknął dwukrotnie Kosmaia, myśląc jednocześnie:

„Robię z siebie idiotę, ale trudno, muszę wyjść honorowo z tej historii. Już choćby ze względu na Józia. Jestem przekonany, że odpracowałem te trzy tysiące najsumienniejszy w świecie. Za tyle biletów, ile dziś sprzedali, to zebrali chyba kupę pieniędzy. Aby tylko nareszcie skończyło się to głupie przedstawienie, bo wiem, że wyglądam jak idiota z tymi niebieskimi skrzydełkami. Pies wenusjanski! Śmiech pomyśleć. I w dodatku nikt nie

171

chciałby w to uwierzyć! Aj, nie wytrzymam, muszę się koniecznie podrapać. Te przyprawione skrzydła łachocą mnie okropnie. Nie, nie mogę dłużej wytrzymać”.

I wenusjański pies, siedzący na czerwonej aksamitnej poduszce, zaczął najzwyczajniej w świecie drapać się tylną nogą w szyję.

W całym cyrku rozległ się śmiech.

– Proszę państwa! – zawołał wobec tego dyrektor. – To, co państwo tu widzicie, jest najlepszym dowodem, że psy pochodzące z planety Wenus zachowują się zupełnie podobnie do psów pochodzenia ziemskiego. Proszę jednak o zachowanie spokoju, gdyż tak głośny śmiech może zdenerwować to niezwykle zwierzę. A teraz – dodał, kiedy ustał śmiech – proponuję, aby ktoś z państwa zechciał zadać psu wenusjańskiemu pytanie matematyczne.

Rozległ się szmer, ale jakoś nikt się nie zgłaszał. Dyrektor rozglądał się pilnie wokoło.

– Proszę śmiało! Pies wenusjański odpowiada na pytania z zakresu czterech działań, a także umie na pamięć tabliczkę mnożenia. Każdy może się przekonać. Prawda, Amor?

Z tym ostatnim pytaniem zwrócił się do Kosmali, oczekując od niego

przytakującego szczeknięcia.

– Hau! – szczeknął wobec tego posłusznie Kosmala. – Niech cię kaczki zdziobią i daj mi wreszcie spokój! Skończmy z tym całym przedstawieniem.

– No – zwrócił się jeszcze raz do publiczności dyrektor – proszę śmiało. A może panienka z łoży, tej na lewo, zechce tu przyjść i zadać pytanie pieskowi?

Zostawił Kosmalę samego na jego czerwonej poduszce i podszedł do jednej z parterowych łóż.

172

– No, może panienka zapyta pieska? – zwrócił się do jakiejś dziewczynki. – No, proszę śmiało wyjść na arenę! Piesek, chociaż jest wenusjański, nie gryzie! Jest bardzo łagodny.

Dziewczynka najwidoczniej ociągała się i nie miała ochoty brać udziału w przedstawieniu, dyrektor namawiał ją dalej:.

– Śmiało, panienczko, śmiało! Mamusia pozwala, proszę więc podejść do pieska i zadać mu jakieś pytanie. Może, jeśli lekcje są na jutro nie odrobione, to piesek pomoże rozwiązać zadanie?

To ostatnie zdanie tak się wszystkim podobało, że cała publiczność zaczęła bić brawo.

– Kiedy ja już mam wszystkie lekcje na jutro odrobione – odpowiedziała dziewczynka. Była najwidoczniej trochę obrażona podejrzeniem, że nie odrobiła lekcji.

Wreszcie w całą sprawę wtraciła się mama dziewczynki.

– No, idź, Juleczko – powiedziała – kiedy pan cię tak prosi.

Dziewczynka wstała dość niechętnie i prowadzona przez dyrektora weszła na arenę.

– Proszę tylko spojrzeć, czy to nie jest wyjątkowo miły piesek – zachwalał dyrektor.

Dziewczynka zbliżała się teraz powoli do wysokiego stołka z czerwoną aksamitną poduszką, na której siedział skrzydlaty jamnik.

„Teraz znów ta dziewczyna zacznie mnie zanudzać --pomyślał z niechęcią Kosmala. Nie patrzył nawet w jej stronę. – A jeśli będzie mnie bardzo męczyła pytaniami, to naumyślnie odpowiem źle, i już!”

Naraz znieruchomiał. Nie wierzył oczom. Czy to było 174

możliwe? Nie, to chyba nieprawdopodobne. To chyba tylko takie łudzące podobieństwo. A jednak...

Nie, nie mylił się.

Po czerwonym, aksamitnym dywanie, którym pokryta była arena cyrkowa, szła powoli Julka. Tak, ależ tak, ta sama Julka, która siedziała w środkowym rzędzie i jak podejrzewano, należała do Bandy Bohaterów, i nawet była podobno adiutantem Piotrka. Patrzyła teraz na Kosmalę szeroko rozwartymi oczami i Kosmali wydało się, że go poznaje.

Poznaje, że to on sam, Kosmala, wódz Silnia-ków, siedzi teraz jako mały, żółty jamnik, z przyczepionymi niebieskimi skrzydełkami, i że wygląda po prostu jak idiooo!

TCosmala poczuł, że się okropnie czerwieni pod sierścią, która pokrywała mu jego psią mordkę, że robi mu się gorąco i że chciałby schować się pod ziemię.

Zaskowyczał żałośnie z rozpaczy i jednym wspaniałym susem zeskokczył ze swego wysokiego stołka.

Julka patrzyła na to trochę przestraszona. Ani nawet przez krótką, króciutką chwilę nie przyszło jej do głowy, że ten mały, uciekający piesek z niebieskimi skrzydełkami to ten ważniak Kosmala, zaginiony tajemniczo Kosmala, którego tak szukali. Po prostu pomyślała, że ta mała psina uciekła z areny wystraszona oklaskami i światłem, a także obecnością tylu ludzi. Żal jej było teraz, że nie pogłaskała go po łebku, nie zagadała tak, jak się mówi do wszystkich miłych psów.

Stała więc tylko pośrodku areny, nie wiedząc, co począć, zwłaszcza że publiczność, widząc ucieczkę we-nusjańskiego psa, zaczęła okropnie hałasować. Jedni wołali: Brawo! a inni domagali się natychmiastowego powrotu psa na arenę.

Kosmala oczywiście nie oglądał się za siebie, tylko sły-

175

szał hałas i okrzyki i chciał oddalić się od nich jak najszybciej, jak również jak najszybciej chciał zniknąć z pola widzenia Julki. Nie przyszło mu to do głowy, że przecież na pewno nie mogła go poznać. Gnał więc przed siebie. Minał w szalonym pędzie czerwony chodnik, po którym artyści wychodzili z areny, a potem wpadł w jakieś zakamarki i korytarze. Nie patrzył już na nic, tylko biegł w poszukiwaniu albo bezpiecznego schronienia, albo też jakiegoś wyjścia z cyrku. W dodatku zdawało mu się, że goni go dyrektor. Tak więc, minawszy ciemne i kręte przejścia, natrafił na jakieś metalowe pręty. „Ach, to jest ogrodzenie cyrku! – pomyślał ucieszony. I zaraz zrobiło mu się jakoś raźniej. – Wreszcie wydo-będę się stąd!” Co prawda przejście między prętami nie było zbyt łatwe, ale przecież jamnik nie jest znów takim dużym psem, żeby nie mógł się przez nie przecisnąć. Po chwili był już więc po drugiej stronie ogrodzenia. Wtedy poczuł, że jego krótkie łapy grzęzną w czymś podobnym do piasku, tylko bardziej miękkim. „Ach, to przecież są trociny – domyślił się zaraz. – Widać się rozsypały, kiedy je nieśli do wysypania areny”. Zapadał się w te trociny aż po brzuch i wcale nie było mu łatwo wygramolić się z nich. Więc też porządnie się zasapał, zanim stanął na twardszym gruncie. Przystanął wtedy na chwilę, aby zorientować się chociaż trochę w sytuacji. Gdyż dotychczas biegł właściwie na oślep. „Powinienem być już chyba na jakiejś ulicy poza cyrkiem albo co...” – pomyślał. Ale to, co go otaczało, wcale nie wyglądało na ulicę. Było to tylko wąskie przejście, za którym znów były metalowe pręty. – Zwariować można! – zdenerwował się teraz na do-

176

bre Kosmala. – Czy ja stąd nigdy nie wyleżę? Nie ma co! Trzeba pchać się dalej przez te ogrodzenia. W końcu chyba jakoś się stąd wydostanę. Najważniejsze jest to, że nikt mnie nie goni, widać zgubili mój ślad.

Usiłował przesunąć się między prętami sapiąc przy tym ze zmęczenia, z wywieszonym jęzorem, gdyż to wcale nie było łatwe. W pewnej chwili z rozpędu przekoziołkował porządny kawałek, dopóki nie zatrzymał się na czymś, co w dotknięciu trochę przypominało dywan z długim włosom.

— Uf! – odsapnął. – Nareszcie odpocznę.

Ale w tejże samej chwili poczuł, że kosmaty dywanik poruszył się gwałtownie, podrzucając go do góry. Jednocześnie rozległo się coś, co przypominało odgłos grzmotu.

— Burza albo trzęsienie ziemi! – wystraszył się Jacek. . I rozejrzał się szybko wokoło.

Ale to nie była burza ani trzęsienie ziemi.

To był po prostu lew.

12

22. GAPA NIE GAPA, ALE MĄDRY PIES

Tak więc, jak wiadomo, Jacek Kosma-la, zamieniony w żółtego jamnika Pimpusia, w żaden sposób nie mógł wrócić do domu ani do szkoły. Mama, ojciec, ciotka i Bożenka, a także dwie inne ciotki, o których wspomniano na początku – Lucyna i Ernestynka – wszyscy martwili się coraz bardziej, a w szkole „Szperacze” pod dowództwem Piotrka i z udziałem Gapy nie ustawali w poszukiwaniach. Co prawda na przykład Waldek nie wierzył już zupełnie w zdolności Gapy, ale Julka jeszcze trochę wierzyła. I Piotrek, i Maciupa też wierzyli odrobinę. Ale mniej niż Julka. W każdym razie codziennie, zaraz po obiedzie, przychodzili na zbiórkę przed szkołą, a Julka wytrwale przyprowadzała Gapę. Ale co można było zrobić, kiedy poszukiwania milicji i ogłoszenia przez radio nie dały rezultatu, a Gapa nie zdradzała ochoty do dalszych poszukiwań. Pomachała ogonem, pokręciła się, a potem siadała i nie chciała się ruszyć.

Był to już piąty dzień nieobecności Kosmali, kiedy spotkali się na placu jak zwykle, tylko że widać było od razu, że są bardzo smutni.

— Już nie ma się po co zbierać – zagaił Waldek. – Już po Kosmali.

— Jak to: po Kosmali? – jęknęła Julka. – Masz jakieś niedobre wiadomości?

– Właśnie, że brak wiadomości – mruknął zasępiiony Piotrek.
 – A jak nie ma, to to jest najgorsze – podchwycił Waldek. – No czy nie mówię?!

Julka spojrzała teraz z kolei na Maciupę. Trzymał ręce w kieszeni i unikał jej wzroku.

– Ojej! – westchnęła więc Julia.

Stali ze smutnie zwieszonymi głowami, kiedy naraz Gapa niespokojnie się poruszyła i znów zaczęła coś wietrzyć swym czujnym nosem. A po chwili takiego wietrzenia poderwała się gwałtownie i rzuciła się w boczną uliczkę. Pędziła z całych sił, tak że Piotrek musiał wziąć smycz od Julki, ponieważ szybciej od niej biegał. / – Może ona znalazła ślad, może teraz naprawdę znalazła – wołała Julka chwytając ustami powietrze, bo już porządnie się zmęczyła.

– E, gdzie tam znalazła! – Waldek wzruszył ramionami. – Przez trzy dni nie mogła znaleźć -- a teraz znalazła.

Ale Julka nawet nie mogła nic mu odpowiedzieć, gdyż Gapa rwała naprzód jak szalona. Szczekała przy tym wesoło i machała ogonem. A Julka ledwie za nią nadażała. Piotrek tylko, biegnąc za nimi i łapiąc z trudem dech, wołał:

I

– Ojej! Ojej! Może znajdzie!

– Oho! – zdołał wysapać również zdyszany Waldek. Mała uliczka, która biegli, skończyła się szybko. Potem był bulwar nad rzeką, potem most, a za mostem przebiegli chyba przez dziesięć krętych, wąskich lub krótkich ulic, aż wpadli na niewielki plac, na którym z daleka widać było ogromny namiot, nad którym rysował się na niebie wielki napis: Cyrk!

179

Gromadka Szperaczy zdumiała się: – Cyrk? – pytali, spoglądając na siebie. Bo tu właśnie, przed cyrkiem, zatrzymała się Gapa. Bardzo zmęczona i zadowolona z siebie. Machała wesoło ogonem i dyszała ze zmęczenia, wywiesiwszy wilgotny, czerwony język.

Czyżby tu miał być Kosmala? A może zaangażował się do cyrku? Po nim wszystkiego można było się spodziewać. Był przecież silny i wygimnastykowany. Zastanawiali się, co począć dalej.

– Przeczytamy, czy nie ma jego nazwiska na afiszu – zaproponowała Julka.

– Co ty! – obruszył się na tę propozycję Waldek. – On by przecież nie występował pod własnym nazwiskiem, tylko miałby pseudo. Oczywiście, Waldek miał rację. Tylko jakie to mogłoby być pseudo? Zbliżyli się do wielkiego afisza i zaczęli go głośno odczytywać. Ale żadne z nazwisk nie brzmiało tak, aby można było o nie posadzić Kosmalę.

Próbowali nawet zgadywać, ale nic z tego nie wychodziło. Nie mógł przecież to być Jubo – słoń tresowany, ani Trocaderos – akrobacja na trapezie, ani Elvira – woltyż na nieosiódła-nym rumaku. Trudno też było posadzić, że Kosmala występuje jako Pampinello – genialny żongler, czy Amira --wschodnia tancerka. Lekkie podejrzenia budził w Maciupie Don Passo – nieustraszony pogromca lwów – ale Julka i Piotrek wyśmiali go. – Już taki odważny to znów ten Kosmala nie jest – powiedzieli. Nie budził też żadnych podejrzeń numer specjalny i sensacyjny, zaznaczony w programie szczególnie wielkimi literami: Pies wenusjański, 180

który odpowiada na pytania i umie rachować. Wzruszyli nawet lekko ramionami – gdyż wydało się im to już trochę przesadną reklamą. Ale tak w ogóle to zgodzili się, że program jest ciekawy i że warto będzie pójść. Zwłaszcza że na kasie wisiała tabliczka z napisem: Wszystkie bilety wyspr.zedane.

Naraz Gapa szarpnęła się na smyczy i pociągnęła Julkę w tę stronę, gdzie wisiał wielki, kolorowy plakat. A ria plakacie widniał namalowany żółty piesek z niebieskimi skrzydłami. Wyglądał bardzo śmiesznie.

– Już wiem! Nic innego, tylko Gapa chce zobaczyć tego wenusjańskiego

psa! – krzyknął naraz Waldek.

– To zupełnie możliwe – poparła go z zapalem Jul-i. – Ona przecież jest ogromnie mądra.

– Hau, hau – ujadła tymczasem Gapa – to przecież jest Kosmala! Ale nikt jej nie rozumiał.

– Ładnie mi mądra! – Maciupa wzruszył ramionami. – Ładnie mi mądra, kiedy zamiast szukać Kosmali, wybiera się do cyrku. Powiedziałbym nawet, że jest po prostu nieobowiązkowa.

– O, proszę cię bardzo, tylko nie obgaduj Gapy! Co to za opowiadanie! – zdenerwowała się Jula. – Nieobowiązkowa! Też wymyśliłeś! Ona jest po prostu bardzo mądra. Powiedzcie tylko, czy kiedy widzieliście psa, który chciałby pójść do cyrku? Teraz wszyscy musieli przyznać, że rzeczywiście nie widzieli nigdy w życiu. Co prawda Waldek coś tam szemrał, że najpierw trzeba by zapytać innych psów, ale go zakrzy-czeli:

– Gapa jest niezwykła i już!

– No więc! – Julka spojrzała na Gapę z czułością .

181

i pogłaskała ją po kosmatej łepetynie. – Dobra psinka, mądra psinka!

– Hau! Hau! – szczerzyła Gapa. I znów zaczęła ciągnąć Julkę w stronę zamkniętej bramy cyrku.

– Ależ, psiuńciu! Widzisz przecież, że napisane jest na kasie, że wszystkie bilety wysprzedane. Nie możemy wejść.

– Może innego dnia – dodał Piotrek. – Powiedz jej, Jula, że może innego dnia!

Naraz zegar na wieży ratuszowej wybił wpół do czwartej.

– Rety! – wrzasnął słysząc to Maciupa. – Czas na mnie!

– Na nas też! – krzyknęli pozostali członkowie Bandy Szperaczy.

I ciągnąc za sobą Gapę, szybko pobiegli w stronę domu.

23. JESZCZE TYLKO PARĘ SŁÓW O JULCE

Kiedy stali przed cyrkiem, jak wiadomo, wybiła już godzina wpół do czwartej. Zanim więc zdążyli przybiec z powrotem do domu, byli już porządnie spóźnieni. A najbardziej spóźniła się Julka, ponieważ mieszkała najdalej ze wszystkich.

Dlatego też wpadła do mieszkania porządnie zadyszana. Całe tylko szczęście, że jeszcze poprzedniego dnia odrobiła część lekcji.

Doprawdy, całe szczęście, bo inaczej nie poszłaby do cyrku. Tak, tak, tak się czasem dziwnie składa! Tego samego dnia, kiedy razem z Gapą oglądali afisze – Julka była wieczorem na przedstawieniu. A to wszystko dlatego, że tatuś Julki zdołał wcześniej zamówić bilety. Oczywiście, Jula wcale nie wierzyła w to, że mały, żółty piesek na krzywych łapkach pochodzi z innej planety. I zła była również trochę o to, że została wywołana ze swego miejsca i że wszyscy patrzyli na nią. Zdawało jej się, że się z niej śmieją. A już najwięcej było jej przykro, że mały, żółty piesek uciekł, prawdopodobnie wystraszony hałasem i okrzykami.

Mały, żółty piesek. Z niebieskimi skrzydełkami.

Myślała potem o tym piesku przez cały wieczór i zanim zasnęła.

Mały, żółty piesek!

A przecież Gapa zaprowadziła ich też do cyrku, gdzie

183

był ten pies, i do mieszkania starszej pani, która mówiła

o żółtym jamniku, i do hotelu, gdzie portier teżdm opowiadał o niezwykłym psie. Ale czy to możliwe, aby ten mały psiak mógł mieć coś wspólnego z zaginionym Jackiem Ko-smalą?

Bardzo ją dręczyły te wszystkie myśli, ale ponieważ nie potrafiła jakoś dać sobie z nimi rady, więc w końcu zasnęła.

Nazajutrz rano, kiedy się obudziła, powróciła jednak znów do tej sprawy. Oczywiście, że to było bardzo wątpliwe, czy istniał jakiś związek między psem a Kosmalą. Ale ponieważ nie przestawała o tym myśleć, jeszcze przed lekcjami powiedziała o tym Piotrkowi i Maciupie.

Słuchali' z powątpiewaniem. Maciupa nawet zaczął-'ją wyśmiewać.

– Idź ty, Julka, coś ty! Dajże spokój! Ale, swoją drogą, sam bym

chciał zobaczyć tego psa. Powiadasz, że on umie liczyć? Śmieszna rzecz. Słuchajcie, wiecie co? Pójdziemy dziś po lekcjach do tego cyrku i zobaczymy.

– Pójdziemy do cyrku – podtrzymali go Wojtek i Waldek.

– Ale co tam zobaczymy? – zdenerwował się Piotrek.

– No, tego psa i w ogóle! – wyjaśnił Maciupa. – A jakby nie było biletów na przedstawienie, to także pójdziemy, bo przed przedstawieniem można oglądać zwierzęta w klatkach. Też za biletami, ale to są bardzo tanie bilety. Pójdziemy?

– No dobra – zgodził się Piotrek – pójdziemy. Ja sam chciałbym zobaczyć tego psa.

– Ale przecież jeśli pójdziemy zobaczyć tylko zwierzęta w klatkach, to psa nie zobaczycie. – Julka wzruszyła ramionami – Przecież psa w klatce się nie trzyma.

184

– Ee, jak zły pies, to się trzyma w klatce – wtrącił Waldek. – No, to idziemy. Zaraz po lekcjach!

Ale był jeszcze ktoś, kto również wybierał się do cyrku. I to nie czekając na koniec lekcji. I właśnie wtedy, kiedy Piotrek, Maciupa, Waldek i inni z piątej C siedzieli w klasie i słuchali, jak Julka odpowiada przy tablicy, wtedy właśnie, o tej samej godzinie, przed cyrkiem, w pobliżu afisza o wenusjańskim piesku, można było zobaczyć dużego, burego w białe łaty i bardzo kosmatego psa.

Tak, tak. To była Gapa. We własnej osobie.

24. A CO POWIE-DZIAŁ LEW?

A więc to, co usłyszał Jacek Kosmala, było, jak się okazało, ryknięciem lwa.

– Rety – zaskomlił wobec tego – zginałem, przepadłem!

I zamknął oczy, bo nie wątpił, że za chwilę stanią się coś strasznego. Tymczasem stało się tylko tyle: lew prawdopodobnie przebudzony ze słodkiej drzemki poruszył się dość gwałtownie i Kosmala wskutek tego zsunął się z jego grzywy, na której przed chwilą wylądował, sądząc, że to jakiś kosmaty dywanik.

– Hrrrrr! – ryknął ponownie lew, nie otwierając oczu. Najwidoczniej spał dalej i tylko sny miał niezbyt spokojne.

– A co będzie, kiedy on się obudzi?

Wystraszony żółty jamnik podkulił ogon pod siebie i przysiadł teraz w kącie lwiej klatki, rozmyślając nad tym, co go ewentualnie czeka.

– Hrrr, hrrr – pochrapywał tymczasem niefrasobliwie lew.

„Po prostu zje mnie – pomyślał z rozpaczą Kosmala. – Obudzi się lada chwila, kłapnie zębiskami i już będzie po mnie”.

186

Naraz poczuł jakieś lekkie ukłucfp na grzbiecie^ w pobliżu ogona. Nie było to miłe uczucie, zwłaszcza że po chwili powtórzyło się. A potem trzeci raz i czwarty.

„Nic innego, tylko gryzie mnie pchła!” – pomyślał Kosmala.

I zrobiło mu się nieprzyjemnie. A to z dwóch powodów – po pierwsze, dlatego, że w ogóle miał pchły, a po drugie, że w tej chwili nie mogło być mowy o podrapaniu się. Niechby tylko spróbował! Przecież lew natychmiast by się rozbudził, no i wtedy...

Kosmala przymknął oczy i wcale nie chciał myśleć, co by się wtedy stało. Ale czy można długo wytrzymać, kiedy

187

pchły przechadzają się bezczelnie po grzbiecie i kłują złośliwie psia skórę?

– Nie wytrzymam dłużej! – warknął bardzo cicho i wyszczerzył zęby. Wyglądało to nawet może i groźnie, ale pchły zazwyczaj nic sobie nie robią z takich pogroźek. Więc i teraz spokojnie przeniosły się w okolice psiej szyi i tam zaczęły swoje harce.

– Nie wytrzymam – powtórzył mały, żółty jamnik, który kiedyś był Jackiem Kosmalą. I nie zważając już dłużej na grożące mu ze strony lwa niebezpieczeństwo, zaczął się drapać tylną nogą w okolice szyi. Ach! Co za • ulga!

Na szczęście lew nie obudził się. Wobec tego Kosmala ośmielony rozejrzał się trochę odważniej wokoło. Klatka lwa była duża, wysypana żółtym piaskiem, z boku- było wejście. „Jak ja się tu dostałem? – zastanawiał się Kosmala. – Prawda! Przecisnąłem się przez pręty! Może więc teraz mógłbym się w ten sam sposób wydostać z tej klatki?” Wcale, a wcale nie uśmiechało mu się czekać tu na przebudzenie lwa. Ale również nie miał ochoty i na występy na arenie cyrku jako „pies wenusjański”. Jula...

W tej chwili przypomniał sobie, że Jula tak jakoś dziwnie na niego patrzyła.

„Czy ona mnie poznała? – denerwował się. I aż mu się zrobiło gorąco na samą myśl o tym. – Jeśli poznała, gotowa byłaby wypaplać w szkole, że jestem psem i występuję jako taki w cyrku. W dodatku z błękitnymi skrzydełkami! Jak idiota!”

Było mu coraz bardziej nieprzyjemnie. Naraz spostrzegł, że tuż koło niego, w rogu klatki, leży trochę siana. „Wystarczy, abym mógł się tam schować” – pomyślał.

188

Szybko wsunął się pod siano i, zwinięty w kłębek, zasnął, zmęczony tyloma przeżyciami.

Śniło mu się, że znów jest chłopcem, uczniem piątej klasy, Jackiem Kosmala, i że musi za chwilę wstawać, aby pójść do szkoły. Mama właśnie woła, żeby się obudził i pobiegł się myć, ale jemu nie chce się wychodzić spod kołdry. Miałby ochotę jeszcze tak pospać, chociaż przez piętnaście minut. Co by to komu szkodziło, żeby tak dłużej pospał? Do szkoły i tak się nie spóźni, bo przecieź potrafi szybko biegać i w trzy minuty będzie na miejscu. Więc Jacek przeciąga się i mruczy cicho:

„Daj mi jeszcze pospać, mamo!”

Ale co to? Czy możliwe, aby mama mówiła takim grubym głosem?

Niechętnie i raczej przez ciekawość otworzył jedno oko, aby się przekonać, co się naprawdę dzieje w pokoju. Otworzył lewe oko i natychmiast je zamknął, gdyż nie chciało mu się wierzyć, aby to, co ujrzał, mogło być prawdą: Naprzeciwko niego siedział lew, a on, Jacek Kosmala, w dalszym ciągu był psem, i to psem, który znalazł się przypadkiem w lwiej klatce.

„Nic się więc nie zmieniło – pomyślał ze smutkiem, zupełnie już obudzony. – Całe szczęście, że jestem schowany w tym sianie i może to potworne zwierzę mnie nie zauważy”.

Ba, ale czy długo będzie mógł pozostawać w tej swojej kryjówce? Lew na razie przeciągał się leniwie i ziewał głośno, ale co będzie, kiedy rozbudzi się na dobre? Jacek Kosmala wolał o tym nie myśleć.

– Będę się zachowywał jak najspokojniej, tak jakby mnie nie było – postanowił.

Ale co znaczą postanowienia wobec zupełnie zwykłych przypadków, które decydują nieraz o losie ludzi i zwie-

189

rzat. I tak właśnie było i teraz. Wystarczyło małe, takie zupełnie malusieńkie źdźbło suchej trawy, które polechtało Kosmalę w nos. Wystarczyło zupełnie, aby Kosmala musiał kichnąć. Nie było to nawet bardzo mocne kichnięcie, bo jak wiadomo psy, zwłaszcza małe psy, nie kichają tak głośno, ale w każdym razie wystarczyło, aby zaniepokoić lwa.

Wielki zwierz, który właśnie miał paszczę otwartą do ziewnięcia, znieruchomiał.

„Co teraz będzie? – pomyślał Jacek i skulił się w sianie, jak tylko mógł najbardziej. – Może on się nie domyśli że ja kichnąłem?”

Tymczasem lew zamknął powoli paszczę, poruszył niespokojnie ogonem i mruknął:

– Czy tu ktoś jest?

X

Po czym spojrział uważnie dookoła.

Jacek siedział cicho jak mysz.

– Czy tu ktoś jest, czy mi się zdawało? – powtórzył zaniepokojony lew. – Uprzedzam – mruczał dalej – że jestem okropnie srog i nie

ręczę za siebie. Proszę więc mnie nie denerwować!

„A kto by chciał denerwować lwa?” – pomyślał Kosmala. Zaledwie jednak zdażył to pomyśleć, znów jakieś źdźbło siana przypadkiem połechtало go w nos. Kichnął więc mimo woli po raz drugi. Ale tym razem kichnął tak mocno, że okrywające go siano rozsypało się, odsłaniając go prawie całkowicie.

– Zginałem – jęknął Kosmala. I przymknął oczy.

25. A CO POWIE-DZIAŁA GAPA?

Kosmala z zamkniętymi oczami, znieruchomiały ze strachu czekał. Teraz, co będzie dalej. Bał się bardzo i drżał ze strachu jak listek. Już mu nawet nie przychodził do głowy żaden pomysł ucieczki. Nie zapomniał co prawda ani na chwilę o tym, że przedostał się tu po ciemku, między prętami klatki, ale również zdołał i to zauważyć, że pręty były szerzej odgięte tylko w jednym miejscu, i to właśnie w pobliżu lwa.

– Ach, to ty! – ryczał tymczasem lew. – To ty, smarkaczu, ośmieliłeś się zdenerwować mnie swoim kichaniem, co? A czy ty wiesz, co zrobiłeś? Czy zdajesz sobie sprawę, jak bardzo jesteś zuchwały?

„Jeszcze jak sobie zdaję” – pomyślał Kosmala. Ale tylko pomyślał, bo za nic na świecie nie byłby się odezwał. Jednocześnie, ku swojemu ogromnemu zdumieniu, przekonał się, że przecież doskonale rozumie to, co do niego mówi lew. Co prawda, rozumiał przecież również świetnie język gęsi i indora, a także innych psów. Ale żeby móc porozumieć się z lwem! To było jednak nadzwyczajne. Tylko że niezbyt przyjemne. A lew ryczał dalej:

– Hej, wyłaż mi natychmiast z tego siana!

„Nie wyjdę za nic na świecie – postanowił wobec tego Kosmala – nie ma głupich. On przecież zaraz mnie zje”.

191

– Ty bezczelna psia pokrako! – darło się w dalszym ciągu lwisko. – W jaki sposób zdołałaś dostać się do mojej klatki? Mów zaraz! Aha, milczysz? Już wiem, zakradłaś się tu podstępem, aby...

Nie zdażył jeszcze skończyć tego zdania, kiedy Kosmala znów poczuł podejrzaną swędzenie w okolicy prawego ucha.

„Psiakość – pomyślał – znów te pchły. No, nie ma rady, muszę się podrapać, bo inaczej zwariuję!”

I drżąc ze strachu zaczął się drapać.

– Ach tak! – zagrzmiał lew na ten widok. – No, czy nie miałem racji? Wdarłaś się tu podstępem, aby mnie za-, pchlić, licząc na to, że potem, kiedy pchły przeniosą się do mnie, i ja się będę drapał.

Ładny widok: lew drapiący się na arenie! Publiczność będzie pękała ze śmieefeu, a ja zostanę ośmieszony do końca życia! Mów, kto cię tu przysłał!

-- Nikt – zaskomlił cicho i skromnie Kosmala – przysięgam, że nikt.

– Przyznaj się, że to pawiany, chcąc mnie skompromitować, wrzuciły cię do mojej klatki.

– Nie... to znaczy... nawet nie znam osobiście żadnego pawiana.

– Należysz do szajki, która chce mnie ośmieszyć jako artystę i dąży do mojej zguby! Wyznaj to natychmiast!

I w tym miejscu lew tak groźnie kłapnął zębami, że biedny Kosmala ze strachu przewrócił się do góry brzuszkiem, co, jak wiadomo, oznacza u psów zupełne poddanie się.

-- Jestem niewinny – jęknął tylko cicho.

– Cha! Cha! Cha! – zaryczał szyderczo lew. – Niewinny! W każdym razie ukarzę cię dla przykładu!

192

– Łaski! – pisnął Kosmala. – Łaski, szanowny lwie!

– Nazywam się Cezar! – oświadczył wyniośle lew.

. – Łaski, Cezarze! – powtórzył posłusznie jeszcze słabszym głosem Kosmala. I znów przymknął oczy, gotów na najgorsze.

Ale lew nie zbliżał się do niego, natomiast najniespodziewaniej w świecie rozległ się jakiś sympatycznie brzmiący psi głos:

– Hau! hau! Może już dosyć będzie tego udawania waźniaka! Cezarze!

Przestań! Natychmiast przestań dręczyć tego drżącego ze strachu nieboraka!

- Ja, ja tylko tak sobie - mruknął teraz zupełnie grzecznie Cezar.
 - Wstydzilibyś się! - burczał ktoś owym znajomym głosem. - Taki
 jesteś duży, a zachowujesz się jak mały szczeniak. Marsz mi zaraz do
 kąta i siedź spokojnie! A ty, wylaż wreszcie z tego siana!
 - Czy, czy to było powiedziane do mnie? - wyjąkał Kosmala.
 - Do ciebie, "jak najbardziej do ciebie!

Kosmala odważył się w'^c otworzyć jedno oko i spojrzeć w tę stronę,
 skąd brzmiał rozkaz. Otworzył je i zaraz zamknął. A potem szybko
 otworzył obydwie. To nie do wiary! Przed klatką lwa stało duże,
 poczciwie wyglądające, kudłate i łaciate psisko, machające z
 zadowoleniem ogonem. Ależ to Gapa!

- No wylaż, wylaż z tego siana! Zapewniam cię, że Cezar nic ci
 teraz nie zrobi!

Wobec takiego zapewnienia Kosmala. wylaż z siana, przy czym na
 głowie i na grzbiecie pozostały uczepione jakieś zeschnięte kwiatki
 polne, co wyglądało trochę śmiesznie, a trochę żałośnie.

13 -Ucho, dynia...

193
 If
 CO -Q
 •*!* cg0 co"
 liii
 •3 CU 3

o
 f
 \$
 N
 I
 o
 g
 2
 I
 I
 o w
 Ol
 to
 N
 I
 N CO
 Ol
 O
 s
 •N g . Ol
 O
 a,
 CO
 O
 & w k
 CO
 co
 8\$g
 t, u s <v k
 O 'i o N EJ N
 CO O
 co
 O J3 O, O
 13
 O N
 4?
 CO ip
 H 3
 O
 1^

1
°

CO CO

I

co O>

i co

-la

co

l

o. k

•N ^O

|w OJ

l

O

"a?

O

o 'g .•-<

N

CO

OJ

r

o

Ol TJ O)

o

•N

"o

o

?J

.2 I

O 3

N

3

O

N

cy c "3 O

co

SI\$

CO t-(. fa O

<J c; cy co o aJ o,

* -2. o •\$

o N

o _o

N

CO >>

fl 'S O so" ** ° °"

i

z resztek siana i nie bardzo wiedział, jak się wydostać z klatki-

- Ach, byłam tu wczoraj przed cyrkiem, razem z twoimi kolegami.

Julka_trzymała mnie na sznurku. Potem, zniechęceni, że nie znajdują

Jacka Kosmali, tylko ciągle trafiają na ślad żółtego psa, zawrócili

do domu. A ja zaraz rano, jak tylko mnie wypuścili z domu,

przybiegłam tu, bo chciałam do końca odnaleźć ślad, za którym tu

biegłam.

- Jesteś bardzo inteligentna - szczechnął z zawstydzeniem Kosmala. -

Ja nie wiem, czy ty mi jednak wybaczysz, że rzuciłem w ciebie kiedyś

kasztanem. Takim kolącym kasztanem w skorupce. Musiało cię wtedy

porządnie zaboлеć.

- Nie ma o czym mówić. Mniejsza o to - machnęła ogonem Gapa - już ci

to raz powiedziałam.

- Ale, ale ja już więcej nie będę, wierz mi, Gapciu - westchnął

Kosmala. – Ty jesteś okropnie porządna, a ja co?
– Może jeszcze będzie z ciebie porządny pies albo porządny człowiek – szczeknęła wesoło – ale teraz wydobywaj się szybko z tej klatki. Już słyszę, że w cyrku zaczął się jakiś ruch! To pewnie sam dyrektor szuka swojego wenusjańskiego psa. Widziałam po drodze, że koło klatki papug leżały jakieś niebieskie skrzydełka.
– To właśnie ja je zgubiłem! – mruknął z zawstydzeniem Kosmala. – Ale też zrobili ze mnie małpę!
– Wiem, widziałam afisze! 1N0, ale teraz spróbuj precyzyjnie się przez te pręty. W tym samym miejscu, gdzie wpakowałeś się do klatki. Szybciej, szybciej, już nadchodzi dyrektor. Chyba nie masz zamiaru występować w dzisiejszym programie?

198

– Za nic na świecie! – warknął Kosmala. I ciężko sapiąc wy dostał się wreszcie przez metalowe pręty.
– No, nareszcie! A ty, Cezar, bądź rozsądny na przyszłość i nie strasz swoimi zębami małych psiaków. Biegniemy, Jacku!
– Ale nie tak szybko! – szczeknął zadyszany Kosmala. – Nie zapominaj, że ja mam krótkie krzywe nóżki, a nie takie długie nogi jak ty.

26. PATRZCIE! ŁTY JAMNIK

Lekcja geografii była ostatnią i Julka stała przy tablicy, rysując właśnie kontur wyspy Spełnionych Nadziei, kiedy Piotrek znudzony trochę wyjrzał przez okno. Julka, która zawsze umiała lekcję jak z nut, dziś jąkała się przy tablicy, myliła i najwyraźniej nie była porządnie przygotowana do odpowiedzi. Nikt nie wątpił, że złapie dwóję.

„To wszystko przez to, że wczoraj biegaliśmy po mieście z Gapa – pomyślał. – Trzeba było samemu szukać, a Jula powinna była odrabiać geografię. Albo może i nauczyła się lekcji, tylko że myśli o czym innym i dlatego tak się myli. Ja, co prawda, też ciągle zastanawiam się nad tą całą historią z zaginięciem Jacka”.

Ulegając dawnemu przyzwyczajeniu, mimo woli spojrzął znów w kierunku narożnika ulicy Dobrego Wychowania i Samych Piątek. Spojrzął i oczom nie wierzył. Po zasłanym jesiennymi liśćmi chodniku biegał mały, żółty piesek – jamnik!

Piotrek spojrzął jeszcze raz, chcąc się upewnić, czy się nie myli. Ale nie, na pewno się nie mylił. Pies uwijał się wesoło, a z nim był jeszcze drugi, większy, szary.

Ależ to jest przecież Gapa! – zdumienie Piotrka nie miało teraz granic. Nie zważając już teraz na nic trącił w bok Wojtka.

200

– Patrz! pies, znów żółty pies! – powiedział tak głośno, że aż pani od geografii spojrziała z niezadowoleniem w stronę ich ławki. Miałyby może nawet ochotę zwrócić mu uwagę, ale na szczęście w tejże chwili zadzwieczał dzwonek na koniec lekcji. Był to zbawczy dzwonek, który ocalił również i Julkę od murowanej dwóji.

Ale w tej chwili nikt zresztą o tym nie myślał. Rzucili się wszyscy w stronę okna, aby naocznie przekonać się, że żółty jamnik Balonikarza znów biega po ulicy.

– Chłopaki! Lecimy na dół! – zakomenderował Piotrek.

I chwyciwszy teczkę z książkami, pognał schodami w dół, a za nim cała Banda Szperaczy.

Wypadli zadyszani przed szkołę i zatrzymali się przy narożniku, gdzie w towarzystwie Gapy stał żółty jamnik.

– No co, Gapa? Znalazłaś żółtego jamnika? – zawołała Julka.

Gapa, xadowolona, machnęła ogonem.

– No, wadzicie, jednak policyjny pies! – powiedział z uznaniem Wojtek.

– E tam, policyjny nie policyjny, a Kosmali jak nie ma, tak nie ma.

– A chcielibyście, żeby był? – spytał naraz ktoś, kto przystanął przy nich, przez nikogo nie zauważony.

Obejrzeli się szybko i znieruchomieli ze zdumienia.

Przed nimi stał Balonikarz.

Widzieli go pierwszy raz tak z bliska, tak naprawdę. Bo dotychczas to nawet nie bardzo wierzyli, że to on przechadza się po ulicy z pękiem tych swoich balonów. Ale teraz stał przed nimi, a balony były kolorowe i mieniły się, jakby były wypełnione światłem. Stał i patrzył na nich.

Wreszcie pierwsza odezwała się Julka.

' A
.ifWB***, .ML
|'| | i

– Dzień dobry – powiedziała – dzień dobry. Czy pan jest Balonikarzem?

Spytała trochę nieśmiało, bo ciągle jeszcze nie była pewna, czy się nie myła.

– Ależ oczywiście, jestem Balonikarzem – odpowiedział i roześmiał się. – Przecież widzisz, że trzymam pęk bardzo pięknych balonów. Niezwykłych balonów. Czy chcielibyście je ode mnie dostać? Ja wiem, że zasadniczo nie bawicie się balonami, chodźcie już przecież do piątej klasy. Ale ponieważ są to balony, jak zaznaczyłem, niezwykle, więc...

Julka skinęła głową na znak, że owszem, chciałyby mieć taki balon, ale jednocześnie teraz cała jej uwaga skierowana była na żółtego jamnika, który przysiadł przy Balonikarzu i patrzył na nich, przekrzywiwszy głowę na bok, tak jak to często robią psy, kiedy się czemuś dziwią.

– Czy to jest pana pies? – spytała. Balonikarz roześmiał się.

– A czemu o to pytasz? Podoba ci się? Jest miły i mądry, ale jeden z waszych kolegów nie lubił go. Rzucał w niego kamieniami. I gonił go. Chociaż mój pies nie zrobił nic złego. Ten wasz kolega...

– To był Kosmala. Jacek Kosmala – spieszenie wyjaśniła Julka. – Ale on zaginał, proszę pana. Zupełnie nie wiadomo, w jaki sposób...

– Szukaliście więc Kosmali – powiedział Balonikarz, kiwając głową.

– Pewnie, że szukaliśmy. Założyliśmy nawet taką Bandę Szperaczy. Ale to nic nie pomogło.

–|. Hm, to się jeszcze okaże – mruknął Balonikarz. Piotrek i Maciupa podskoczyli do niego.

I

– Ojej, proszę pana, czy pan może coś wie? Albo czy pan może nam pomóc?

Balonikarz milczał przez chwilę i patrzył na nich badawczo.

– Ale przecież byliście w dwóch innych Bandach. Walczyliście z sobą. No i trzeba powiedzieć prawdę, że Kosmala nie zawsze walczył po rycersku.

– Ee, to teraz nieważne – mruknął Piotrek. – On by się na pewno poprawił, niechby się tylko znalazł.

– Pewnie, że by się poprawił. Dlaczego miałyby się nie poprawić? – gorąco zapewniała reszta Bandy.

– A bylibyście gotowi zrobić coś bardzo trudnego, aby Kosmala wrócił?

– Dlaczego nie? Jesteśmy gotowi! – zgodzili się ochoczo członkowie Bandy Szperaczy, nie wyłączając nikogo.

– No, to coś wam powiem – Balonikarz jakby zastanawiał się przez chwilę. – No, to coś wam powiem – powtórzył. – Czy pamiętacie tę waszą wyzywankę, w którą zawsze bawił się Jacek Kosmala?

– Ucho.dynia! – zawołali teraz chórem. – Pewnie, że pamiętamy! Tylko że się już teraz w to nie bawimy. Nikt już w klasie nikogo nie wyzywa.

– A co by to było, gdyby teraz ktoś was jeszcze raz wyzwał? Na bardzo trudnych warunkach. Ale jednocześnie ta wyzywanka byłaby tym razem ceną powrotu Kosmali. Zgodzilibyście się?

– Zgodzilibyśmy się – odpowiedzieli zgodnym chórem.

– Żeby była nie wiem jak trudna?

– Żeby była nie wiem jak trudna – potwierdzili im; nie. – Jesteśmy gotowi na wszystko.

- No, to słuchajcie uważnie. - Balonikarz podniósł rękę do góry. - Wyzywanka zaczyna się: Ucho!

202

Członkowie Bandy bez namysłu chwycili się za uszy.

- Dynia!

Nie było rady. Trzeba również było chwycić się za nos.

- A teraz uwaga - Balonikarz wymówił głośniejsze słowa: - Sto dwadzieścia pięć.

Spojrzeni po sobie. Tak, wyzwanie było prawie niewykonalne. Ale czy można było się wahać, jeśli od tego zależało teraz odnalezienie Kosmali? Nigdy w świecie. I gruby Maciupa zaczął skakać pierwszy, a za nim Piotrek i Julka, i reszta.

Zaledwie jednak podskoczyli kilka razy, stała się rzecz zupełnie nieoczekiwana. Mały, żółty jamnik Balonikarza przyskoczył do niego i zaczął gwałtownie ujadać. Szarpał go za ubranie, biegał między skaczącymi Szperaczami, jakby chciał im przeszkodzić w skakaniu, i znów wracał do Balonikarza.

- No co, Kosmala? - spytał wtedy Balonikarz. - Nie chcesz, żeby się tak męczyli. Przykro ci? No widzisz, cieszę się, że to rozumiesz. No dobrze, już dobrze. Zaraz przestaną skakać. Słuchajcie - skinął ręką - przestańcie! Odwołuję wyzwanie. Wiem, że gotowi byliście wykonać je w całości, aby uratować Jacka Kosmalę. A on znów nie może patrzeć na to, jak się jego koledzy męczą. Nie wierzycie, że nie może patrzeć? Ależ tak. Zapewniam was. Jacek Kosmala bardzo się zmienił. Spójrzcie, jaki jest w tej chwili zmartwiony.

To mówiąc, wskazał palcem na skomlącego żółtego jamnika.

- Ależ to nie jest Jacek, tylko pies! - zdziwił się Wojtek.

1 - Ach, to drobnostka - roześmiał się Balonikarz -

204

zapomniałem odwołać również i tę wyzywankę, którą rzuciłem kiedyś Jackowi. Uwaga: pięć, dwadzieścia, sto, dynia, ucho!

„Pan to powiedział w drugą stronę!” - chciał teraz zawołać Maciupa, ale nie zdążył, gdyż stało się znów coś bardzo dziwnego i nieoczekiwanego. Oto w tym samym miejscu, gdzie przed chwilą stał przy nogach Balonikarza żółty jamnik, w tymże samym miejscu gramolił się na czworakach nikt inny, tylko sam we własnej osobie Jacek

205

Kosmala. Wyglądał trochę niezdarnie i nawet jeszcze skomlał z cicha, ale tylko przez krótką chwilę, zaraz potem stanął mocno na dwóch nogach i uśmiechnął się do wszystkich.

- Serwus - powiedział najzwyczajniej w świecie. - Serwus. Cieszę się, że znów jestem z wami. Naprawdę. I bardzo wam dziękuję, chłopaki. I tobie, Julka, też. Bo to dzięki wam znów jestem taki, jaki byłem przedtem. Aha, i Gapie muszę podziękować. Dawaj ślapę, Gapa, i niech cię pocałuję chociaż" w ucho. Jesteś porządne psisko. I jeszcze ci coś powiem, Gapula, wiesz? Że już nie będę rzucał kamieniami ani kasztanami w psy. Bo pies to też może być człowiek. Ja wam to mówię," chłopaki. No, teraz sztama. Ale gdzie jest Balonikarz?

Obejrzeni się szybko. Ale Balonikarza już nie było. Zostawił tylko oparty o mur pęk swoich balonów. A do kija była przymocowana kartka: Weźcie sobie po jednym balonie!

Wzięli więc. Każde po jednym. Ale zaledwie przynieśli je do domu, zanim jeszcze zdążyli wejść do mieszkań, baloniki zniknęły, tak jakby rozplynęły się w powietrzu, a oni sami nic już nie pamiętali z tego, co się działo przed szkołą, ani tego, jak szukali Jacka Kosmali, wodza Bandy Silniaków, ani tego, jak Balonikarz zamienił go znów w chłopca.

Sam Kosmala też nic nie pamiętał. U niego w domu wszyscy zachowywali się tak, jakby nigdy, ale to nigdy w życiu nie zaginął. Jakby po prostu nic się nie stało.

Ale jednak musiało się coś stać. Tylko nikt nie wie, jak to było naprawdę. W każdym razie jedno jest pewne, że zarówno w szkole, jak i w domu wszyscy zauważyli, że Jacek Kosmala stał się zupełnie miłym chłopakiem. Przestał

dokuczać kolegom i psom, a także zarzucił zupełnie zabawę w wyzywankę. W ogóle można powiedzieć, że z tą wyzywanką to było tak – że jak nagle stała się w szkole modna, tak i nagle przestała istnieć. I teraz nikt już się w to nie bawi. Pewnie znudziła się wszystkim. Ponadto trzeba by było jeszcze dodać, że Banda Bohaterów i Banda Silniaków połączyły się w jedną bandę, która została nazwana Bandą Nieustraszonych. Przez jeden tydzień wodzem jest Piotrek, a przez drugi – Jacek Kosmala. I wszystko układa się jak najlepiej. A teraz sprawa Balonikarza...

Podobno już nigdy więcej nie było go widać w pobliżu szkoły... Chociaż Julka utrzymuje, że widziała raz w mglisty dzień kogoś, kto był bardzo do niego podobny. Ale może się myliła.

Aha, i jeszcze jedno. Jacek Kosmala koniecznie chce mieć psa. Przyrzekł w domu, że będzie się nim opiekował. I ojciec, i mama obiecali wobec tego postarać się o takiego zupełnie jeszcze małego pieska. Ma to być żółty jamniczek.

I

SPIS ROZDZIAŁÓW

-	1. Plan sytuacyjny i w ogóle o wszystkim po trochu .	5
\	1. Teraz o Balonikarzu.....	8
3.	A teraz o wyzywance.....	10
4.	O Bohaterach i Silniakach	16
5.	Był zwykły dzień.....	18
6.	Dalszy ciąg zwyczajnego dnia.....	22
7.	Ucho! Dynia! Sto dwadzieścia pięć!	32 8., JW
	prostu: hau! hau!.....	37
.	.*"*\$\$. Ja chcę do domu!.....	48
10.	Ciągle- to psie życie!	59
11.	Różowa kokarda	73
12.	Ach! Cóż to za pies myśliwski!.....	83
"	13. A jednak Pimpuś!.....	97
14.	Gdzie jest Jacek Kosmala?'	105
15.	Nowe znajomości....."	109
16.	Spotkania dość nieoczekiwane.....	116
17.	Szperacze działają	125
18.	"jYielkie łowy	142
19.'	C^Haipijjani gęś? \.	148
20.	Ile to będzie 3 + 4?.....	164
21.	Prawdziwy wciłUSJaD^ki^pies!	171
22.	Gapa nie gapa, ale mądry^pies.....	178
23.	Jeszcze tylko parę słów o Julce	183 2*4. A co powiedział lew?
.	186	
25.	A co powiedziała Gapa?.....	191
26.	Patrzcie! żółty jamnik.....	200